





JAN LORENTOWICZ

ZIEMIA POLSKA W PIEŚNI

ANTOLOGIA

WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA — KRAKÓW, G. GEBETHNER I SP.

ZIEMIA POLSKA W PIEŚNI

ANTOLOGIA

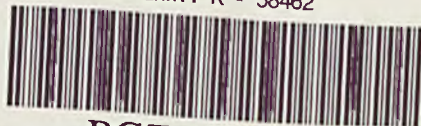
UŁOŻYŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ
JAN LORENTOWICZ

Z 12 REPRODUKCYAMI OBRAZÓW ARTYSTÓW POLSKICH

WYDANIE DRUGIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.





DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

SŁOWO WSTĘPNE

Zewnętrzne piękno ziemi naszej dość późno znalazło wyraz swój w sztuce. Nie stanowimy jednak pod tym względem wyjątku śród narodów europejskich. Krajobraz, jako wyodrębniony kształt twórczości, czy to malarskiej, czy literackiej jest dorobkiem kultury nowoczesnej. Nie znaczy to przecież, aby słusznem było twierdzenie, iż dawniej nie kochano natury; co najwyżej możemy dowieść, że kochano ją inaczej, że miłości tej nie układano w kult specyalny. To też napróżnobyśmy szukali w historyi pejzażu jakichś stałych, niezmiennych praw rozwojowych: malarstwo krajobrazowe nie znajduje się w prostym stosunku do poczucia natury w społeczeństwie, nie występuje równorzędnie z pejzażem literackim; najlepsi w danym narodzie pieśniarze natury nie zjawiają się jednocześnie z najlepszymi pejzażystami malarskimi. Holandya nie miała nigdy poetów natury takiej miary, jak jej pejzażyści-malarze; we Włoszech zaś przeciwnie: poetyckie odczucie natury stało wyżej od malarstwa pejzażowego. U nas, w Polsce, poetyckie opisy natury mamy już u Drużbackiej, a nawet wcze-

śniej; zaczątki zaś polskiego malarstwa krajobrazowego kształtują się dopiero w połowie XIX wieku.

Przyczyny zjawiska są bardzo skomplikowane a mało badane. Historya pejzażu nie rzuca na nie dostatecznego światła, ale udziela wielu cennych wskazówek oryentacyjnych.

Dla czego pozostały tak wątłe świadectwa istnienia pejzażu u Greków starożytnych? Wiemy niezawodnie, że ten rodzaj malarstwa znali. Pliniusz zapewnia, że Apelles malował błyskawice i pioruny, i nie ma tu na myśli personifikacyi mitologicznych. Philostrates opisuje obraz, w którym noc malowana była, jak u dzisiejszych pejzażystów. W greckich utworach literackich braknie opisów natury, ale faktem jest, iż Hellenowie, według dokumentów poetyckich, uczuwali naiwną radość, gdy się zbliżali do natury. Wyodrębnieniu się malarstwa pejzażowego stawała przecież w Grecyi na przeszkodzie i organizacya jej życia. Grek starożytny nie wyobrażał sobie, aby mógł istnieć gdziekolwiek kształt wyższy od niego samego. »Uważa siebie — mówi Gebhart — za najinteligentniejszego, najsilniejszego i najpiękniejszego na świecie. Ślepa gwałtowność żywiołów, którą zwalcza i uśmierza, — objawia jeszcze mocniej jego siłę i inteligencyę; zdaje mu się, że piękność pól i lasów przedstawia w rozmaitych kształtach piękno jego duszy, uczuć i geniuszu«. Przedewszystkiem jednak w naturze widzi powtórzenie harmonijnych proporcyj własnej plastyki. I dlatego cała rzeczywistość zewnętrzna nie istnieje dla niego, jeżeli jej nie zawrze w swoich giętkich konturach. W szmerze źródeł posłyszy głosy boskie a pod korą drzew poczuje drżenie łona nimf.

Wyraźniejsze ślady pejzażu pozostawił nam Rzym starożytny, do którego przybyli artyści podbitej Grecyi. Każdy obywatel rzymski posiadał w swem mieszkaniu obrazy freskowe. Niejaki Ludius malował istotne pejzaże, przedstawiające wille, ogrody, wzgórza, kanały i rzeki. W Pompei odkryto wiele podobnych obrazów, a nie brak tam również pejzażów pomieszczonych w tle różnorodnych scen freskowanych. Lukyan powstawał nawet przeciwko malarzom swego czasu o to, że poświęcają postacie pejzażowi. W literaturze wydali Rzymianie Wergiliusza, który później przez całe wieki budził poczucie natury u poetów nowoczesnej Europy.

Pisarze religijni pierwszych wieków chrześcijaństwa opisują niekiedy bardzo wzniośle piękno natury. Później jednak na długie wieki giną zarówno w literaturze, jak w malarstwie ślady pejzażowe. U trubadurów prowansalskich i minnezingerów niemieckich staje się niekiedy widoczne poczucie uroków natury, zwłaszcza w opisach wiosny; naogół jednak jest dość słabe. Artyści średniowieczni do tego stopnia zaniedbali pejzażu, że malowali na tle złotem. Prymityści włoscy powiększali zwolna

tła swych obrazów, ale i oni lękliwie zwracali się do krajobrazu. Pierwszą, nowoczesną rewelacyę pejzażu przyniosła poezya włoska. Dante umie wywoływać w dwóch lub trzech wierszach, za pomocą prostego porównania, cały obrazek wiejski, zatopiony w świetle lub uśmiechający się zielonością, a zawsze uderzający obserwacyą naiwną i głęboką. Piękność świata zewnętrznego w całej już pełni objawił światu Petrarka. Był on pierwszym nowożytnym turystą. Podróż w wiekach średnich miała na celu pożytek materyalny i religijny; pielgrzymka była rodzajem pokuty albo też związana była z interesem handlowym. Petrarka zwiedza góry dlatego jedynie, aby je podziwiać i opisywać. Natura stanie się zwierciadłem jego uczuć; znajdzie uderzające harmonie pomiędzy najgłębszemi uczuciami swego serca a barwami, któremi jego oko zdobi świat zewnętrzny. Obok Petrarki zjawiają się w poezyi krajobrazowej wielkie nazwiska Ariosta i Tassa.

Malarstwo tymczasem nie podąża śladem poetów. Nieporównani mistrze Odrodzenia uważali, iż pejzaż może służyć jedynie za akompaniament mniej lub więcej szczęśliwy, może pomagać do ekspresyi, wzmacniać ją i dopełniać, ale nie wolno mu wchodzić w drogę głównemu przedmiotowi, nie wolno mu pozbawiać postaci ludzkiej głównej roli. Wiemy, iż pomimo tych zastrzeżeń Odrodzenie wydało

cudne, przepyszne pejzaże, że wspomnimy tu tylko o czarodziejskich tłach krajobrazowych boskiego Lionarda da Vinci; ale wiemy również, do jakiego stopnia ci wielcy artyści bronili doktryny humanizmu w malarstwie.

Pejzaż, jako odrębna dziedzina sztuki, objawił się najwcześniej i doszedł do największej doskonałości w Holandyi. Van Eyckowie i ich uczniowie są już wspaniałymi pejzażystami, a Joachim Patenier czyni z malowania krajobrazu rodzaj zupełnie specyalny, w dzisiejszem już słowa znaczeniu. Pejzaż pociąga w Holandyi całe zastępy wybitnych talentów, które, poprzez Włochy, gdzie chętnie malują, budzą ruch pejzażowy w Europie całej. Rozpoczyna się linia wielkich twórców krajobrazowych, która od Ruysdaela, Claude Lorraina, Poussina, Salvatora Rosy, ciągnie się po przez Turnera, Corota, do nowoczesnych mistrzów: Rousseau, Moneta, Chełmońskiego i całego zastępu innych.

Pejzaż poetycki nie wszędzie objawia się równoległe z temi dążeniami. O jego zupełnem zaniedbaniu w Holandyi już mówiliśmy. U wszystkich wielkich twórców klasycyzmu francuskiego; Kornela, Rasyna, Moliera, Woltera, napróżno szukalibyśmy jakiego widoku wiejskiego albo śladów jakiegokolwiek wzruszenia wobec piękna natury. W starej edycyi Moliera jedna ze scen nosi tytuł: »teatr przedstawia miejscowość wiejską a j e d n a k przy-

jemną«. Nie mniej znamienne pod tym względem opóźnienia znajdziemy i w innych literaturach.

Czemu przypisać ten nieregularny rozwój poczucia natury a raczej te różnorodne momenty objawu literackiego lub malarskiego wyrazu piękna natury? Badania przedmiotu są dopiero w zaczątku. Paulhan sądzi, że dwa rodzaje cywilizacyi nie sprzyjają usystematyzowanemu zamiłowaniu, filozoficznemu lub mistycznemu odczuciu natury. Z jednej strony są to cywilizacye klasyczne, w których panuje h u m a n i z m, z drugiej — cywilizacye mocno skoordynowane, w których panuje jakaś wielka koncepcya życia, a które przez to doprowadzone są na pewien czas do jedności, do skondensowania w formie regularnej i dokładnej, politycznej czy religijnej, — nietrwałej zapewne, ale przyjmującej na pewien czas pozory wieczności. Do takich zaliczyć należy Grecyę i Rzym; XIII wiek, zjednoczony przez katolicyzm ludów chrześcijańskich; XV i XVI wieki włoskie, bardzo burzliwe, ale rozkwitem humanizmu nacechowane; XVII wiek francuski, w którym organizacya polityczna kraju dosięga swej pełni, w którym język i literatura rozwijają się w formach bogatych i ścisłych. Wszystkie te epoki nie przedstawiały, zda się, warunków sprzyjających rozwojowi zamiłowania natury, a więc i tryumfowi czystego krajobrazu w literaturze i sztuce. Warunkom tym odpowiadała więcej Holandya, gdy wydobyła się z pod panowania łacińskiego, gdy odzyskała niezależność i stała się wrogą wpływom łacińskim. Śród artystów, którzy nie znali czarów Italii i jej sztuki lub którzy zdołali im się oprzeć, powstała nowa sztuka: tworzono p o r t r e t y kraju, ludzi, zwierząt, pastwisk i w ten sposób ukształtowano prawdziwą szkołę pejzażystów.

Z rozwojem nowych form życia pejzaż począł się doskonalić i różniczkować. Miłość natury wiąże się dziś pod niektórymi względami z warunkami bytu społecznego. Im bardziej życie staje się intensywne, scentralizowane,ześrodkowane w wielkich miastach, tem łatwiej tworzy się reakcya w kierunku ucieczki ku naturze. Zamiłowanie natury wyjawia często niezgodność pomiędzy jednostką a społeczeństwem, jest wyrazem nieprzezwyciężonego indywidualizmu. Pierwsze pejzaże literackie, pod wpływem poezyi ossyanicznej tworzone, lubowały się w efektach gwałtownych. Krajobraz romantyczny wprowadził na jakiś czas kult natury obcej społeczeństwu ludzkiemu, natury olbrzymiej, groźnej, nieskończonej. Oczywiście romantyzm nie odkrył tego uczucia. Niewątpliwie już przed nim uczuwano harmonię pewnych miejsc dzikich i samotnych z uczuciami człowieka, gwałtownie dotkniętego przez życie i przez społeczeństwo. Od czasu jednak, gdy literatura dała wyraz tym uczuciom,

pejzaż literacki począł zmieniać swe kształty, indywidualizownć swą treść i formę, aż doszedł do tego tysiąca przebogatych form, w jakiej objawia się dziś we wszystkich poezyach świata a zgoła wspaniale w poezyi polskiej.

* * *

Literacki krajobraz polski kształtuje się bardzo powoli. W dawnej literaturze jest zjawiskiem dość rzadkiem. Humanizm polski, wierny swoim wzorom, a zgodny z naturą bujnego życia Rzeczypospolitej, — człowieka i jego czyny wysuwał na czoło przedmiotów literackich. Od połowy XVI wieku pisarze opiewają rozkosze życia ziemiańskiego, ale natura w ich pieśniach jest służebnicą pożytku. Kochanowski wrażliwy jest niezawodnie na czary natury; świadectwa tej wrażliwości mamy w wielu jego pieśniach, w »Sobótce«. Mniej go raduje myśl o zyskach jesiennych, ale z uśmiechem wita wiosnę, z błogością wsłuchuje się w szmery liści. Zewnętrzne jednak powaby wsi opisuje skąpo: »wieś spokojna, wieś wesoła« jest mu tylko uświadomieniem nastroju wewnętrznego, mistrzynią jego filozofii życiowej, żywem źródłem jego środków artystycznych.

Pierwszy zwrot poetycki ku naturze wyraził się w piśmiennictwie naszem w formie sielanki. Przyniosły ją wzory starożytne — Teokryt, Moschus, Wergiliusz. Człowiek zajmuje tu miejsce naczelne, ale natura, o ile się ukazuje w szatach niepożyczanych, nęci swem pięknem, wyjawia w miły sposób swe wdzięki. Szymonowicz, jeden z najkunsztowniejszych i dotychczas niedostatecznie ocenionych poetów polskich, w tych sielankach, gdzie opisuje zwyczaje Rusi szlacheckiej i niedolę chłopstwa, staje się prawdziwym mistrzem słowa. »W czterowiekowym procesie — mówi Chlebowski — wytwarzania się literatury narodowej, Szymonowiczowi zawdzięczamy pierwsze ujęcie i utrwalenie życia wsi polskiej w ujmujących prawdą i pięknem, wdziękiem i uczuciem scenach, obrazach i postaciach. Żaden z późniejszych malarzów życia wiejskiego, aż do Mickiewicza, nie dorównał tym obrazom«. Sielanki obu Zimorowiczów stoją znacznie niżej; niema w nich ani tej szczerości uczuciowej, ani tej wrażliwości na krasę przyrody polskiej, nie mówiąc już o ich formie. U innych poetów siedemnastego wieku pejzaż zjawia się dość przypadkowo: znajdziemy go w niektórych lirykach Kochowskiego, ale nie będzie go u przebujnego Potockiego a marinizm Morsztyna ujmie obrazy natury w wdzięczne niekiedy, ale groteskowe, sztuczne kształty.

Pierwsze próby wyodrębnionej celowo opisowości natury wnosi do poezyi dopiero Drużbacka.

Blade są dzisiaj te jej »Cztery części roku«, te »Cztery elementy szkodliwe«, a nawet »Pochwała lasów«. Drużbacka nie była wielką poetką, a mitologiczne wtręty odbierają jej opisom szczerość i bezpośredniość. Nie mniej przeto jej pierwsze chronologicznie krajobrazy poetyckie szacowne są jako samodzielny wysiłek w stworzeniu rodzaju, który w nowszych czasach rozrósł się bujnie.

Epoka stanisławowska rozwinie w poezyi opisowość do ogromnych rozmiarów. Natura jednak w utworach twórców ówczesnych będzie żywiołem sztucznym, nieodczutym wcale lub kształtowanym pod wpływem Francuzów. Poeci, skupiający się przy dworach wielkopańskich, toną w ckliwem, wymuszonem p a s t e r s t w i e, to znowu tworzą olbrzymie, zimne opisy wielkopańskich rezydencyi i parków. Trembecki opisuje Powązki i zyskuje, dzięki Mickiewiczowi, długotrwałą sławę swą arcykunsztowną, ale nadmiernie przechwaloną »Zofijówką«. Niemcewicz i Woronicz opisują Puławy, Kniaźnin jest nadwornym piewcą puławskim. We Francyi schyłek wieku XVIII czerpie swe obrazy świata zewnętrznego z Wergiliusza, Thomsona i Gessnera. U nas arcywzorem staje się Delille, autor sławnych »Ogrodów«, ówczesny król poetów francuskich w całkowicie wyjałowionej epoce. Karpiński, który może ze wszystkich naszych poetów stanisławowskich najszczerzej kochał naturę i który

dał kilka cennych tego dowodów, tłómaczy z zapałem »Ogrody«. Delille przez długie jeszcze lata nie będzie dawał spokoju naszym poetom pseudoklasycznym i innym: Chomiński tłómaczy jego »Człowieka wiejskiego«, A. Feliński — »Ziemianina«. Pod wpływem tych haseł Kajetan Koźmian smaży przez dwadzieścia lat 2000 wierszy swego po stokroć zapomnianego »Ziemiaństwa«. Wtrącając nieustannie nazwę natury do swych zimnych elukubracyj, »opisywacze« stłumili na całe dziesiątki lat smak widoków natury, obrzydzili je, zda się, doszczętnie.

Zjawia się wreszcie potężny twórca poezyi narodowej, Mickiewicz. Jego »Pan Tadeusz«, owa — jak ją słusznie nazwano — »rozrosła w wielkiej duszy do rozmiarów epopei idylla życia wiejskiego«, przyniosła cały szereg świetnych, realistycznych, lśniących najcudniejszemi barwami, przebogatych w plastyce krajobrazów. Formułki pseudoklasyczne zginęły na zawsze. T ę s k n o t a za utraconą ziemią stanowić będzie teraz, po Mickiewiczu, nowy, odrębny w literaturach świata ton, który pomoże jednak do wydobycia wszelkich tonów innych. »Ile cię cenić trzeba — woła poeta — ten tylko się dowie, kto cię stracił. Dziś piękność twoją w całej ozdobie widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie«. A przecież ta tęsknota nie zaćmiła ani jednej barwy, nie stłumiła ani jednego światła w krajobrazach Mickie-

wicza. Ona to wypromieni wizye krajobrazowe Słowackiego, ona to połączy nawet krajobraz włoski z wizyą Polski w »Przedświcie«.

Od wielkich romantyków przybywa poezyi pejzaż jako wielka dziedzina sztuki. Jeszcze inny ton wniesie do niej odkrycie Tatr. Od Goszczyńskiego do Tetmajera i najmłodszych, wszyscy niemal wybitni poeci opiewają polskie góry, zanosząc im swoje uczucia, odnajdując w ich bogactwie całą skalę harmonii ze swemi wewnętrznemi przeżyciami. Pejzaż będzie Amielowskim »stanem duszy«, ogarnia wszystkie zakątki ziemi polskiej, nasze lasy, nasze drzewa, nasze pola, nasze jeziora, nasze święte ruiny, piękno naszych starych grodów, smętek naszych drogich mogił. Zimno-opisowy a później objektywnie-realistyczny pejzaż poetycki zamieni się w drugiej połowie XIX wieku na wspaniałą formę liryki, narzędzie niesłychanej sprawności malarskiej, źródło najgłębszych i najwznioślejszych zadum metafizycznych. Poczucie natury stało się czemś niezmiernie skomplikowanem w swym wyrazie. Objawiają się tu trzy dążności: jedna — realistyczna, która prowadzi do wyłącznego poszukiwania efektów nieobserwowanych i ciekawych; druga — psychologiczna, która tłómaczy z punktu widzenia czysto ludzkiego widoki świata zewnętrznego; trzecia — metafizyczna. Najważniejsza przecież jest ta, która się nie da sklasyfikować: określa ona stopień wrażliwości, który odsłaniają w każdym poecie opisy natury. Ruskin powstaje silnie przeciwko »pathetic fallacy«, który humanizuje naturę i czyni z niej pochlebne zwierciadło naszej osobistości. Takie ograniczenie nie ma dostatecznej racyi. Pejzaż polski w poezyi ujawnia właśnie poprzez liryczne nastroje twórców ogromne piękno naszej ziemi. Są w nim wszystkie tony i to jest jego chwałą.

Antologia niniejsza usiłuje tony te zsyntetyzować w najpełniejszym możliwie obrazie). Okazuje ona piękno zewnętrzne ziemi polskiej w tej cudownej krasie, którą Marya Konopnicka ujęła w takiej lapidarnej apostrofie: »Hej, pola wy, pola! Hej, łany, wy łany! Oto stoję przed wami, jak przed skarbnicą przeszłości i przyszłości naszej, jak przed arką pełną żywego ducha narodu. Czy na was spojrzę na zaraniu wiosny wśród huku pękających lodów, wśród szumu rzek naszych, do dna mórz lecących; czyli żniw czasu stanę na waszych niwach i roztoczach zbożami złotych, kłosowym szumem głośnych; czyli jesień wymaluje mi w oczach bory wasze w królewskie makaty, a puszcze wasze napełni porykiem zwierza; czyli zapadnę w knieje*

**) Tych, którzy nie odnajdą w niniejszym zbiorze wielu znanych im wierszy pejzażowych, objaśniamy, że ze względów wydawniczych usunięto z »Ziemi polskiej w pieśni« około 6000 wierszy. (Przyp. aut.).*

twych ostępów leśnych, czyli w kipielach wód twoich zabrodzę; czyli mnie osrebrzą światła jezior twoich, czy step twój kurhanami zagada; czy zima Tatrom twoim śnieżne hełmy wdzieje i puści wichry po czeluściach skalnych — zawsze ty jedna, Matko, i zawsze miłowana i święta, i zawsze cała w duszy twego ludu!«

JAN LORENTOWICZ.

ZIEMIO MOJA!...

ZIEMIO!...

Ziemio lechicka... ziemio ukochana,
Jakżeś ty ślicznie przez Boga ubrana...
Gdyby dziewica w niedzielnej odzieży,
Gdy na próg chaty w wieńcu róż wybieży...
Jak pięknie niebo twym równinom świeci,
Jak zdrowy powiew karmi twoje dzieci!
Od morza brzegów, do grzbietu Karpatów,
Szumią twe lasy, słychać woń twych kwiatów,
Złocistą falą płyną pola twoje...
Srebrnemi wstęgi wiją wód twych zdroje...
Pagórki zieleń kobierców okrywa,
Ziemio lechicka, ziemio urodziwa!
Szczęsny, kto na twem urodził się łonie
I spracowany legł na twym zagonie...
Jest czem odetchnąć — gdzie się rozpościerać
I żyć dlaczego i za co umierać.
Ziemio lechicka, ziemio ukochana —
We wszystkieś dobro od Boga odziana,
Jakby zwierzyniec one twoje bory,
Pola twe, jako śpichrze i komory.
Miodem i mlekiem pierś twoja nabiera,
Sąsiad z zazdrością w oczy ci spoziera,

Ale na straży ni gród ani wały —
Stoi lud mężny, miłością drży cały...
Któżby tej ziemi nie kochał — macierzy!
Raz ją ujrzawszy w królewskiej odzieży,
W złocie, bisiorach i błyszczącej zbroi,
Gdy dziatki swoje i tuli i poi...
Kiedy im pieśnią starą w serce wlewa
Miłość, co żywi, miłość, co ogrzewa,
Przeleć oczyma ponad te obszary —
Posłuchaj szumem, co mówi bór stary;
Pokłoń się dębom świętym u rozdroży,
Rzekom się pokłoń, w nich płynie zdrój Boży...
I tym zagonom, na których, wśród żyta
Mak i bławatek na wieńce rozkwita,
Piersią zaczerpnij powietrza i woni
I oko poślij w głębię tych ustroni!
Patrz, jaka cisza tę ziemię okrywa,
Błogosławiona, weselem szczęśliwa!
A kto się rodził, kto tu przeżył lata —
Chaty nie odda za wsze złoto świata!

Józef Ignacy Kraszewski.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO POLOM.

»Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi,
»I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi;
»Pierwiosnek ubrał łąki — jabłoń, kwiat rumiany:
»O ślicznýś nad dziewicę, kraju mój kochany!«

Takąć piosnkę jaskółka, witając cię, śpiewa,
Tak ci bocian klekoce, tak ci szumią drzewa;
Takąć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie:
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie!...

Że, nucąc, znalazł czasem pociechę w tej nucie;
Że, płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twej grzędzie;
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.

I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów,
Śniąc o jodłowych puszczach i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiej ziemi,
Bo je kocha — bo dumny — bo się szczyci niemi.

Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa,
Ni pod jesiennem słońcem winograd dojrzewa;
Skądże nad skarb Ofiru — nad cedry Libanu
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łanu?

Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu
Wypędził pierwszych ludzi na ten padół głodu,
Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem — chleba.

Jak fale kołysane od morza do morza,
Łany złotej pszenicy i żelazne wzgórza,
Ciemne jodłowe lasy i zielone błonie,
Po którem dzwonią trzody i hasają konie.

Roje ciągnące słodkie soki dzięcieliny:
Otóż święta puścizna — skarb naszej dziedziny;
Polsko! pierwiastki pól twych, jak Abla niewinne;
A więc wam błogosławię, pola me rodzinne!

Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty;
I lato, które kłosom daje plon bogaty;
Jesień, która purpurą odziewa ogrody,
I zima, która wasze otula zarody!

Błogosławię potrzykroć tobie, światło dzienne,
Tobie, księżycu blady, i wam, mgły jesienne,
Wam, słodkie dżdże, majowe z ranną rosą społy,
Wam, wszystkie farby życia i woni żywioły.

O! i ty poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.
Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.

Gdybym mógł orlem skrzydłem wzbić się pod obłoki,
Gdybym mógł zbadać przyszłość, otoczoną mroki,
Naprzód wam, nizkie sioła z słomianemi strzechy,
Głosiłbym, jak skowronek, rzewną pieśń pociechy.

Błogosławieni bowiem na wieki śpiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy,
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby,
Więc i wam błogosławię, o piewcy żałoby!

Błogosławię... lecz skądże taka zmiana w nucie?...
Rwie słowa, mąci myśli, rozgorzałe czucie;
Dźwięk ostatni, dźwięk tęskny zdobędę na strunach:
Błogosławię tym, którzy śpią na tych zagonach!

A ty, drobna ptaszyno; co w górę się wznosisz
I jakąś smętną piosnkę na mogiły głosisz,
Zamilknij, zbierz twe siły i pod niebios progiem
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem!

Jan Nepomucen Jaśkowski.

TĘSKNOTA ZA KRAJEM.

A znasz ty kraj, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną;
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
A bory ćmią się jedliną i sosną; —
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn, usrebrzonych mchami,
Gdzie biała brzoza i jawór zielony
Błyszczą malownie nad łąk kobiercami?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy
Jeszcze raz choć obaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan, czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem; —
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem;
Gdzie krzyże z drzewa lub święci z kamienia
Stoją na straży przed wiosk kołowrotem?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,

Aż te sioła, te niwy
Jeszcze raz choć obaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz pełen uprzejmości
Wszystkiem, co może, dzieli z przyjacioły
I tęskni w domu, kiedy niema gości;
Gdzie lud, choć biedny, rad w święto się stroi.
W tańcu, czy w pracy zawsze piosnki śpiewa;
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewoi
Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te stroje, te niwy
Jeszcze raz choć obaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą,
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie *poloneza* koło,
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela;
Gdzie rzeźka młodzież przy hucznym mazurze
Brzękiem podkówek gromko takt wybija;
Gdzie żywym wieńcem przy piosenek chórze
W rączych się pląsach *krakowiak* przewija?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te tańce, te niwy
Jeszcze raz choć obaczę.

A znasz ty kraj ten, gdzie na głos ojczyzny
Mąż rzuca żonę, kochanek kochankę;

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem,
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż tych ludzi, te niwy
Jeszcze raz choć obaczę!

Konstanty Gaszyński.

KIEDYŚ — KONAJĄC.

O! raz ostatni patrzę na tę ziemię,
Kędy od wieków chodzi moje piemię
We krwi a słońcu. Oczy we łzach mokną —
Szkoda mi Polski! — odsłońcie to okno —
Niech na nią patrzę, choć ją pożegnałem —
O! raz ostatni tę ziemię widziałem.

Ranek pogodny — z doliny mgły wstają,
Kościelne dzwony nowy dzień witają —
Chórami ptactwa tam dzwoni dąbrowa...
Ojczyzno moja, bądź zdrowa!

Dla żyć mających przeszła już noc krótka,
Tam po obozach brzmi ranna pobudka...

Z pługami ciągną wieśniacy na niwy...
Narodzie mój, bądź szczęśliwy!

Kornel Ujejski.

DLACZEGO?

(WSTĘP DO »WITOLDOWYCH BOJÓW«).

Dlaczego duchem po rodzinnej ziemi,
Błądzę ja zawsze rozkopując groby,
I szukam życia zgasłego pod niemi,
Życia wśród prochów, śmierci wśród żałoby?
Dlaczego idę ze świata upiorem
Na Anafielas, gdzie naddziadów cienie,
Z łukiem na plecach a w rękach z toporem
Z siwemi brody siadłszy na kamienie,
Płaczą i patrzą ku rodzinnej stronie
Szklanemi oczy, bez łzy i uśmiechu
Sparłszy na oręż spracowane dłonie,
Sparłszy na ręce piersi bez oddechu?
Dlaczego duch mój nie pójdzie z żywymi?
Życiem dzisiejszem serca rozweselać,
I bujać z nimi i rozśmiać się z nimi,
I ich rozkosze i radość podzielać?
Dlaczego w górę zwracam tęskne oczy,
I szukam duchów, co w nieba wzleciały,
W kraj nieśmiertelny, smutny a uroczy?
Dlaczego z nimi i w nim żyję cały?
Dlaczego w pieśni umarłych, co ludzi
Piersi nie grzeje, serca nie porywa,
Wiecznie się głos mój wysila i trudzi,
I ledwie ustał, znowu się odzywa?

Czemu sam jeden na Anafiel lecę
Napróżno ciągnąc zimny lud do siebie;
Wskazując przeszłość stary ogień niecę,
Sam tylko, Litwo, mając łzy dla ciebie?
Czemu? nie powiem i wy nie powiecie?
Bo nikt z was nie wie słowa tej zagadki:
Z piastunki ręku czemu drobne dziecię,
Płacząc się ciągnie do grobu swej matki?
Matką mi przyszłość, a piastunką życie.

Józef Ignacy Kraszewski.

STRUMIENISTE JARY...

Strumieniste jary,
Głębokie ruczaje...
Jak ci śpiewać, ziemio,
Kiedy tchu nie staje?

Kiedy pierś ściśnięta
Powietrza nie chwyta?
Kiedy okrzyk bratni
Pieśni nie powita?

Hej! czy mi kto Tatry
Zwalił na ramiona?
Czyli mnie przygniotła
Mogiła zielona?

Czy mnie Wisła srebrną
Ścisnęła obręczą?
Czy chmura związała
Mokrą od łez tęczą!

Ani Tatry sine
Z posad się ruszyły,
Ani mię przygniotły
Zielone mogiły.

Ani modra Wisła
Rzuca się z wybrzeży.
Tylko dola nasza
Na sercu mi leży!

Marya Konopnicka.

JAKTO NA MAZOWSZU.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony, stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki, jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.

Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
Po boru jagody dziewczę rwie na wrzosie
I śpiewa miłemu: »Pędź głosie po rosie«.

Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słychać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju —
Jakby jedna dusza była w całym kraju.

Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze,
I sosny roślejsze i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi tak na świecie kto zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak raźna dziewucha?
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą,
Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?!
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły, — oj, tęskno mi do niej!
Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy.
Oj, Mazur ja, Mazur pomiędzy obcemi,
Zmarnuję ja młodość w nieswojej tu ziemi.
Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało,
Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
Oj, poczerwienione, jak oko matczyne,
Co mnie, błogosławiąc, patrzyła w dolinę.
Wiatr szumiał po polu, a pszeniczne kłosy
Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy.
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
Na gałęziach wrony krakały nade mną,
Sierocemu sercu tak się wydawało,
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie — nikogo nie było,

Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło.
Daremno po drodze, patrzyłem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali,
Nie było nikogo — i poszedłem dalej.
I dalej i dalej w świat szeroki, długi...
Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi!

Skrzypki moje, skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też, Mazury, chętnie posłuchajcie.
Wszystko zostawiłem, a wziąłem to jedno,
Od czego wam lica to płoną to blegną,
I włóczę się oto i tęskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię i łez się napiję.
I tak schodzi zima i za zimą lato —
Boże dopuszczenie — chwała Mu i za to!

Zagrajcie skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
I życie i piosnka dobrze się opłaci,
Jeżeli łzy perły weźmie z serca braci.
Witajże mi witaj, kraino kochana,
W boleści, w tęsknocie — oj dana, oj dana!

Teofil Lenartowicz.

PAMIĘTAM TE PIASKI NAD WODĄ...

Pamiętam te piaski nad wodą,
Gromniczne pamiętam dziewanny
I poszept tych fal nieustanny,
Co pieśni tajemnicą bezsłownych więziły
Moją duszę młodą...

Pamiętam, jak trzcina się kładła
Pod wiatru przyjaznym podmuchem;
Te jaskry pamiętam i w głuchem
Uśpieniu pogrążone, w białe noce letnie
Białych chat widziadła.

Rzepiki pamiętam ja złote,
Ten jęczmień, ten żyta łan siwy,
Ten krwawnik, te dziwy — przedziwy
Błękitów, z których wieki przędą ręce boże
Naszych serc tęsknotę.

Pamiętam tę oddal przymgloną,
Te żółte ścierniska, tak cudnie
Żarami drgające w południe
Pożniwne, i jarzębin korale pamiętam,
Co wzdłuż drogi płoną.

Pamiętam to wszystko — te rowy,
Zarosłe łopianem, te miedze,
Na których, bywało, ja siedzę
I rzucam listki głogu na wróżbę dni przyszłych,
Na świt szczęścia nowy.

Te wierzby pamiętam, te osty,
To kawek krakanie, te wiśnie,
I ślaz ten, co w okna się ciśnie,
I starca, który wiedział, czemu słońce świeci,
Czemu wiąz jest prosty.

Pamiętam to wzgórze śród pola,
Zarosłe wrzosami, gdzie leże
Polegli znaleźli rycerze,
I trakt ten dobrze pomnę, którym po wiek wieków
Smutna chodzi Dola.

Jan Kasprowicz.

NIGDY JA WAS.

Nigdy ja was nie zapomnę,
Pola moje przefaliste,
Lasy moje przeogromne,
Wody moje bystre, czyste!

Droga idzie i ucieka...
Gdzie ta chata, gdzie daleka?
Gdzie te sady i lewady,
Które bielił miesiąc blady?

Gdzie ta ścieżka wydeptana,
Skroś zroszonej trawy z rana?
Moje oczy tam patrzyły,
Gorzkiej rosy naprószyły...

Droga idzie i ucieka...
Nie zawróci w biegu rzeka,
Nie zawróci się do proga,
Z cudzej miedzy smętna droga!

Marya Konopnicka.

SERCE MI SIĘ WCIĄŻ WYRYWA.

Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozpływa,

A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej.

Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon
I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień, blaskami przetykany...
Mnie tu wpośród obych stron
Śnią się ciągle takie żniwa
I ta wierzba i te łany
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa!...

Lucyan Rydel.

POSZŁABYM JA...

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną, mroczną dal...
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,
Tylko mi cię żal!
. . . .

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,

Do szumiących fal...
Tylko mi cię żal,
Ty chato,
Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!
. . . .
Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine;
Poszłabym ja na stracenie
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...
Tylko mi cię żal,
Sokole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!
Marya Konopnicka.

NOKTURN.

Nocka mrokiem ziemię słoni,
Świat kołysze w sny,
Wiatr po sennej hula błoni,
Białe strzępiąc mgły.
Srebrny księżyc w gwiazd drużynie
To z chmur wyjrzy, to w nich ginie;
Zgasły światła — drzemie sioło,
Głucha noc i cisza wkoło,
Grają tylko w mgle derkacze
Szumi bór do snu

I fujarka w dali płacze:
Oj du du du du!...

Lecą pieśni, lecą chyże
Hen, w daleki świat;
Pod cmentarne lecą krzyże,
Pod okienka chat,
Pod mogiły zapomniane
Przypadają rozełkane
I kołacząc nutą rzewną
W okien szyby, w krzyżów drewno,
Biorą na swych skrzydeł loty
Wszystek ziemski żal
Wszystkie bóle i tęsknoty
I unoszą w dal!...

Nieme skargi, głuche bole,
Niespłakane łzy,
Ciche troski i niedole
Lecą, lecą w mgły.
Rozpętane czarem pieśni
To, co mżało w grobu pleśni,
I co skryte w piersi łkało,
Głos przybrawszy tam i ciało,
Rozszlochane na jaw rwie się
Wśród przyrody snu
A wiatr płacz ten w chmury niesie...
— Oj, du du du du!...

A gdy księżyc blaskiem strzeli
Z poza mknących chmur,
Majaczeje wśród mgieł bieli
Mar żałosnych chór

Pod fujarki dźwięków wodzą
Kwilą rzewnie i zawodzą, —
I łez czary niosąc w ręku,
Płyną w niebo pełne jęku,
Aż rozjaśni świt niebiosy
I wiatr zdmuchnie mgły —
Wtedy błysną w perłach rosy
Ich serdeczne łzy.

Włodzimierz Zagorski.

W POLU.

Biją dzwony... huczą dzwony...
Idę polem zamyślony,
A promienna fala zboża,
Jak złotego przestwór morza,
Szumi u mych stóp...

Ziemio moja! Ziemio moja!
Z tobą święty wziąłem ślub!
Biją dzwony... huczą dzwony...
Błękitnieje w dali las
Pieśnią sosen rozmodlony...

Ziemio moja! Pola moje!
Niebo moje! Słońce moje!
Lesie mój daleki...
Syn Piastowy — oczy poję
Urokami waszych kras!

Dźwięczą śpiże rozdzwonione
W południowej chwilę spieki...
Niechaj będą pochwalone
Pola moje, niebo moje,
Lasy moje, góry, rzeki...

Zdzisław Dębicki.

LITWO, OJCZYZNO MOJA!

Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem
(— Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu —)
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono!...
Tymczasem, przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Adam Mickiewicz.

LITWA.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokaźne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,

Gdzie pola, jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawią krajobrazy,
Takie rzeki kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta...
Ty nie dojdziesz tej sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia posępna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku;
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina,
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.

A jednak do twej treści zajrzawszy głęboko,
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;!
Siermiężny syn twych wiosek po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknej Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twem żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.

Władysław Syrokomla (L. Kondratowicz).

KRAJOBRAZ LITEWSKI.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,
Mieszając tu i owdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.

A przecież wokoło nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym, pasterskim rumieńcem,
Leszczyna, jak menada, z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
A niżej, dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna, czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stające panny i młodzieńce;
Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem:
Brzoza, biała kochanka, z małżonkiem swym grabem.
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
Tam matrony topole, i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.

Adam Mickiewicz.

KOLEBKA ADAMA.

Nieraz mi w oczy strach zagląda blady,
Istotą całą wzdrygam się do głębi,
Jak ci, co widmo ujrzeli zagłady.

Lecz gdy tak dreszcz mną potrząsa i ziębi,
Jak ptak spłoszony, — myśl do kraju słońca
Pierzcha... i zwolna, niby puch gołębi,

Jak na doliny mgła w srebrach miesiąca,
Spokój na duszę spływa. — O, Hellado!
Hellado, w krasie wieczystej stojąca,

By w złotej łuscc zbroi! Wichrów stado
Mknęło nad tobą, szły deszczce i burze,
Fala za falą spadały kaskadą,

Rwąc i unosząc marmur po marmurze,
Bóstwo za bóstwem, portyk po portyku,
Trzeba ci było — jasnej słońca córze —

Na prokrustowem łożu Paszaliku,
Półksiężycowi posłusznej krwawemu,
Przespać noc długą bez głosu ni krzyku.

Lecz się zbudziłaś ze snu, a wiesz czemu?
Bo z lica ziemi czas napróżno ściera
Tych, co moc trwalszą stawią przeciw niemu...
A tyś jest, Grecyo, ojczyzną Homera!

* * *

Jak ptak spłoszony, co pierzcha do słońca,
Tak myśl ma leci w te lasy i gaje,
Gdzie białą korą lśni brzoza płacząca.

W cieniu dąbrowy migocą ruczaje,
A w borach smukłe czerwienią się sosny; —
Gdzie w noc miesięczną z Świtezi powstaje

Opar w rusałki kształcie bezlitośnej,
A zorzę ptasząt chór pobożny wita —
I leci w pola, co na schyłku wiosny

Złoci pszenica, srebrzą łany żyta, —
I na wzgórzami falujące błonie,
Gdzie oczy pieści zieleń rozmaita.

Tam — już spokojny o siebie i o nie —
Śledzę bieg czasu, bo tam ziemia sama,
Co na matczynem przytula mnie łonie,
Szepce: — ja jestem kolebką Adama.

Ignacy Baliński.

POLESIE.

Smutny kraju Polesia! znajomyś mi nieco;
Mglisto twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą;
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary
Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,
Lasy ciemne i gęste, jakgdyby jaskinie,
Rzeka, co między łozą a sitowiem płynie,
Uprzykrzonych owadów drużyna skrzydlata,
I zielony motylek, co nad wodą lata,
I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
Ostrym krzykiem żórawia, klekotem bociana,
Albo pluchaniem czółna po spokojnej fali,
Kiedy rybak z więcierzem przemknie się w oddali.

Tajemny jakiś urok w mych oczach owiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,
Czarne, podarte chatki na piasku lub mszarze,
Słomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze,
Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą,
Gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą,
Gdzie w spokojnej mogile pomieszał się społem
Stary popiół pradziada z prawnuka popiołem.

Tu zasłonieni lasem i oblani wodą,
Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą;

Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży,
Nie przemienił ich mowy, ni kształtów odzieży;
Żaden nowy duch wieku nie przyłożył ręki,
By zmienić bicie serca albo takt piosenki.
Jak przed wieki nosiły słowiańskie narody,
Takie noszą sukmany, takie same brody,
Takie same siekiery, któremi dąb walą,
Takie same cierkiewki, w których Boga chwalą,
Tak samo ich posila miód, jagła i ryba,
Nic tutaj nic przybyło — trochę nędzy chyba.

Czasem nową piosenkę żniwiarka ukleci,
Ojciec nowe podanie opowie dla dzieci,
Co mu ze starych wspomnień po głowie się kręci,
Co się działo w tej wiosce za jego pamięci.
Drobne wspomnienia wioski lub pańskiego dworu
Dają na wieczornicach treść do rozhoworu.
Tam przy smolnem łuczywie, w wesołej gawędzie
Gdy chłopak wiąże siatkę, dziewczę kądziel przędzie,
Gdy bajki pradziadowskie poczną bajać starzy,
Serce się rozkołycha i głowa rozmarzy,
Że zapomnieć tych bajań niema żadnej mocy,
Będziesz myślał dni kilka i śnił kilka nocy,
Powieść smutną czy straszną, nie przestaniesz marzyć,
Musisz ją złożyć z serca — drugiemu wygwarzyć.

Władysław Syrokomla (L. Kondratowicz).

O UKRAINO!

O Ukraino! o Ukraino!
Matko kozaka, i matko konia,
Kolebko gęśli, wieszczów dziedzino,
Tęsknoż mi, tęskno do twego błonia!

O ukochana ziemio Bojana,
Matko dnieprowych dum i Farysów,
O czarodziejko, mnie tylko znana
Z twojego wieszcza opisów!

Och! i ja także dziecko Podola,
Kocham równiny, szerokie pola;
I jak na jawie duszą stęsknioną
Widzę, com nigdy nie widział okiem:
Górą błękitno! dołem zielono!
O Ukraino! o Ukraino!
Po twojem błoniu bujam szerokiem,
Z wiatrem, jak fala burzany płyną,
Na wiatr się grzywa miota rumaka,
W stepowej trawie strzemiona toną,
Dołem zielono! a górą sino!
O Ukraino! o Ukraino!
Trzebaby chyba skrzydła mieć ptaka,
By nie zazdrościć jeździe Kozaka.

Powiedz mi jeszcze, powiedz Zaleski!
Jak tam rozkoszą poi się łono?
Step tu zielony, step tam niebieski,
Och! to i w duszy jasno zielono!
Niebo gwiazdami, ziemia kwiatami
Złocą się błyszczą, wonieją, płoną,
W dal płynie stepów morze bezbrzeżne,
Myśl pod błękitu ciśnie się sklepy,
Na koczowiska gwiazdek noclężne...
Boże! coś takie stworzył dwa stepy,
Mnieś nie dał bujać po stepach ziemi!
Kiedyż, rzuciwszy życia padoły,
Wzlecę, gdzie skrzydły szumią srebrnemi,
Farysy nieba, Anioły?

Adam Pajgert.

JEŻELI KIEDY W TEJ MOJEJ KRAINIE.

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały pod chaty i sady. —

Jeśli tam będziesz duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona: —
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jak orzeł obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Powietrze lżejsze, które cię uzdrowi,
Lałem z mej piersi... mojemu krajowi...
. . . .
. . . .
. . . .

Juljusz Słowacki.

NASZA SKRUCHA.

Tyś nam Panie! na dziedzinę
Błogosławił Ukrainę;
Umalował w blask i kwiecie,
Że jest, jako jedna w świecie!

Samorodne — plenne zboże
Buja w łanach jako morze;

Sine wody — rdzawe lasy
Jak chorągwie dziwnej krasy!

Wieczną pieśnią step świegoce:
Ptactwo — ryby — miód — owoce,
Wszelkie dobro — w Ukrainie,
Że po świecie całym słynie!

Słyną w Litwie i w Koronie,
Chrobra młódź, — a dzielne konie,
Słyną dziewy krasą lica;
Słynie Duma — Czarownica!

Dałeś Panie! kraj nam bujny,
By lud w Łasce rozmnożony
Chwalił Cię, żył bogobojny,
I pożywał ziemi plony.

A Tatarzyn wciąż pustoszy;
Bo pomału śród rozkoszy,
Z płochej waśni, z głupiej pychy,
Zawracamy w żywot lichy.

Rozhukani już — rogaci
Bracia — mieciem się na braci.
Aż się wzajem wydziedziczym,
I pospołu pójdziem z niczem.

Panie, Panie, nakłoń ucha!
W kilku sercach szczera skrucha;
W tej gorącej naszej skrusze
Lodowate roztop dusze!

Bohdan Zaleski.

UKRAINA.

Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód twe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!

Wóz twój biegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza, —
I krew raźniej ruszy w żyłach, —
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoją po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.

W jarach kraj ku rzekom spada,
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...

Hej, ku morzu, ku Czarnemu,
Ku limanu szerokiemu
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj, koniu, po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci,

Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem lis pomyka.
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną mary przez czahary,
I krynica bije na dnie...
A tu czesze stepem, borem,
Z listem kozak, gdzie pan każe;
I czumackie ciągną maże
Od limanów w świat taborem;
Po rozdrożach czort je wodzi
I tumany nocne płodzi...

Ponad Dnieprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijów stary;
Tam złocone monastery,
A w nich czerńce staro-wiery.
A gościńcem do Kijowa
Płyną maże z miodem, z zbożem,
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie sioła;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła,
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A mołojec każdy wojec,
Raźny, harny — a od lica,
W sercu śmiałem, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew koszowych;

A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśni żyje;
Jak stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...

Wincenty Pol.

POWITANIE.

Znowu was widzę, doliny, zdroje
I ciebie, gaju mój cichy,
Gdzie sny młodzieńcze, marzenia moje
W róż rozkwitały kielichy;
Gdzie myśl, rzucona w przyszłość daleką,
Wracała bez bólu znamion —
Świeciły ognia skry pod powieką
I rosły skrzydła u ramion.
Witam cię, złotych wspomnień kraino,
Owiana pamiątek ciszą!...
Te same wichry przez stepy płyną,
Na piersi traw się kołyszą —
Te same fale w Dniepru głębinie,
Po których długa łódź skacze —
Echo tak samo w rozdołach ginie,
Tak samo woła i płacze...
Dotykam piersią, biorę do dłoni
Znajome kwiaty i drzewa — —
Każdy liść szepce, każdy szept dzwoni,
Pieśń kolebczaną mi śpiewa.

W powietrzu słyszę szmery i gwary,
Coś pierś porusza, słuch nęci — —
Z grobów zapadłych wstaje świat stary
I gwałt zadaje pamięci.

Wirują blaski, światła i tęcze,
Szelesty płyną i grzmoty —
Stargane wspomnień nici pajęcze
Wiją się znowu w pas złoty.
W błękitach krążą powietrzni gońce,
Promiennej tęczy lśni brama —
To samo niebo, to samo słońce,
Podemną ziemia ta sama!
Porwany czarem sennych mamideł,
Rzucam wzrok błędny dokoła:
I słyszę polot anielskich skrzydeł
I pocałunek anioła.
Chwila upojeń!... Świateł kaskada
Zrywa się nagle i pęka — —
Gmach dawnych marzeń w gruzy zapada,
A dawna zostaje męka.

Darmo... o, darmo zbolałe serce
W cichem się łkaniu rozpływa:
Mgły znów opadły na łąk kobierce,
Wichr wszystkie listki róż zrywa.

O! szumcie gaje! dzwońcie wód zdroje —
Róże! w barw stójcie purpurze — —
Już ducha szmerem fal nie napoję,
Nie rozmarzycie go róże!...
Niechaj na liliach srebrzy się rosa,
I w białe chmury owity,
Milczący księżyc srebrzy niebiosa,
Przez ciche płynie błękity;
Niech pająk cienkie rozciąga płótno,
Ptak śpiewa w gajach zielonych — —
Co mi po czarach, gdy w duszy smutno,
Gdy mar nie wrócić prześnionych;

Co mi, że niebo gwiazdy złotemi
Świeci, jak dawniej świeciło —
Że czas nie zmienił nieba, ni ziemi,
Gdy się coś w sercu zmieniło!

Kazimierz Gliński.

BOŻE, KTO CIEBIE NIE CZUŁ...

Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wietrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma...

Kto cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywem,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogiły głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie —

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś, ani rwąc stokrocie,

Znalazł w stokrociach i niezapominkach;
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach.

Znajdzie — ja sądzę, że znajdzie — i życzę
Ludziom małego serca, kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety.

Juljusz Słowacki.

PODOLE.

Na stu koniach jadę!
Każdy dzień zarumienia moje usta blade,
Sieje mi blask do oka i przysparza siły.
A jedziemy rodzinnem Podolem; mogiły
Z łona pól wstają — na nich posępny, samotny
Siedzi orzeł, tych grobów wysłannik powrotny,
Sprawia się z odbytego przed braćmi poselstwa.
Gdzieniegdzie przezroczysta, niewielka dąbrowa,
Kędy mnóstwo słowików nosi się i chowa,
A ona, pełna jęków pieśni i anielstwa
Stoi — u mogił ni to chór pogrzebnych płaczek.
Ciągnie się łan za łanem, obszar za obszarem,
Z jeziorek dolatują gwary dzikich kaczek,
Zresztą głucho; niekiedy równia się urywa,
Droga wężowym ruchem po kamieniach spływa
Do rzeki, co z poważnym szumem płynie jarem —
Jakież to ona brzegi wygniotła ciężarem!
Piętrzą się skalne ściany a na litych skałach

Sterczą zamków zwaliska; nieraz cichą nocą
Rozlega się grzmot w górach, jak po Samopałach,
Huk podobny taranom, gdy mury druzgocą,
Zdaje się, że zamek wre szturmem; arkada
Pękła — i tym hałasem żegna świat i spada
Do wody zapomnienia. Kiedy księżyc blady
Srebrnem światłem spustoszeń pozaciera ślady,
Każemy stanąć koniom, do ruin idziemy —
Tam w zamkowym dziedzińcu siadamy na głazie,
A ojciec mi przed duszę obraz po obrazie
Ze starych kronik rzuca; i wówczas ten niemy,
Ten śpiący zamek dla mnie napełnia się wrzawą,
Jacyś ludzie stąpają zbrojni i w żelazie,
Inni jak w sufit mieczem biją pod murawą —
Słyszę ich! drżący, ręką po mem czole wiodę,
Serce mi bije głośno... Złote serce młode!

Kornel Ujejski.

DUMKA PODOLSKA.

Gdyby orłem być,
Lot sokoła mieć!
Skrzydłem orlem lub sokołem
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć!

Droga ziemia ta,
Myśl ją moja zna!
Tam największe szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!

Tambym noc i dzień,
Jak zaklęty cień:

Krążył nad nią, jak wspomnienie,
Pierś orzeźwiał, czerpał tchnienie,
Z tamtych lubych tchnień!

Gdyby gwiazdką być,
I w obłokach tkwić:
Jasnem okiem w noc majową,
Nad kochanki mojej głową,
Do poranka lśnić!

Albo z poza mgły,
Zsyłać słodkie sny,
Jak w jeziora tle przejrzystem,
Odbijać się światłem czystem,
W kropelce jej łzy.

Takbym noc i dzień,
Jak zaklęty cień:
Niewidzialnem patrząc okiem,
Zachwycał się jej widokiem...
Boże! w gwiazdkę zmień!

Próżno się tych dni,
Obraz w duszy śni:
Zapłacz, luba, gorzkim płaczem,
Nad kochankiem i tułaczem,
Co był miłym ci!

Biedni, biedni my,
Wspomnieć serce drży:
Orły lecą, gwiazdy cieką,
Nad Podolem gdzieś daleko,
A na oczach łzy.

Maurycy Gosławski.

STEP.

Szumią trawy i burzany,
O! zielono skróś, o! sino,
Jako fale wciąż kurhany,
Step — a step — a rozbujany,
Morze twoje, Ukraino!
Kędy wdłuż i wszerz za Turkiem,
Koń i kozak chodzim nurkiem!

Witaj — wielki mogilniku,
Krwią i ciały ległych żyzny!
Co w około zgiełku — kliku?
Tabunowych stad bez liku,
Trzód bez liku, rogacizny,
Po nad wodą tam zieloną,
Pohasują — płyną — toną!

Patrzaj — patrzaj na rozdoły!
Różnowzory tłum skrzydlaty,
Który jako gmin wesoły,
Na chorągwie, na powiaty,
Rządzą orły a sokoły:
I czerń zgodna — raźno, strojnie,
Wyśpiewuje — jak po wojnie.

Stepie — stepie nasz rodzimy,
Po rodzicu, och! z rodzica
Zadumane nasze lica!
My tu wszyscy pobratymy!
Och! i Duma, to siostrzyca;
Jako nasze — jej oblicze,
Tęskne — dziwne — tajemnicze.

A taż wieczna tu muzyka,
Niby rozbrzęk gdzieś gęślowy
Co nie wiedzieć, skąd wynika?
Och! senliwa — jakoś dzika —
Podmogilnej wyraz mowy,
W rozpierzchnione zdaje szumy!
Czy nie nuta naszej dumy?

Dumoż — dumo Bojanowa!
Tak tu bujno i przestronno,
Że nabrzmieją w rozhuk słowa!
Cięży dzisiaj czemuś głowa
Dumo! kiedyż wesół, konno,
Hukniém w stepie? Kiedyż po nim
Wdzięczną, brzęczną pieśń zadzwonim?

Bohdan Zaleski.

WSI SPOKOJNA, WSI WESOŁA!

Wsi spokojna, wsi wesoła!
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Człowiek z tej pieczy uczciwie
Bez wszelakiej lichwy żywie,
Pobożne jego staranie
I bezpieczne nabywanie.

Inszy się ciągną przy dworze
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżej niż na piędzi.

Najdziesz, kto w płat[1]) język dawa,
A radę na funt przedawa;
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardła na to odważają.

Oracz pługiem zarznie w ziemię,
Stąd i siebie i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek.

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają,
Nań przychodzi z owiec wełna
I zagroda jagniąt pełna;

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszytko nosi.
Skoro ten siew odprawiemy,
Komin w koło obsiędziemy;

Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte,
Tam trefne pląsy z ukłony,
Tam cenar, tam i goniony[2]).

A gospodarz wziąwszy siatkę
Idzie mrokiem na usadkę,
Abo sidła stawia w lesie;
Jednak zawżdy co przyniesie.

W rzece na gęste więcierze
Czasem wędą ryby bierze;

[1]) Przedaje. [2]) Gry miejscowe.

A rozliczni ptacy wkoło
Ozywają się wesoło;

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz siedząc w chłodzie
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A faunowie skaczą leśni.

Za tym sprzętna gospodyni
O wieczerzy pilność czyni,
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek;

Ona sama bydło liczy,
Kiedy z pola idąc, ryczy,
Ona i spuszczać pomoże;
Męża wzmaga jako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszej głowie,
Wykną przestawać na male,
Wstyd i cnotę chować w cale.

Dzień tu; ale insze zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy i pożytki.

Jan Kochanowski.

WSPOMNIENIE WIOSKI.

Fragment.

Wieś!... to me życie, to podarek Boży!
To kwiat, co spada z anielskiego czoła,

Gdy go dłoń lekka lekko w sploty włoży.
O, wieś z początku cicha i smętnie wesoła
Leży, jak flet, co w sobie liczne pieśni tłumi,
Lecz weź no ten flet do ust, pocałuj go szczerze,
A dopiero usłyszysz, co on śpiewać umie,
A dopiero on pieśni dla ciebie wybierze:
I będzie ciebie błagał, będzie ciebie prosił
Ażebyś go przy ustach pałających nosił.

Na wsi słowik jest piewcą — on tam nie dba wcale,
Czy go pośród oklasków przyjmą okazale
On, w nocy pod okienkiem siadłszy na kalinie,
Nawet o tem i nie wie, że śpiewa dziewczynie.
On wesół skubie listki wonnego jaśminu,
Bawi się niemi, gęślarz, swobodny — szczęśliwy,
Bo dla niego liść każdy jest liściem wawrzynu.

Na wsi burza przeraża! piorun jest straszliwy,
Gdy wije się po niebie i przegryza chmury:
Lecz w mieście nie dosłyszą słów matki natury,
Którą pokaleczywszy i złożywszy w grobie,
Bawią się, tańczą sobie...

Nie lubię miasta! nie lubię wrzasków,
I hucznych zabaw, i świetnych blasków,
Bo ja chłop jestem — bo moje oczy
Wielmożna świetność kole i mroczy.

Więc — na wieś wrócę; o wsi wesoła!
Ty mię powitasz, kwiatku anioła.

Tak na wieś wrócę, do swoich wrócę —
Sterczące kości napotkam w roli,
I dla tych kości piosnkę zanucę.

Już wracam myślą — wzrok jej sokoli
Naprzód zobaczył lipy cieniste,
Zielone smugi i wody czyste.
Serce, ty czujesz strony rodzinne,
Bo tam dla ciebie było wesele,
I szczere modły w wiejskim kościele,
I czucia szczere — niewinne...

Noc — rosa pada, myśl na chwilkę leci,
Między lipowe, topolowe drzewa,
Tam, kędy w oknie blady płomyk świeci:
I przyleciała — pod płotem stanęła,
Jak żebrak, co się jałmużny spodziewa,
Łagodnym wzrokiem w oknie utonęła,
Lecz nikt nie widział, że ona tam stoi,
Nikt jej tam wcale nie czekał,
Tylko pies wierny zerwał się — zaszczekał.
»Czy poczuł wilka? Czy się czego boi?
Że tak ujada bez końca«.
O nie, nie poczuł ni wilka ni strachu,
Tylko myśl moją — mej pamięci gońca,
Moje wspomnienie poczuł i przywitał.
Bo on tam o nie nieraz, wyjąc, pytał,
On jeden uczuł, gdy stało za płotem,
I kiedy bliżej przyleciało potem,
By na rodzinnym siąść dachu.

Cypryan Norwid.

O MOJEJ WIOSCE.

O ty moja wiosko, rozłożona dołem,
Z sinym dymu wiankiem nad słomianem czołem,
Chaty twe wzdłuż rzeczki do ziemi przylgnęły,

Płoty w swe ramiona twe sady ujęły,
A jak ule w lecie wyroją się pszczołą,
Pracowitym ludem tak roi się sioło.

A nad siołem wyżej zieleni się wzgórze,
A mruczący potok myje mu podnóże,
Na wzgórzu szeroko zamek się rozpiera,
Baszt swych strzelnicami na chaty spoziera
Z herbami nad bramą, swym kamiennym stropem,
Góruje nad siołem, jako pan nad chłopem.

A za zamkiem wzgórza drugiego wierzchołek,
Wzwyż nad zamek rośnie, a na nim kościołek,
Wieżyczkami dwiema ku niebu wystrzela,
Nad wieżami błyszczy krzyżem Zbawiciela,
I pogląda z góry ta pańska świątnica,
I na chaty kmiece, i na gród dziedzica.

To porządek dawny, kto się tu budował,
Może sam bez wiedzy taki ład zachował:
Zamek pośród sioła czujnie patrzał z góry,
Bo dla chat puklerzem stały one mury,
Jak szlachcic dla ludu tarczą był od wroga,
Nad nim błogosławiąc stoi kościół Boga.

Dzisiaj inne czasy! Posępnie ku wiosce
Patrzą baszty stare, niby w cichej trosce,
Zdaleka od sioła w zacieniu dąbrowy,
Na równi ze siołem mieszka dziedzic nowy;
Na fali, na cichej odbity przeźroczu,
Dom jego samotny stoi na uboczu!

Stąd wychodzę nieraz o wieczornej zorzy
Kędy chaty kmiece, kędy kościół Boży,

I patrzę na stare śród sioła zamczysko,
Moich poprzedników puste dziś siedlisko,
I na dom, co w inną powędrował stronę,
Gdy kościół i chaty stoją niewzruszone.

A kościelny dzwonek głosi Anioł Pański,
Nocne leci ptactwo na gród kasztelański,
I w szczelinie baszty smutnie puszczyk krzyczy,
A do chat swych z pola wraca lud rolniczy;
Ja w milczeniu dumam przy zachodzie słońca,
O tem, co ma koniec, o tem, co bez końca!

Adam Pajgert.

UCIECZKA.

Amplius invenies in silvis
quam in libris.
S. Bernardus.

Z miejskiego gwaru, od stęchłych ksiąg,
Znużon, uciekam na łono wsi,
Tam powitają mnie wonie z łąk,
Tam wróci spokój i dawne sny.

O strome wzgórza! błonia zielone!
O niezmierzony niebios błękicie!
O nocy wiejska, co z gwiazd koronę
Wieszasz na krzyżów przydrożnych szczycie!

O siwe pasma dalekich gór!
O lasy pełne tajemnych drżeń!
O białe stadka żeglownych chmur!
O woni, którą tchnie noc i dzień!

Witam was, witam! Na waszem łonie
Złożę swe bóle, zwątpienia, smutki,

Radośnie spojrzę w strumyka tonie,
Jak dziecię, zerwę kwiat niezabudki.

Wsłucham się w borów potężny szum,
Wpatrzę w zachodów i wschodów czar,
Tysiąc przebudzi się we mnie dum
I czarodziejskich powstanie mar.

Na pierś twą padnę przyrodo-matko,
Do łona ziemi przyłożę ucho;
Ty wytłomaczysz, co mi zagadką,
Serce napoisz męstwem, otuchą.

A gwar twych lasów i szmer twych wód
Snadniej, niż książek odwiecznych pleśń,
Rozjaśni życia wszech tworów cud
I wtajemniczy w wszechbytu pieśń.

Miriam.

A CZEMŻEŚ TY DLA MNIE WIOSKO?

A czemżeś ty dla mnie, wiosko,
Czemże ja tobie —
Że tak lecę do cię z troską
O każdej dobie
Myślami,
O każdej dobie.

Że tak lecę, a spoglądam
Ku czarnej roli,
Że cię pragnę, a pożądam,
Jak własnej doli,
Zbawienia,
Jak własnej doli.

A czemżeście dla mnie chaty,
Wy progi nizkie,
Że mi wasze znoje, straty
Tak sercu blizkie,
Siostrzane,
Tak sercu blizkie?

Czemże ja wam zasłużyłem,
Pola a niwy
Że mi przy was życie miłem,
Dzionek szczęśliwy,
Złocony,
Dzionek szczęśliwy.

Co wy macie do mnie, drzewa,
Wy, polne grusze —
Że gdy wietrzyk wami śpiewa
Ja łzami prószę,
By rosą,
Ja łzami prószę?

A czyście mi co zadały
Chaty a wioski?
A toć wrócę do was cały,
U białej brzozki!
Zalęgnę,
U białej brzozki!

Toć nie zginę na tym świecie
Powrócę cały;
Toć mię prochem znów weźmiecie,
Jakeście dały,
Zrodziły
Na życie dały!

Kazimierz Laskowski.

POKÓJ WSI.

Pochwalona wieś dobra, wóz, konie i grabie,
Gumna, cepy i kosy ostrzone u bruska,
Wszystkie narzędzia, których chwałą zbiór i zwózka,
Rola, miedza, ściernisko, późne lato babie.

Wiatrak, co w modłach wznosi swe ramiona rabie:
»O, przyjdź wietrze, przyjdź zboże! Odpadnie twa łuska!«
Ręce chłopa i dziewki i jej chusta ruska,
Śpiewanki, dymy perzów i rechoty żabie:

I żmudna młódźba, zimy zasobnej znachorka,
I woły, jarzma, pługi i brony i orka
I jesień i pogoda piękna jak niedziela.

I chaty kurne pełne święconego ziela
I ten zmierzch rozczulony, gdy wozy w śpichrz zwożą
Ziarno, a ludzie w serca swe spokojność bożą...

Leopold Staff.

KOCHASZ TY DOM.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, skroś srebrnej mgły,
Szumem swych lip, wtórzy twym snom
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew,
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

Marya Konopnicka.

STARY DOM.

Na wielkim oceanie,
Co szumi Francyi snom,
Maluje serce moje
Daleki w Polsce dom.

W pierścieniu lip go widzę,
W bieli drewnianych ścian,
Któż wie, jak dawno nad nim
Obłoki wodzi Pan?

W nizkie mu okna patrzą
Kwitnące krzaki róż,
Wysmukłe malw anioły,
Gałęzie starych grusz.

Ganek w zielonym płaszczu,
Utkanym z winnych łóz,
Na białych wsparł się słupach
I patrzy w słońca wóz.

W dziedzińcu jesion stary
Szumi i noc i dzień.
O dawnych szumi czasach,
Co wsiąkły w jego cień.

Tak rośnie mi w błękicie —
Na piersiach szumnych wód —
Kochany dom, daleki
Dla serca mego cud.

Kołyszą się na falach:
Dom, róże, malwy, sad.
Za nimi serce moje
Miłośnie płynie w ślad.

I widzę: ktoś wstępuje
Na ukochany próg;
Ktoś młody, promienisty,
Ma w ręku złoty róg.

Na ganku rycerz staje,
Na złotym rogu gra —
Lśnią wody — dom mój płynie,
Jako kwitnąca kra.

Nowa to pieśń rycerska
Z ganku starego brzmi,
Słucha jej wielkie morze
I szumnym wtórem grzmi.

O młodym śpiewa Bogu,
Co męski kocha czyn,
Radosne pieśni kocha,
Mężnym nie liczy win;

O hufcach duchów, które
Niezłomną wolą tchną;
O przyszłych krwawych bojach,
Od których światy drgną.

Zwycięskie wieści wieńce
Radosny rogu głos.
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

* * *

O domie, domie stary,
Nie wie o tobie świat,
Lecz czarodziejskie jabłko
Twój cichy wyda sad.

Mchy są na dachu twoim,
Spróchniała przycieś twa;

Lecz przyjdzie budowniczy,
Co nową przycieś da.

A gdyby topór zimny
Twe ściany zburzyć miał,
Nie zginiesz stary domie,
Na sercach będziesz stał.

Aż przyjdzie taka pora,
Dzień jasny, gwiezdna noc,
Że znów na dawnem miejscu
Staniesz na wiek, na moc.

Znów lipy cię otoczą,
Zakwitnie róży krzak,
U okien klękną malwy,
Radosnej ciszy znak.

Ja wtedy w chłodnej ziemi
Głęboko będę spał;
Wiatr cichy niepamięci
Nade mną będzie wiał.

Cóż?... Losu nie odmienić —
Wszystko ma los i czas.
Lekka jest czasu stopa,
Szybko prześciga nas.

Ale zostanie po mnie
Niezłomnej wiary ton,
Że kiedyś w mej Ojczyźnie
Bohaterstw zagrzmi dzwon.

A jeśli to zostanie,
Niech idą kości w pył.
I bezimienny będę
W Ojczyzny sercu żył.

Tak to na obcych morzach,
Bijących w skalny złom,
Maluje serce moje
Kochany, stary dom...

Maryan Zbrowski.

ROK POLSKI

WIOSNA.

PRZEDWIOŚNIE.

Na krótko niebo błysnęło słonkiem
I znów się skryło w mgły...
Chwila za chwilą, dzionek za dzionkiem
Płyną, jak ciche łzy.
Błękity chcą już rozbrzmieć skowronkiem,
Serce ku wiośnie drży...
Na krótko niebo błysnęło słonkiem
I znów się skryło w mgły.

Wypłynął rączy strumyk z olch cienia,
Zmroził go wichru wiew...
Szumią gałązki, niby wspomnienia,
Niby rozwiany śpiew.
Budzą się w sercu żądze, pragnienia,
Burzy się młoda krew —
Wypłynął rączy strumyk z olch cienia
Zmroził go wichru wiew.

Puste na strzesze gniazdo bocianie,
Mgła nieprzejrzana wkrąg —

Sen nad lasami, cisza na łanie,
Wśród sadów, pól i łąk.
Gdzieżeś ty, gdzieżeś sielskie śpiewanie
I praco ludzkich rąk?...
Puste na strzesze gniazdo bocianie,
Mgła nieprzejrzana wkrąg.

Hen — na ugorze błądzi wilczysko,
Zbójecki szczerzy ząb;
Do chat wieśniaczych podchodzi blizko,
Skrycie zaziera w głąb;
Może tam jasne płonie ognisko,
Wyrzuca dymów kłąb?...
Hen — na ugorze błądzi wilczysko,
Zbójecki szczerzy ząb.

A ludzie mówią, że to przedwiośnie,
Ino się zbliż do wrót:
Grają wróblęta, grają radośnie,
Śpiewają, jakby z nut...
A w sercu mojem żałość wciąż rośnie,
Nienasycony głód —
A ludzie mówią, że to przedwiośnie,
Ino się zbliż do wrót.

Do wrót się zbliżam, idę za wrota —
I widzę mglistą dal,
Przede mną płyną żal i tęsknota,
Za mną: tęsknota, żal!...
Jeno się serce, jak ptaszę miota,
Powietrznych żądne fal...
Do wrót się zbliżam, idę za wrota —
I widzę mglistą dal!

Kazimierz Gliński.

KWIECIEŃ.

Jaśniejsze słońce weszło na nieba weselsze,
Stawy się obudziły srebrne, chaty bielsze...
Na południowych stokach żywiej się zieleni
Ruń ciemna, głodna jeszcze cieplejszych promieni.
W polu, kędy się zwrócić, ze wszech stron do rzeki
Wody się głośne sączą tajemnemi ścieki,
A na ługach stanęły, jak jasne zwierciadła,
Gdzie niebios siność złota całą piersią padła.
Na wierzbach, co puszyste wypuściły kotki,
Słychać brzęk os, wiosennych poranków hymn słodki.
I drozd już piosnkę zaczął urywaną; śpiewa
I słucha, bo się ozwał głos z drugiego drzewa.
Jedne wrony opłotki opuściwszy z wiosną,
Powtarzają w topolach skargę swą żałosną,
Aż siniejącem skrzydłem łopocąc z hałasem,
Podniosą się i kracząc, krążą ponad lasem,
Podobne liściom, kiedy zczerniałe i suche,
Wirują przez jesienną gnane zawieruchę,
I zdala, w polu — nakształt barwnych ptaków stada —
Świeci się w młodem słońcu robotnic gromada.
W powietrzu taki spokój, że stąd słychać śmiechy;
Gwary i zapomnianą w zimie pieśń uciechy;
A krasne chusty, roli szary smug, chat ściany
Migają, jakby we mgle ciepłej i świetlanej.

Konstanty Górski.

PRZEDWIOŚNIE.

Dreszcz wiosny. Wierzba puszcza już kosmate bazie,
Woń ostra i upojna tchnie z brunatnej skiby,

Pachnąc niby pot pracy i wilgotne grzyby,
Ciepłe, deszczowe niebo śpi na krajobrazie.

Czarna ziemia oddycha głęboko, jakgdyby
Wyzwolona, po długim surowym zakazie,
Mięka i czuła tkliwość, podobnie zarazie
Wnika z powietrza w ludzkie serca i sadyby.

O dobre, pobłażliwe, zacne oczy wołu!
Serce chore słodyczą ziemskiego żywiołu
Taje wzruszeniem, które oddech w piersi niemi.

I nigdy mi nie było tak mało potrzeba
Do szczęścia, jak, gdy czując na czole łzy nieba,
Położyłem na sercu swem garść chłodnej ziemi.

Leopold Staff.

WIOSNA.

Niech lato kopy liczy, niech jesień winnice
Uprząta, i przestronne napełnia piwnice:
Bachusowymi niech się zima mięsopusty
Szczyci, w które pozwala cnej młodzi rozpusty.

Wiosna wszystkiemu czołem: ona śniegi zbiera,
I na przemarzłej ziemi ona rozpościera
Różnych kwiatów szpalery; taje lód żałosny,
Gdy mu gwałtem dogrzewa lubej ciepło wiosny.

Z ujeżdżonego grzbietu Wisła zrzuca lody,
I wszelkie w dalszej nie chcą żyć niewoli wody.
Pogodne dni oświeca z ciepłem jasne słońce,
A ziemia śnieżnej zbywa, jak przez gwałt, opończe.

Ustały zawieruchy: na to miejsce goni
Uciekające Austry z Zefirem Fawoni:
Przy których Etezye, jak i Kaurus wieje,
Aż wszelki rodzaj kwiatków w ogrodach się śmieje.

Twa ręka, panno piękna, niechaj nie mitręży,
Niech ci z prędką nagrodą ta praca nie ciąży.
Wiosna każe: bierz krzaki z piwnic rozmarynu,
Lubo są obumarłe, nieś je do dziardynu.

Gdzie jak prędko ożyją z wiosennej wilgoci,
Wieńcem twej głowie będą pamiętne dobroci.
Toż pachnąca lawenda, tulipan, fiołki,
W różnobarwne upstrzywszy kolory wierzchołki.

Narcyzy, hiancynty i heliotropy,
Tuż za biegiem słonecznym postępując w tropy.
Tu swej blednie lilia białością natury,
Tam się róża czerwieni rumieńcem purpury.

W drugim krzaku zaś biała, na słoneczne przyjście,
Przyjemną czyniąc wonią, swe rozwija liście.
Zefiry powiewają, woda bieżąc mruczy,
To wszystko, piękna dziewko, niechaj cię nauczy:

Jako masz kwitnącego dziś zażywać wieku,
Który raz utracony, nie wróci się człeku.
Wiosna, młodość, uroda, w nieścignionej łodzi,
Bystrym Dunajca nurtem płynie i uchodzi.

Róża prędko opadnie, jesień kwiatkom szkodzi,
Które zaś przyszła wiosna powtórnie odmłodzi:
Człowiek w następującej dalszych lat jesieni,
Drugi raz nie odmłodnie, ani się zieleni.

Przeto kwitnącej pory lat tych zażyj snadnie,
Już się ten kwiat nie młodzi, kiedy raz opadnie.

Wespazyan Kochowski.

WIOSNA.

Wiosna, wiosna krasawica,
Jako wyszła z Boga ręki,
By pierwszego raj dziedzica
Umiliła swemi wdzięki:
Oto sługa niebios Pana,
Do nędzarza tutaj — świata,
Zbiega strojna i bogata,
Taka luba, rozkochana!
Ukraińcy, na kolana!
Sławmy dary Pańskiej ręki,
Pijmy rajską woń i dźwięki!...
Oto tkliwa na wołania,
Jak dziewica do młodzieńca
Daje znaki — już się skłania —
Kwiat zabłysnął u rumieńca;
Tu, tu, gońce zwiastowania,
W dół kołują już jaskółki;
W huk żórawiów ciągną pułki;
Bieży wietrzno i poskocznie,
Oddech lekki, wonny, suchy,
O! na chwilę już nie spocznie,
Swawolnica pośród dzieci;
Stroi drzewa, w listki, w puchy;
Znów inaczej stroi — kwieci;
Znów przestraja po raz trzeci.
Palnem szkłem ogradza słońce,
By grzać trawki do igraszki;

Malowane swoje gońce,
W chór urządza, muszki, ptaszki,
I rozkoszna luba spółka,
Jak na hasło — w niebogłosy,
Grzmi na gaje — grzmi na wody —
Że aż rwie się kwiat z pod rosy;
Dzięcioł, grzywacz i kukułka,
Niech pilnują dźwięków zgody!
Cicho — cicho — klasły ziółka —
Tu gdzieś w gaju rozkosznica!
Cicho — cicho — oblubieńca
Wabi w świetle tam księżyca!
Coś czaruje blaskiem wieńca!
Czuć, jak płomień bucha z lica —
Z pełnej piersi dysze wonią —
Już się skłania — już się skłania —
O! słowiki głośniej dzwonią.
Czy słyszycie całowania?
Już się skłania — już się skłania!

Bohdan Zaleski.

POWRÓT WIOSNY.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur,
Z dolin i gór —
Zimowe, śnieżne spada okrycie,
Jasnym połyskiem srebrzą się wody,
W łonie przyrody
Wre życie.

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radosna;

Kwiat swe tulące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki.
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szlak;
Miły to ptak —
Gdy na skrzydełkach zawieszon, śpiewa,
I cały urok rozkwitłej wiosny,
W swój śpiew miłosny
Przelewa.

O! gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko śnić...
Z uwiędłych marzeń znów się ocucić,
Kochać i nucić —
Jak z młodu!

Gustaw Zieliński.

WIECZNIE TO SAMO.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki, szczebiocąc, wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą jak kryształ rzeczułką;
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce
I słonko przygrzewa w poranek.



Józef Chełmoński — Orka

Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
W zielonym gaiku przepadnie.
Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościołka
Na ranne modlitwy zadzwoni;
A dzwonek zamilknie, to złota mi pszczółka
Zabrzęczy na kwietnej, na błoni.
A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
O! Boże mój drogi — w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i letsze.
Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączki rozpuka:
I słucham, jak w lesie pod sosny koroną
Kukułka wciąż kuka i kuka.
Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?...
O ptasze ty moje! o ptasze ty wieszcze,
I kiedyż tam będzie ostatek?...
Już dziesięć, dwanaście, i jeszcze wciąż dzwoni,
Za wiele moja ty ptaszyno —
— Nie bój się, nie wiele — w ojczystej ustroni
Twe lata jak woda przepłyną.
. . . .

Teofil Lenartowicz.

NA PRZESILENIE WIOSENNE.

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wichr marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór
Twój, zimo, strój lodowy.

W tych kłębach chmur, co błyskawicą
Czerwone gromem biją:
Zawitaj nam, Dziewico,
Zawitaj nam, Maryo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi;
Że w grozie tej jest pączek róż!
Lecz Matko, świeć tej łodzi —
Co z mórz się szałem grzmiącym łamie;
O, gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącym daj Twe ramię,
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Nawpół wygląda z pąków!
I ponad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków.
O, Maryo! Ty miłości zdroju,
Rolnika spełń nadzieje.
Niech Twoje nań w pokoju
Błogosławieństwo wieje.

I ptaszkom daj na gniazdko cień,
W rozkwitłem państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień,
I rozkosz daj wywczasu;
Gdy przyjdzie maj, krynico łaski!
Cór ziemi przyjmij wieńce;
Ty w cnót je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce!

Dla wielu, wiesz — że wicher ten
Jest innej wiosny zwiastun:

Że kości ich, na wieczny sen —
Grób, zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających,
Maryo! Matko święta:
Z dusz w Ciebie ufających,
Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez,
Na mogił smutnem polu;
W Twą pieczę weź: mirt, lilię, bez,
Posadzon ręką bolu.
Siej Maryo, Matko Ty boleści!
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści:
Podarki Twe wiośniane!

Karol Brzozowski.

WIOSNA.

Wiosna! wiosna!
Wieść radosna
Z ciepłem tchnieniem wiatrów płynie;
I sasanki,
Już na wianki
Rozwinęły się dziewczynie.

Wstaj skowronku!
W złotem słonku
Wykąp pióra twoje szare;
I skrzydlaty
Nad te chaty,
Nad te ziemie wyleć stare!

Wylcć z pieśnią!
Ludzie prześnią;
Świtu chwilę uroczystą;
Więc do Pana
Choć ty z rana
Głos za niwą wznieś ojczystą.

Dobra niwa,
Jak poczciwa
Pierś rolnika, co ją orze,
Tylko trzeba,
By im z nieba
Przyświecało światło Boże.

Niem ogrzane,
Ziarnko wsiane,
Zdrowym kiełkiem w górę strzeli;
I wnet potem
Żniwem złotem
Starą ziemię uweseli.

Leć więc, ptasze,
Prośby nasze
Niech piosenka wzniesie drżąca:
Słońca Boże!
Na niw zboże
I dla myśli ludu — słońca!

Marya Ilnicka.

WIOSNA.

Wiosna zielone rozplata kosy,
Rumianem licem rozkwita,

Z powietrznych piewców rannemi głosy
Grono kupalnic ją wita.

Pieją i klaszczą, ich śpiew pochwalny
Dawnym bożyszczom brzmi cześcią,
Święćmy ten obrzęd i dzień kupalny
Uczcijmy starą powieścią!

Między powietrzną rzeszą, co wkoło
Pieśni zanuca we wiośnie,
Nie każdy śpiewak śpiewa wesoło,
Nie każdy w słońcu kwiat rośnie.

Jest nocny słowik, co śród wesela
Dumania w tęsknem brzmi słowie,
Jest pośród kwiatów wiosennych wiela
Paproć w Peruna dąbrowie.

Jej liść śród wiecznych cieniów i pleśni
Zielone zdobi wybrzeże,
Słowik jej nocne zanuca pieśni,
Świecą świetliki, Bóg strzeże.

I patrz, z jej liści w północ wystrzela
Kwiat cudnej woni i farby;
Szczęsny, kto tego kwiatu uszczknął ziela,
Skarb on posiędzie nad skarby!

Był hoży młodzian, w rześkim poskoku
Szybko przemierzał gaj Boży,
I lekką stopą, nieznany oku
Uszczknął kwiat cenny w podróży.

I zaszedł w cudną krainę krasy,
Światłość olśnęła mu zmysły,
Błonia mnogiemi skarbów zapasy,
Niebiosa szczęściem zabłysły.

Ale uronił kwiecie zawcześnie;
Pierzchła szczęśliwość ujrzana,
I tylko często powraca we śnie
W zamierzchłą duszę młodziana...

Mijają wiosny, i w każdej wiośnie
Słowik tęskliwe brzmi pieśni,
I pośród kwiatów wiosennych rośnie,
Dziwna rośl, w cieniach i pleśni.

Dotąd zielenią rozpierzchłych liści,
I cudnym kwiatem świat dziwi,
Ale go ujrzą prawi i czyści,
Ale go uszczkną szczęśliwi.

August Bielowski.

O WIOŚNIE.

A w tej mojej
Wsi z wiosenki
Wszystko wokół gra!
Wydzwaniają wierzbne pęki
Różne śpiewki a piosenki,
Huka bór: hu! ha!
Zielony!
Huka bór: hu! ha!

Leci echem
W krąg wesele!
Kiej na jaki ślub!
Grają żaby, buczą trzmiele!
Dokoluśka wonne ziele,
Wonny drzewin czub,
Śmiejący!
Wonny drzewin czub!

A nad polem,
Hej u drogi,
Gdzie ozimy łan,
Do brzeziaka, do niebogi,
Młody świerczak sunął z nogi!
Poszli społem w tan —
Hulają!
Poszli społem w tan!

Wedle stoku,
Wej, doliną!
Nad rzeczułką wraz,
Przysiadł wietrzyk — robi trzciną,
Jakby wzdychał za dziewczyną,
Niby który z nas
Parobków!
Niby który z nas!

To się zerwie,
To podskoczy,
To znów w zielny zwał,
To wierzbiną w pół zatoczy,
Jakby łaknął wejrzeć w oczy,
Albo buzi chciał —
Maliny!
Albo buzi chciał!

Dojrzał widać
Ich oboje
Zdala stary las —
Wspomniał dawne lata swoje,
Skrzyknął grajków na pokoje,
Wziął się pod bok w pas —
I śpiewa!
Wziął się pod bok w pas!

Śpiewa... śpiewa,
Pokrzykuje
Cały strojny w maj!
Słonkiem, tęczą pobrzękuje,
A przed skrzypkiem przykazuje:
Takiego mi graj!
Ja płacę!
Takiego mi graj!

A w tej mojej
Wsi o wiośnie,
Wszystko szczęściem gra!
Wszystkim raźnie a radośnie,
Nawet bociek wej na sośnie
Swoje gniazdo ma,
Szczęśliwy!
Swoje gniazdo ma!

Kazimierz Laskowski.

WIOSNA.

Śniegi opadły z naszej pięknej łąki,
Rozraduj czoło, zima już nie wróci,

Przyjdź, przyjacielu, między świeże dzwonki
I niech się serce twe nigdy nie smuci,
A wszystkie bóle wiosna rozpogodzi,
Dnie cię wesołe radością uraczą,
Poco się smucić, gdy jesteśmy młodzi,
Za zbiegłem życiem niechaj starcy płaczą.

Przyjdź, przyjacielu — troska cię ominie,
Ranek zawitał nad zdroje szemrzące,
Pogodnym bogom otwarto świątynie,
Na niebo weszło promieniste słońce.
Rwące potoki zdobi narcyz biały,
Dziewcząt gromada godziny ukrasza,
Ciała ich jeszcze miłości nie znały,
Przyjdź, przyjacielu, piękna łąka nasza.

Wiosna już idzie — grają arfy czyste,
Na skrzepy gajów raźna zieleń pada,
Ku stokom, kędy nad źródła przejrzyste,
Uciesznych chłopiąt wybiegła gromada.
Przyjdź, przyjacielu, wypędź boleść marną,
Łan się niedługo z paździerzy wychyli,
Pora na siejbę, więc ciskajmy ziarno,
By ślady znaczyć, że i myśmy byli.

Błękitne niebo zakrywa obłokiem
Ugor, co ludziom odsłonić się wzbrania,
Ojce go nasze nie dojrzeli okiem,
My na nim zbierzem bujne winobrania.
Rumieniec kwiatów chojary obleka,
Uśmiech zabłądził na głuche poddasza,
U wrót kochanka na miłego czeka,
Przyjdź, przyjacielu, piękna łąka nasza.

Witold Bunikiewicz.

PIERWSZA PIEŚŃ.

Wiosna swe kwietne rzuciła kobierce
I miękką zieleń na zbudzoną ziemię;
Rozradowało się wszelakie plemię,
Czując, jak w żar się, iskra po iskierce
Zlewa pęd życia, który w wnętrzu drzemie:
Wesele wnet i moje przeniknęło serce.

I wśród burzanów, na wonnej murawie,
Przy wierzbin szumie i krzewów szeleście,
Co mi szeptały tajemnicze wieście
O tej rozkoszy, drżącej w każdej trawie,
Topiłem duszę w artystycznej sieście,
Wieszając wzrok na wszelkim natury przejawie.

Więził me oczy ten szereg topoli,
Co na tle niebios ostro się odcina,
Stawu przejrzysta, jak lustro, głębina,
Żyto, szmaragdem błyszczące na roli,
Powój, co smukłe łodygi opina —
We wszystkiem tem źrenicę kąpałem dowoli.

I zapach płynął z tych dolin kwiecistych,
Do mego wnętrza słodką płynął rzeką,
Gdym był zapatrzon w tę przestrzeń daleką,
Pełną zieleni i kolorów lśnistych —
Zapach ziół, wzrosłych pod słońca opieką,
Co chowa barw zarody w swych blaskach rzęsistych.

I w tej przestrzeni, w tem błękitów morzu,
Me serce młode czarowały pieśni,
Które zawodzą ci mieszkańcy leśni,

W bukowych liści wychowani łożu,
Albo skowronki, gdy od słońca wcześniej
Trzepocą nad gniazdami, ukrytemi w zbożu.

I zażywałem tych uroczych wczasów
Każdą nieomal porą dnia: nad ranem,
Gdy świt wskazywał światłem posrebrzanem,
Że z nocnych wyszedł zwycięsko zapasów,
I kiedy słońce promiennym peanem
Do wtóru rozbudzało serca ciemnych lasów.

Kiedy za tchnieniem pierwszego wietrzyka
Poczęły lekko drgać lilie wodne,
Mające niebo nad sobą, pogodne,
Jak ta pod niemi jasna toń strumyka;
Kiedy swe pączki, w woń i krasę płodne,
Otrząsać z ros kroplistych jęła róża dzika —

Kiedy ku niebu, przed oblicze Boga
Zaczyna piąć się tęskna pieśń oracza —
Pieśń, co trud krwawy i co jęk oznacza
Niewysłuchany; pieśń, co tak jest droga
Ludzkiemu sercu, choć je w rozpacz stacza:
Drżą w smutnych jej akordach głód, mór i pożoga...

W chwilę południa, w tajemniczą ciszę,
Co ma dziwniejszą władzę ponad duchem,
Niżeli północ, zatopiony w głuchem
Milczeniu świata, słuchałem, jak dysze
Ziemia, pod żaru płomiennym obuchem,
Żaru, co się, jak fala, w powietrzu kołysze.

A gdy się niebo w godzinie wieczoru
Jęło ubierać powoli, ukradkiem

We fiolety, gdy na jego gładkiem,
Ciemnem sklepisku, ponad grzbietem boru,
Zapłonął księżyc, bywałem ci świadkiem
Tych przemian, śród wonnego, jak balsam, przestworu.

I dzwonki bydła, gdy do obór spieszy,
Głosy derkaczy i pastuszków trele
Niezwykłe we mnie budziły wesele:
Czułem, że we mnie każdy nerw się cieszy,
Że w tej szczęśliwej Przyrody kościele
Należę do najczystszej, najszczęśliwszej rzeszy.

I kielich duszy, co umiała wonić
Zapachem wrzosów, powojem i ślazem,
Bzem i czeremchą, a błyszczeć obrazem
Fal, którym słońce wypadło osłonić,
Z kwiatem firletki zamykałem razem,
By z wrażeń tych żadnego pyłku nie uronić.

I żywiołowa czarów tych potęga,
Co z ludzi zwykłych geniusze stwarza,
Tak mnie od razu przemienia w pieśniarza,
Tak mi do wnętrza swoją ręką sięga
I u Natury wielkiego ołtarza
Atomy luźnych dźwięków w całość hymnu sprzęga.

I nim się spostrzegł duch mój, rozśpiewany
W hejnał młodzieńczy, znienacka, po cichu
Pieśń ma, w wiosennym zrodzona przepychu,
Błyszcząca kwieciem, które zdobi łany,
Stała się rychło na kształt akrostychu:
Wciąż drżało w niej i wszędzie imię — mej wybranej.

Jan Kasprowicz.

NOKTURN.

Wiosna zakwitająca. — Lilia otwiera kielich biały.
Na szarej ziemi błyszczące irysy pozakwitały,
Mienią się sino, jak gwiazdy wiatrem strącone na ziemię.
W białych promieniach księżyca
Parku starego ulica
Drzemie.

Trwożnie i tylko nocą Wiosna otwiera kielichy
Kwiatów dotkniętych niemocą, słyszę jej oddech cichy,
A drzewa drżą.
Woda, co stała się krą,
Srebrzy się teraz i żyje.

Och! tylko gdy ciemność nocy wszystkie połyski wypije
I na dziewiczą pustkę wypłynie księżyc biały,
Wtedy się tylko zdaje, że kwiaty pozakwitały!
I wizya żyje.

Bo w dzień się jeszcze w słońca promieni pęki chowa,
Jak w płowych włosów sploty chorego dziecka głowa,
A kiedy otworzy czasem wypełzłe, blade oczy
I wzrokiem sennym, pijanym po ziemi krąg zatoczy,
Ziemia wygląda wtedy, jak opuszczona gospoda.

Już nic nie widać, już Wiosna zamyka kielich biały
I z szarej trawy błyszczące irysy poucickały.
I tylko długimi pasami topole ścielą ziemię —
W białych promieniach księżyca,
Parku starego ulica
Drzemie.

Franciszek Mirandolla (Pik).

MAJ.

Niema ładniej w żadnym kraju,
Jak w tej mojej wsi o maju,
Jak w tej mojej wsi!
Kiedy słonko przejdzie niebem,
Srebrna rosa świeci chlebem,
Kiej się sadek stroi w wieńce,
Ponad strugą »kwną« kaczeńce,
Pod oknami bzy...
Niema ładniej w żadnym kraju,
Jak w tej mojej wsi o maju,
Jak w tej mojej wsi!

Niema milej w żadnej stronie,
Jako u nas na zagonie,
Kiedy przyjdzie maj!
Gdy zapachnie ruń zielona,
Gdy się w żytku schowa wrona,
Gdy kukułka kuknie w borze;
Grają »ziabki« na jeziorze,
Gdy zaszumi gaj...
Niema milej w żadnej stronie,
Jako u nas na zagonie,
Kiej już zejdzie maj!

Niema ładniej w innych światach,
Jako u nas w nizkich chatach
O majowych dniach...
Gdy to izby wybielono,
Tatarakiem przystrojono,
Gdy się grzędy mienią tęczą,
Kiej już pszczoły rojem brzęczą,
Słowik drze się w krzach...

Niema ładniej w innych światach,
Jak w tych naszych nizkich chatach
O majowych dniach!

Niema nigdzie milej duszy,
Jak kiej piersi maj poruszy,
Przy dziewczynie swej!
Kiej wieczorkiem srebrną rosą,
O księżycu wyjdzie boso,
Kiej rozsypie splot warkoczy,
Gdy ci miodem spojrzy w oczy...
Nigdzie sercu lżej!
Niema nigdzie milej duszy,
Jak kiej piersią maj poruszy
Przy dziewczynie swej!

Niema nigdzie takich świątek
Wśród królewiąt, czy pamiątek,
Jako w naszej wsi!
Gdy maj stanie nad figurą,
Gdy oblegną ludzie chmurą,
Kiedy nasza pieśń przeleci:
»Błogosławże Twoje dzieci
Panieneczko, Ty!«
Niema nigdzie takich świątek
Wśród królewiąt, czy pamiątek,
Jako w naszej wsi o maju,
Jako w naszej wsi!

Kazimierz Laskowski.

MAJ.

Idzie lasem maj królewic
W otoczeniu leśnych dziewic,

A stuletni las
Kłania mu się w pas —

Barwne kwiaty leśnych polan
Gną mu się do samych kolan,
Brzezinowy szumi gaj —
Idzie lasem maj!

Z drogi! Z drogi! Przed nim bieży
Od rubieży do rubieży
Wiatr i rozkaz pański niesie —
Hej! Jak huka coś po lesie,
Hej!

Idzie lasem maj,
Brzezinowy szumi gaj,
Po rozłogach kwiaty rosną,
Pachnie cudem, pachnie wiosną...

Dookoła istny raj —
Idzie lasem maj,
Idzie wiosny młody bóg,
I uderza w złoty róg.

A głos rogu płynie knieją,
Zielone się drzewa chwieją,
Cały śpiewa bór,
Jako jeden chór.

A za borem w ślad,
Śpiewa cały świat,
Biją młotem serca dziewic,
Idzie, idzie maj królewic,

Idzie złoty maj!

Zdzisław Dębicki.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Szarawy brzask. Wiater się zrywa,
Jak morska toń faluje niwa.

Tu — ówdzie świt. Budzą się ptaki.
Od chłodnych tchnień dreszcz przebiegł krzaki.

Woń ros i traw. Rzeźwo a świeżo.
Purpury już widnokrąg brzeżą.

Jeziora toń zarumieniona,
Jak gdy się krew poleje z łona.

W sitowiu szmer. Wzmógł się — i ścicha.
Jak z baśni twór, puszcza oddycha.

Nieb lazur zbladł. Już blizka chwila...
Ostatni tryl słowik dokwila.

Wkrąg wszystko drży... Oczekiwanie...
Wnet ziemi król już zmartwychwstanie.

Nad rzeką mgły rzedną i giną.
W powietrzu chłód. Na niebie sino.

Sto złotych strzał — i noc ucieka.
Sto złotych strzał — i światła rzeka.

Świecący pył! Morze promieni!
Djamenty z ros! Szmaragd z zieleni!

Sława a moc! Słońce powstaje.
Hymnami brzmią łąki i gaje.

Sława a moc! Płomienna kula
Rozbija mgłę, co świat otula.

Sława a moc! — O złoty bogu,
Pokłon ci, cześć w jutrznianym progu!

Miriam.

PORANEK.

Majowe słońce nad mgławą wód tonią,
Promiennym brzaskiem do koła strzeliło,
Wionął poranek balsamiczną wonią,
Tysiące jasnych kwiatów się rozwiło,
Tonęły gwiazdy płoszone świtaniem,
Rozlane łąką wstały mgły zaraniem,
Skrzyła po krzewach djamentowa rosa,
Żywszemi farby świetlały niebiosa.
Gdzie tylko oko w zachwycie zasięga,
Wschodzącej zorzy złocone rumieńcem,
Na okół lasy wymżyły się wieńcem,
Widne na modrym pasie widnokręga;
I jako śpiewna pierś wstydnej dziewicy,
Zagrała Wisła hymn rannej swobody,
Gdy po samotnej wieczoru tęsknicy,
Różanym blaskiem płomieni jagody.
Na jej wybrzeżu zadumał dąb stary,
I rosochate przechylił konary,
Wionął wiatr lekki, listkami migocze,
Wierzby, co smutne schyliła warkocze.
Topazowemi świeci jaskry łąka,
Uśmiechem młodej wiosny umajona,
Gdzie tylko wzrok się w zachwycie zabłąka
Cała natura jasna, wycieplona,

I w żywych wzorach rozsiane do koła,
Dziewicze kwiaty, woniejące zioła.

Seweryn Filleborn.

WIOSENNE RANO.

Biała stokroć, zielone pręty, blade cienie,
Cichy żar, upojony swym własnym urokiem;
Złotych jaskrów na bagnie wilgotne płomienie,
Świeża zieleń — pachnące kwiaty nad potokiem!

Srebrzysty deszcz wiosenny, niby pereł struga,
Mży miłośnie w mieniące mgły, na łan zielony —
Jasny owies wykwita w mrocznych bruzdach pługa,
Promienny blask na deszczu drży, jak ptak spłoszony!

W dali Ojce umarli idą pustem polem —
Kroczą w świetle pustkowia schyleni i cisi,
Wśród modłów świeży zagon obchodzą półkolem,
By odegnać zarazę, co nad łanem wisi...

Z dalekich siół wciąż siwe unoszą się dymy,
Powiew trzęsie badylem uwiędłej paproci —
W białych mgłach kroczą sennie umarłe olbrzymy,
Deszcz ustał — słońce coraz ogniściej się złoci.

Józef Jedlicz (Kapuścieński).

POŁUDNIE.

Samo południe! uroczysta chwila!
I duch na skrzydłach spoczął wyobraźni:
Czasem się listek, jak do snu przechyla,
I blask barwiony źrenice podrażni.

A w sinej przezroczy,
Przez drżącego światła fale,
Słońce wspaniale
Cicho się toczy.

Cicho się toczy ponad ciszą ziemi —
W poblizkich trawach brzęczy tryl konika,
Ulotny wietrzyk nad braćmi śpiącemi
Przez czujne listki zlekka się przemyka.

Tu zagrała mucha,
Tam słowicze pienie kona,
A wkoło głucha
Wrzawa zmącona.

Wszystko, ach! wszystko pięknie gra dla duszy,
Ale ją ciągle coś niestrojne kłóci;
Kiedy mgła myśli świat cały oprószy,
Cóż stąd, że słońce blask oka ocuci?

Na cóż te wśród nieba,
Te wśród ziemi cudów roje,
Gdy komu trzeba
Mieć serce moje?

Ty, coś do wiecznej, harmonijnej zgody
Życia przyrody muzykę nastroił,
Ty, coś żyjące obrazy przyrody
Zgodnemi tęczy barwami napoił,

Objaw mi, o Boże,
Jak jedno dzieło twych ręku
Różnić się może
W tym zgodo-dźwięku!

Seweryn Goszczyński.

WIECZOREM.

Słońce się chyli ku ziemi,
Ostatnie blaski
Wiążąc w cudowne przepaski,
By niemi
Umierające niebiosa
Owinąć.
Już nad brzegami jeziora,
Zdala od ludzi,
Słowików piosnka się budzi,
Tak skora,
By tam, gdzie mieni się rosa
Popłynąć.

By tam, gdzie rosną w ustroni
Niewinne kwiaty,
Miłosnej szukać zapłaty
I woni —
Przelać się w serce róż czystych
Na wieki.
Wtórzy jej duma pastusza
I łan zielony,
I bór, który powiew stęskniony
Porusza,
I odbłysk gwiazd płomienistych
Daleki.

Patrzcie! z sennego łożyska
Miesiąc już wschodzi,
Płynie po niebios powodzi
I błyska,
Albowiem wszędzie żar czuje —
Szczęśliwy!

Gwiazdy, splatając mu wieńce,
W srebrny ślad biegną,
Zanim porannej ulegną
Jutrzence,
Nim zorza blask swój rozsnuje,
Blask żywy!

Tu piękność pełna spokoju,
Jak twarz młodzieńca,
Który nie stracił rumieńca
W przeboju,
Ni struł się zwątpień kielichem
Przedwcześnie:
Harmonia złotym łańcuchem
Wszystko spoiła;
Czuję, jak wielką jej siła
Nad duchem,
Tonąc w zachwycie przecichym,
Jak we śnie.

Żywot poczynam wieść nowy
I szczęście tuszę;
Tracąc wiążące mi duszę
Okowy,
Gonię za pieśnią słowiczą
Z krzewiny,
Różę przyciskam do serca,
Słodycz jej chylę,
Wielbię te barwy motyle
Kobierca
O, i tę zieleń dziewiczą
Brzeziny.

Uczucia płyną mi z łona,
Jak ros kaskada,

Co z tych wierzchołków opada
Srebrzona;
Myśli me błyszczą w miesięcznej
Pogodzie.
Nie byłem nigdy tak może
Spokojem wielki,
Jak dziś, gdy z uczuć kropelki
Tworzę
Ołtarz wspaniały i wdzięczny
Przyrodzie.

Jan Kasprowicz.

NOC KSIĘŻYCOWA NA WIOSNĘ.

Księżyc w samotnym parku dźwięczne pieśni śpiewa —
W struny swej harfy srebrnej lekko dłonią trąca
I płynie pieśń mistyczna i upajająca
Aleją skróś wsłuchane w śpiewanie to drzewa...

Biała lilia z tęsknoty szalonej omdlewa,
Kołysze się w takt pieśni miłosnej miesiąca,
Co rytmiczną o kwiat jej falą dźwięków trąca...
Księżyc w samotnym parku dźwięczne pieśni śpiewa,

W struny swej harfy srebrnej lekko dłonią trąca...
Chwieje się senna wierzba nad błękitną wodą,
W miesięcznem świetle jasna, cała srebrniejąca;

Słowiki kędyś w haszczach rozhowory wiodą,
Noc idzie hen — po łąkach, cicha i marząca,
Chwieje się senna wierzba nad błękitną wodą...

Zdzisław Dębicki.

OZIMINA.

Zagajona o wczesnej wiośnie ozimina
Tajemne runy bujnem swojem piórem kreśli...
Żar słoneczny miłośnie ją k' sobie nagina...
I zaczynia w jej żyłach pieśń królewskiej gęśli...

Ozimina o wczesnej zagajona wiośnie
Śpiewa one dumania, co w zimowej dobie
Z śnieżnej wyssała piersi... i te, co przy krośnie,
Śniąc o słońcu, w stęsknionem sercu snuła sobie...

Ozimina o rychłej wiośnie zagajona
Rozpięła pod sam wieczór pień wabne ponęty
Nad zielonem swem piórem — i jak dziwożona
Zataiła się wszystka w cud swój urzeknięty...

Aż — pieśnią — biała chmura gołębi zwabiona
Na oziminę śnieżne rzuciła okiście.

Świętych czarów na poły rozpękła zasłona...
I rozwiała się w wyży cicho... uroczyście.

Ozimina o rychłej wiośnie zagajona,
Próżno czeka na wtóre znikłych czarów znijście...

Antoni Szandlerowski.

LATO.

LATO.

Jak stół biesiadny żeńcom podany,
Ziemia w przededniu wielkiego żniwa.
Złotą symfonię słońce dogrywa —
Strun mu tysiącem rozchwiane łany.

Wian zbóż szafirem chabrów dziergany,
Zwichrzonych kłosów złocista grzywa,
Struną mu miodna, hreczana niwa,
Mleczny gościniec skrzydłem pszczół tkany.

A po ugorach stoją dziewanny,
Tęsknie wpatrzone w szmat nieba siny —
Niby kapłanki białej Marzanny,

Kwiatem wyrosłe z gruzów Gontyny,
I w pieśń wsłuchane oną przedwieczną,
Zbożną i polną — kwietną — słoneczną.

Kazimiera Zawistowska.

O ŚWICIE.

Świta... Ucichły wszystkie szmery w borze,
Blask jakiś srebrny zszedł na górskie szczyty...
Świat cały zasnął... w szare mgły spowity
Cały bór zasnął... W dole na jeziorze,

Gdzie niebo kładzie swe ciemne błękity,
Swój sen ostatni o cichym wieczorze,
Śpią lilie... modre kołysze je łoże
Nad głębią, z której zaraz wstaną świty.

Tylko ja nie śpię. W szarawym półmroku
Świetlanych marzeń wije się nić złota...
Chcę gdzieś odpłynąć na jakimś obłoku.

Chcę gdzieś odpłynąć, chcę stargać wędzidła,
Lecz na mym progu usiadła tęsknota
I pierś przygniotła i związała skrzydła.

Edward Słoński.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Świt!... Pierś ziemi sen kołysze —
Otulona w mgły i ciszę
Czeka nocy końca.
Drzewa — wody — kwiaty drzemią,
Sen na ziemi, mrok nad ziemią...
Słońca! słońca! słońca!

Wysrebrzała gwiazda świtu,
W kryształową toń błękitu
Skryła się i zgasła.

Poczerwieniał wschód... Doliną
Rubinowe światła płyną,
Dnia letniego hasła.

Nagle wybiegł snop promieni,
Na milczącej wód przestrzeni
Zbudził ze snu fale...
Drżenie przeszło przez staw cały,
Jakby wzdłuż się posypały
Perły i opale.

Tchnęła ziemi pierś rozkoszą.
Senne kwiaty czoła wznoszą,
Drżą przebudzeń dreszczem...
Lecą światła im na głowę,
Złote, srebrne, purpurowe,
Brylantowym deszczem.

Brzmi pieśń ziemi szklana — cicha...
To szmer fali; to wiatr wzdycha
Piersiami sennemi...
Wśród tęczowych barw powodzi
Z tajemniczych krain wschodzi
Oblubieniec ziemi.

Za promieniem promień wzlata
Gdzieś z za świata, na pierś świata...
Ziemio! blaski chwytaj!
Drzew schyliły się szpalery,
Płyną szumy — szepty — szmery:
Królu nieba — witaj!

Na błękitów tło srebrzyste
Weszło słońce, złote, czyste,
W ogniach i purpurze...

Rozwinęły się powoje,
Lilje wzięły śnieżne stroje,
Woń posłały róże.

Gdzie traw puchy aksamitne,
Białe, żółte i błękitne,
Motyle pognały;
Zabrzmiał ptasząt głos srebrzysty:
Śpiew, wołanie, krzyki, świsty...
Koncert dnia wspaniały.

W hymn uderzył świat zbudzony —
Płyną pieśni, biją dzwony,
Rusza lud z robotą.
Pochylił się łan pszeniczny...
Dzień pogodny, ciepły, śliczny —
Z niebios kapie złoto!

Kazimierz Gliński.

KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE.

Z za boru krwawe wytacza się słońce
I wierchy sosen stroi w swoje złoto —
O, z jakąż tęsknotą,
Ta ziemia czeka na swój dzień,
Na swoje słońce!

Musnęły pierwsze promieniste strzały
Niewysłowioną, subtelną pieszczotą
Rośne gałęzie rozmodlonych drzew
I perły deszczu z nich się posypały,
Pełne cudownych, roztęczonych lśnień...

O, jakiż dzień,
Jaki słoneczny i jaki wspaniały
Pocałowaniem swem obudził niwy
I rozkołysał srebrne owsa grzywy,
I rozkołysał złote kłosy żyta,
Wśród których kąkol różowy wykwita
I, blask z niebieskiej przejąwszy roztoczy,
Patrzą bławatki niebieskiemi oczy,
Śledząc obłoków bieg na jasnem niebie...

O, jak się ciężka pszenica kolebie,
Chyląc ku ziemi swoje plenne kłosy,
Kiedy ją wiatru wzdłuż przebiegnie tchnienie!
I jak się chwieją słoneczne jęczmienie
I miodne, nakrapiane łany białej gryki
I łąk kobierce, utkane kwiatami,
Niby zielone, falujące morze...

Oto się pierwsze obudziły zorze...
Skowronek zerwał się i pacierz ranny
Na cześć Najświętszej wyśpiewując Panny,
Śrubą w niebieskie uleciał przestworze...

Oto się pierwsze obudziły zorze
I zaćwierkały na łąkach koniki
I odezwały się, witając słońce,
Roje owadów, skrzydłami brzęczące,
Jak harfa niewidzialna, wspaniała w swym stroju,
Pełna słonecznej melodyi spokoju
I radosnego upojenia życiem...

Szept idzie cichy miedzami i zbożem,
Szept idzie cichy rozchwianych traw morzem
I chwieje boru zielonem podszyciem
I w starych sosen pnie stare uderza...

Szept idzie cichy — i zachwyt rozszerza
Nad bujnem, w słońcu kiełkującem życiem,
Które posłanki obudziły boże —
Pierwsze promienne, koralowe zorze..

. . . .
. . . .

A tam — przed próg chaty,
Która słomianą w słońcu świeci strzechą,
Wychodzi wieśniak, obarczony laty —
Starzec, jak gołąb siwiutki i biały...

Zdjął czapkę, szarym oszytą barankiem,
I ku jasnemu niebu spogląda z uciechą...

Jego piastowska twarz od zorzy płonie
I w koralowym blasku się rumieni...
Patrzy... i nagle przyklęka w podsieni
I siwą głowę swą pobożnie zniża
I ręką czyni znak świętego krzyża
Na starem, w brózdy pooranem czole...

Zdzisław Dębicki.

PORANEK.

Po srogiej burzy, co pełna gromów
I ślepa w hardej przemocy,
Niosła pól klęskę i pożar domów
Kręcona wichrem północy.

O, jakże wdzięczny jesteś poranku!
Jak słodka twoja nam rosa!
Świeżo w gotowym jaśniejąc wianku,
Błękitne witasz niebiosa.

Na twoją postać, na twoje wdzięki,
Wzbudzone zewsząd ptaszęta
Głosem tkliwości brzmią temu dzięki,
Skąd czucie, skąd ich ponęta!

Roń chętnej ziemi balsamy życia,
Napawaj zioła rozkoszą;
Te wśród miłego kwiatów rozwicia
Niech i me serce unoszą.

Obyś tak mojej błysnął ojczyźnie!
Nadzieja dla niej coś kryśli,
Lecz gdy się oczom coraz wyśliźnie,
Boją się podać jej myśli.

Jako te pączki, co raz trwożone
Niestałą wiatrów koleją,
Słodkiemu słońcu listki zielone
Jeszcze powierzyć nie śmieją.

Ty, co po zimie prowadzisz wiosnę,
Którego ranek ten świeci,
Rozkwieć nam znowu myśli radosne,
Natchnij nadzieją twe dzieci.

Franciszek Dyonizy Kniaźnin.

POŁUDNIE.

Bielona, nizka chata kryta słomą
Stoi pod starej gruszy pieczą chromą
I dymi modrym z komina obłokiem
Wśród ciężkich sadów, pod słońcem wysokiem.

Południe skwarne leży wkrąg na łanach:
Sierpy bezczynne lśnią przy pustych dzbanach;
Skryci w błękitny cień żółtej kopicy,
Snem południowym drzemią robotnicy.

Bogate lato polskie ciężko dyszy
Pośród brzemiennej, nieruchomej ciszy;
Karki pod jarzmo gotują już woły.
A od nadziei pękają stodoły.

Wierzby-kumoszki, dróg siwe służebne,
Czują się jakoś smętnie niepotrzebne,
Nudząc się w ciszy, że nie mają kogo
W południe do wsi odprowadzić drogą.

Płótna bielące się w dali na trawie
Pasą się, niby owce na murawie,
A na nich wiejskie, gospodarskie słońce
Pasie się cicho, jak na białej łące.

Leopold Staff.

POŁUDNIE.

Parne południe w czas skwarnego lata —
Żaden liść nie drgnie od wiatru podmuchu,
Tylko z lip starych źdźbła złotego puchu
Sypią się lekko, a rzesza skrzydlata
Owadów, barwą malowanych tęczy,
Cicho, jak harfa niewidzialna, brzęczy...

Parne południe w czas skwarnego lata —
Śpią szuwary, staw drzemie... W tafli wodnej

Błękit się nieba odbija pogodny,
A słońce płonie, jak źrenica świata — —

Parne południe w czas skwarnego lata...

Zdzisław Dębicki.

ZACHÓD.

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
A żółtem drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płynęło w zachodzie.
Już jego, pełne dziwów, nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome rozsiewa promienie,
I w krótkiem pożegnaniu, nim wgłąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie.
Jeszcze w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem,
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem.
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej Przyjaźni, co w podróż ucieka,
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury,
Gdy noc zazdrośnym palcem ścierając Dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu — dla zbrodni i zdrady.

Antoni Malczewski.

ZACHÓD SŁOŃCA.

Na zachodniej nieba stronie
Błyszczy łuna gorejąca:
W pożegnalnej swej koronie
Lśni miedziany zachód słońca.

Chmury w nowych płyną szatach
Gwiaździe gwiazd na pożegnanie;
Form tysiącem lśnią w szkarłatach,
Przez niebieskie mknąc otchłanie.

Od promiennej miedzi słońca
Wszystkie barwy się promienią:
Seledynów smuga drżąca —
Z szafirami — i z czerwienią.

I z fioletem się zaplata —
I w srebrzyste mgły się wtula:
Schodzi — schodzi już ze świata
Rubinowa słońca kula.

Antoni Lange.

O ZMIERZCHU.

Brzmi fujarka, wykręcona z wierzbiny,
Pieśń jej płynie gdzieś przez lasy, doliny.
Gdy omdleje tęskna nuta pieśniarza,
Dobre echo dźwięki piosnki powtarza.

Jasne słonko zmienia szatek kolory,
Staw posrebrza, rzuca złoto na bory —
Spada niżej, świeci coraz ogniściej,
I krwią patrzy przez zielone olch liście.

Zaterkotał młyn gderliwy, kół żebra
Oplątała wstążka jakaś ze srebra;
W szklane nici, w perły białe rozpryska,
Wciąż się zwija, wciąż się kłębi, wciąż błyska.

Pociemniało stawu senne zwierciadło,
Z cichych niebios kilka dużych łez spadło;
Lilje wodne swe kielichy stuliły,
Dar niebieski, srebrną rosę ukryły.

Zaszło słońce za dalekie dąbrowy,
Jeno pasek zostawiło pąsowy,
Jakby jasne, niezatarte wspomnienie,
Że tu było, lało złote promienie.

Kazimierz Gliński.

O ZMROKU.

Wieczór... Wiatr zdala niesie
Zapachy lip, kwitnących w lesie...

Umierający dzień odchodzi
W czerwonych zórz powodzi,

Rubinów barwą i korali
Niebo się pali...

Na drogach pusto i bezludnie — —
Lipy tak pachną cudnie...

Po błękitnawej pól roztoczy
Stęsknione błądzą oczy...

Cisza i Zapomnienie
Idą przez sennych łąk przestrzenie

I biorą cały świat w ramiona
I dzień już kona — —

Wiatr falę zbóż pochyla wiotką,
Lipy tak pachną słodko,

A słońce, sypiąc swe rubiny,
Za bór się chowa siny...
Zdzisław Dębicki.

O ZMROKU.

Niebo nade mną, wkoło mnie zmrok szary...
Z nieba księżyca patrzy twarz wybladła
Na przeźroczyste srebrnych wód zwierciadła,
Na złotych łanów drzemiące obszary...

Mgła na doliny i na wody spadła,
Całunem błotne zakryła wiszary,
Srebrną oponą zakryła las stary...
Po lesie nocne snują się widziadła,

I stuwiekowe niebotyczne sosny
I stuwiekowe dęby cicho drzemią,
W blaskach księżyca błyszczą srebrną rosą...

W nocnych oparach powstaje czar wiosny,
Anioły marzeń lecą ponad ziemią
I bolejącym ukojenie niosą.
Edward Słoński.

WIECZORY.

Lubiłem na wsi złote lipcowe wieczory,
Kiedy krwawą pożogą gmach niebieski płonie,
A słońce, na ognistym konające tronie,
Depce chmur cielska, jako czerwone potwory.

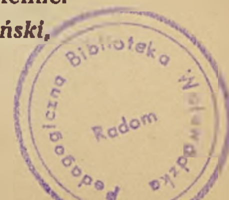
I zgliszcza dogasają i bledną kolory,
I ziemia zwolna w mroku szafirowym tonie,
A z łąk wilgotnych siana zalatują wonie
I chórów żabich głośne płyną rozhowory.

Księżyc po przez topole świta złotorogi,
Echa zmieszanych głosów lecą gdzieś od drogi:
Pobrzękują uprzęże i gwarzą parobcy...

A potem cisza była. I gwiazd mleczne rzeki
Myśl moją tęskną niosły w świat jakiś daleki,
W świat szeroki, ogromny i dziwny i obcy.
Lucyan Rydel.

WIECZOREM.

Na pól obszarach kłosy zbóż
wiszą
w sennej martwocie,
Ukołysane jasnych zórz
ciszą,
skąpane w złocie.
Rozchwiane w obłok drżący, mdły
wstają
opary czyste!
Rusałki białe z nocnej mgły
tkają
szaty świetliste.
Mistycznym zdrojem w państwie mar
biją
fontanny senne,
Nektar zapomnień z złotych czar
piją
duchy płomienne.
Edward Leszczyński.



PRZED WSCHODEM KSIĘŻYCA.

(Urywek).

Różowa glorya lśni nad nieboskłonem...
To słońce zaszło i ostatnim błyskiem
Żegna już ziemię, jak matka, przed zgonem,
Żegna swe dziecię ostatnim uściskiem.
Miejsce, gdzie pole styka się z czerwonem
Niebem, — olbrzymiem zda się być ogniskiem,
Jakby gdzieś wulkan wybuchał ukryty,
Lub pożar łunę rzucał na błękity.

Czerwoność wzrasta. Jako rzeka lawy,
Pas płomienisty lśni nad samą ziemią
I leje strugi krwi w półsenne stawy.
Szuwary, trzciny, z cicha szumiąc, drzemią.
Z pól dobiegają echa dumki łzawej
I milkną zwolna. Mroki wszystko niemią.
Blaski zachodu zgasły w barw symfonii.
Wkrąg cicho. W ciszy — pieśń pełna harmonii.

Niejasne jakieś, tajemnicze szmery,
Dźwięki i głosy, melodyjne ruchy,
Coś, jakby drżały faliste etery,
Jakby mdłe wiatrów dalekich podmuchy...
Echa-ż to elfów zaklętej opery,
Czy szelest skrzydeł, na których mkną duchy? —
Wtem bocian głośno zaklekotał w gnieździe,
Szląc powitanie pierwszej srebrnej gwieździe.

To hasło dane! Orkiestra zaczyna:
Kulik żałośnie gwizdnął gdzieś na łące,
Za nim sto innych... Nadrzeczna dolina
Żabich odzewów szle setki, tysiące,

Wiatr wzmógł się, w stawie zaszemrała trzcina,
Skrzypnęły wierzby nad wodą stojące,
I wszystko w jakąś pieśń smętną się zlało,
Jakgdyby smutek zjął przyrodę całą.

Od koniczyny sykają świerszczyki.
Parno, a ciemno, że choć wykol oko.
Jak skry zielone, migają świetliki.
Z oddali szumi bór pieśnią głęboką.
Nagle puszczyka krzyk rozległ się dziki
I ponad czarnem tłem lasu, wysoko,
Zabłysła łuna czerwona, krwawiąca...
Gwar ścichł. I zwolna wzeszedł krąg miesiąca.

Miriam.

NOX VADIT...

I.

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

Wiatr-giermek szatę niesie zwiewną,
Z przędziwa mgły wieczornej tkaną,
Za swoją panią i królewną,
W cichy śpiew łąki zasłuchaną...

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie z giermkiem swoim cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

II.

Idzie, a przed nią srebrnolicy
Miesiąc swój krąg spokojnie toczy,
Idzie w zadumie i tęsknicy
Po niezmierzonej pól roztoczy...

Rosą dojrzałe kłosy poi,
Na pszenicznego pełen złota
Łan, co czekając sierpa, stoi,
Z srebrnego sypie ją rzeszota...

Idzie tak cicho przez równinę,
Wsłuchana w pieśń dalekich borów,
Mija kwitnącą koniczynę,
Melancholijny smug ugorów...

Wchodzi na biały zagon gryki,
Dotyka maków śpiących dłonią — —
Świerszcze jej grają, a koniki
Coś za nią dzwonią, dzwonią, dzwonią...

III.

Idzie noc srebrna, zadumana,
Osnuta siecią mgieł pajęczą —
A przed nią boru czarna ściana,
Zamykająca świat obręczą...

A przed nią stare szumią drzewa,
Sosny srebrnieją od księżyca,
Ciepły już zdala wiatr zawiewa,
Pachnie jałowiec i żywica...

Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,
Wkoło się jodły, modląc, chwieją,
Sosny zielone chylą głowy,
Czar tajemniczy idzie knieją...

Wśród drzew się mości droga złota
I noc przechodzi cicha po niej,
A za nią idzie w mgłach tęsknota
I świerszczów chór w oddali dzwoni...

IV.

Noc idzie cicha ponad rzeką
Pomiędzy łozą i wikliną — —
Miesiąc osrebrzył toń daleką,
Fale z tajemnym szeptem płyną...

Po brzegach trzcin się lasy złocą,
Olbrzymich topól leżą kłody,
Na niebie ognie gwiazd migocą,
Wpatrzone w dno srebrzystej wody...

Na kępie kędyś w ciszy śpiewa
Żab rechocących chór dobrany — —
Majestatycznie szumią drzewa,
Toczy się sennie nurt wiślany...

Noc idzie cicha ponad rzeką,
W wód się przegląda srebrnej toni,

A gdzieś na łące, hen, daleko
Orkiestra świerszczów dzwoni, dzwoni...

V.

Przez mazowieckich pól przestrzenie
Noc idzie cicha, srebrno-biała,
Z daleka koni słychać rżenie,
Ognisko łuną krwawą pała...

Chłopców obsiadła je gromada,
Płynie fujarki tęskne brzmienie,
Cicho się noc posuwa blada
Przez nadwiślańskich łąk przestrzenie...

Spętane konie skubią trawę,
Płomień syczący krwawo błyska,
Dym poszedł smugą na Warszawę,
Chłopcy coś gwarzą u ogniska...

Słychać z daleka rżenie koni,
Mgła się srebrzysta w polu błąka,
Orkiestra świerszczów dzwoni, dzwoni,
Echem jej biała wtórzy łąka...

VI.

Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
Przez mazowiecką równię senną;
Balsamem śpiących łąk oddycha,
W dal idzie jasną i promienną...

I niesie z sobą ukojenie,
I niesie z sobą zdrój pociechy

Przez mazowieckich pól przestrzenie,
Pod mazowieckie smutne strzechy...

Idzie noc srebrna, smętnolica,
Na ukochaną patrzy ziemię,
Co przystrojona w blask księżyca
Po bólach dnia w śnie cichym drzemie...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

Zdzisław Dębicki.

NOC.

Pochyliły się drzew wierzchy,
Długi pobiegł szmer;
Srebrne światła, ciche zmierzchy
Z górnych płyną sfer...
To nad gaje
Księżyc wstaje,
Jasną wznosi twarz...
Dzwonią fale, szepcą gaje:
Witaj, królu nasz!

I zatoczył krąg podniebny
Pan błękitnych pól...
Zeszedł duży, jasny — srebrny,
Cichych marzeń król;
Z gwiazd orszakiem
Złotym szlakiem
Rzucił blaski w dal;

Spłynął senny z gwiazd orszakiem
W toń srebrzystych fal.

Przeszły ciche błyskawice,
Prysnął światła smug;
Patrzą złote dwa księżyce
Z dwóch przeciwnych dróg...
Ponad brzegiem
Z fal szeregiem
Głuchy pobiegł szum;
Wielkie koła ponad brzegiem
Splótł konarów tłum.

Ciszą, pieśnią ziemia wita
Oblubieńca wschód;
Muślinami mgieł spowita
Wzdycha głębia wód.
Hen — daleko,
Szmerów rzeką
Płynie gędźba traw.
Drgają światła... hen — daleko...
Gra szelestem staw.

Cicho — senno... A dokoła
Pieśń srebrzysta drży:
Pochyliły się wierzb czoła,
Ros upadły łzy.
Brzoza biała
Włos rozwiała
Nad głębiną wód;
Wierzy w miłość brzoza biała,
Wierzy w miłość — cud!

W cieniu drżących trzcin ukryty
Szary pająk siadł;

Rzuca wiotką nić w błękity,
Rzuca drugą w ślad;
Pająk wierzy
W moc jęcierzy,
W dokonany trud;
W świętość pracy pająk wierzy,
W silnej woli cud!

Kazimierz Gliński.

NOC.

Noc na niebie. Wieś w mroku złudnie roztajała
W bezkształt senny,
tu — ówdzie światłem zwypuklony.
Psów wycie rozpowiększa bezbrzeż wsi uśpionej,
I, niby srebra stosy, płonie chmur nawała.

W tej i owej chat szybie świeca lśni, jak gwiazda,
Czasem sylweta głowy mignie tam i zginie:
Sen szyby... W wonnych sadów szemrzącej głębinie
Duchy na nocleg w ptasie wdzierają się gniazda.

Zapach ziemi wilgotnej i zziębniętych kwiatów
Zlewa się w jeden mocny i wystały trunek.
Wietrzyk spadł mi na czoło, niby pocałunek, —
Skąd, od kogo? — sam nie wiem!
Może z poza światów...

A na niebie rozpiętem, bezbrzeżnie rozległem
Księżyc pała, chmur srebrne zwisają odlewy,
Jakiś anioł (on nie wie, że go tam dostrzegłem!)
Anioł błękitnooki i złocistobrewy

Z gorączkowym rumieńcem, w zwierciedle księżyca
Przegląda swe o Bogu zadumane lica.

Bolesław Leśmian.

SIERPNIOWA NOC.

Sierpniowa noc rzeźwiąca i chłodna...
Nade mną blask tarczy księżycowej
Kąpie ruń chmur w bieli opalowej,
Dla której tłem niebios toń łagodna.

Gdzieniegdzie gwiazd płoną zbladłe oczy —
Przyćmił ich moc blask jaśni księżyca,
Co płynąc w dół, wkrąg wszystko przesyca
Srebrzystym tchem, w ciszy nocnej mroczy.

I szczyty gór srebrzysty przysłania
Tej jaśni pył, gdyby gaza wiotka,
I pośród traw lśni ta światłość słodka —
Na niej cień drzew ostro się wyłania...

A cisza cisz... Li rzeczułki szumy
Bez przerwy wciąż pełne utęsknienia,
Tocząc fal blask łożyskiem kamienia
W srebrzysty głos nucą pieśń zadumy...

A cisza cisz... jednej tylko chaty,
By zaszłe krwią patrzą oczy szklane —
Może z niej Nędz uściski staranne
Jakową z dusz wiodą w tajń zatraty...

Adam Stodor (Cehak).

SZCZĘŚCIE ŻNIW.

Wieczór już — białe ściernie mroczny sen już chwyta —
U drogi gwarzą cudnie osiki i brzozy —
Rżą konie, czasem tryśnie iskra z pod kopyta —
Obciążone snopami, skrzypią stare wozy...

Jadą w pieśniach i gwarze — to ostatki żniwa!
Weselnymi okrzyki huka młodzież dziarska!
Góra snopów w pomroce radośnie się kiwa —
Konie rżą, jeden nozdrza wyciągnął i parska...

Po modrych, sennych polach, płynie pieśń odwieczna:
Skończony trud! skończony! Niech kosy już drzemią!
Minęła twoja służba i praca słoneczna —
Spocznij w szczęściu i ciszy, spocznij, Matko Ziemio...

Na wierzchu złotych snopów cichym, białym tłumem
Usiadły święte Duchy — i w błękit niebiosów
Uśmiechają się niemo, senni polnym szumem —
Bacząc, by nic ze świętych nie uronić kłosów...

Józef Jedlicz (Kapuścieński).

KOPICE SIANA PO ŁĄKACH.

Kopice siana po łąkach,
Gdzieś w głębi lśnią wierchów garby —
Słońce się rozzuchwala,
Iskrzące sieje skarby.

Pod stromem huczy urwiskiem
Dunajec, wieczysta rzeka,

Ciemne go świerki strzegą,
On z szumem od świerków ucieka.

W samo południe, w godzinie,
Skąpanej w rozżarach złota,
Staje nad brzegiem potoku
Samotna ludzka tęsknota.

Więżącą porzuca izbę,
Powieki zmęczone przetrze,
Piersiami pełnemi chłonie
Przewonne, ciepłe powietrze.

Ku dalom rwie się bezkreślnym,
W błękitów gubi się toni,
Lub z rozwartemi oczyma
Falne poszumy goni.

A fałdów jej sukni powiewnej
Czepia się dłońmi drżącemi
Żal cichy i szepce: Jak trudno
Rozstawać się z duszą tej ziemi...

Jan Kasprowicz.

CHWILE.

Stała się cisza pomiędzy borami,
Upalna cisza złotych godzin lata...

Snów najtajniejszych wysłanka skrzydlata —
Błękitna mgiełka — zawisła nad nami,
Pod dalekością bezmierną szafiru,
Gdzie poszarpanych turnic wieżycami
Strzelają w niebo jaworowe Sady.

Cichy, leciuchny chrzęst drobnego żwiru...
Po mchów posłaniu, po głazów czerwieni,
Wód spływa kryształ, zielony, przeźroczy;
Nad wodą czarne stanęły tojady
I ziół przyziemnych lity pas się mieni,
A z traw przepychu patrzą złote oczy
Wielkich rumianów.
Dziwnie piękny, blady
Goździk upaja czarodziejską wonią.
Limby-królowe łzy żywiczne ronią
Za skwirem orłów — mocarzy tęskniące...

W łask majestacie promieniste Słońce,
Umiłowany bóg, panuje ziemi,
Uścisków żarem bezwolną oplata,
Wypija rosy usty płonącemi.
. . . .
Upalna cisza złotych godzin lata.
Pod wirch idziemy, we mgieł przestwór siny.
Jeszcze przed nami blady księżyc stoi,
Jako ów rycerz w nieskalanej zbroi
Na straży cudów zaśnionej krainy.
Przedziwny błękit, modrość tajemnicza,
Wypełnia szczerby od skały do skały,
U mrocznej turni zawisł obłok biały —
Jaka tam Piękność cudnego oblicza
Na skrzydłach ciszy marzy w jego bieli?...

Gzems ciasny, wązki od przepaści dzieli.
A tam za nami, — gdy odwrócić głowę
Od stromej ściany — hen, w równinnej dali,
Ognista łuna krwawi się i pali,
Powstaje z łoża słońce purpurowe,
Mgieł przedświtowych rozsuwa kotary.

Kamiennej ścieżki ślad przepada szary.
Trawy — kobierzec traw, bujny, zielony,
Przeczystym srebrem nocnej rosy dziany;
Bezcenny klejnot — rozchylone dzwony
Przecudnych kwiatów, haft ametystowy
Kładą na szmaragd, przysuty perłami,
Między lelui hardych złote głowy.

W błękitny opar obłok się rozpływa.
Ukośne słońca promienie przed nami
Biegną, skier leci ulewa ruchliwa,
Rozpala kwiatów cudnobarwne szycie,
Jakobyś tęczę położył na szczycie.

Z dalekich dziedzin brzmią niedzielne dzwony,
Rozwiewne echa z za światów idące...
W zawrotnej głębi kobierzec barwiony
Hal i dolina, uśmiechnionej łące
Podobna. Wzbiera czar młodzieńczy wiosny
Kipiącą falą zwycięskiej zieleni.
Świetlistą łuską igra wąż strumieni,
Bije ku szczytom chór głosów radosny,
Gra czarodziejska, tęskna hal muzyka...
Echem odbija krzesanica dzika:
...Zagraj że mi, zagraj...
...Na frasunek, na żal...

. . . .

Marya Markowska.

NASTRÓJ.

Wietrzyk skrzydlaty
O świcie
Wstrząsł, zbudził kwiaty...

Rozbłysło nagle w przestrzeni,
I na błękicie
Światło się stapia i mieni
W tysiąc barw, blasków, odcieni,
O świcie.

W drzew wierzchy drżące
O ranku
Strzeliło słońce.
Zielone wina oploty
W cienistym ganku,
Na skroń mi trzęsą pył złoty
I sączą słodycz pieszczoty,
O ranku.

Padły już rosy
O zmierzchu
Na wonne wrzosy,
Legł cień na krętej ścieżynie;
Tylko u wierzchu
Drzew światło błądzi i ginie
W liści szemrzącej gęstwinie,
O zmierzchu.

Błysły gwiazd oczy
O zmroku,
W niebios przezroczy.
Zgasł dzień w błękitnej głębinie.
Tylko w mem oku
Blask się ulotny przewinie,
I łza cichutko popłynie
O zmroku...

Bożydar (Edmund Bogdanowicz.)

MOCZARY.

Wśród splotu wiklin, trzciny i wysokiej trawy,
Tajemny moczar leśny wody swe rozlewa.
— Nad brzegiem chylą czoła zadumane drzewa —
I toń mroczy się szara wśród liści oprawy.

Zachód — przez drzew warkocze blasków snop różowy
Wśród mgły na wodach mętnych zwolna się rozlewa.
— Nad brzegiem chylą czoła przebudzone drzewa —
Skąpane w jasnych blasków koronie tęczowej.

Na liściu lilii płynie przez wodne obszary
Rusałka — wiatr jej włosy złociste rozwiewa.
— Nad brzegiem chylą czoła zadziwione drzewa —
I zwolna całą ziemię mrok ogarnia szary.

A w martwej wodzie bagna obudza się życie,
Jakiś szmer tajemniczy wkoło się rozlewa.
— Nad brzegiem chylą czoła niespokojne drzewa —
A wiatr w trzcinach i trawach przemyka się skrycie.

Rusałka na dnie samem skulona w kielichu,
Z źrenicą w dal wpatrzoną słucha, jak wiatr śpiewa.
— Nad brzegiem chylą czoła zalęknione drzewa —
Coś się rusza i pluska na fali po cichu.

A z głębin wynurzają się straszne poczwary,
Z oślizłych ciał szelestem woda w toń się zlewa.
— Nad brzegiem chylą czoła przerażone drzewa —
Znów cicho... tylko w głębiach burzą się moczary.

A rusałka pobladła w liliowym kielichu
Zapada w tonie mętne...
Wiatr mgły nocne zwiewa—



— Nad brzegiem chylą czoła opuszczone drzewa —
I trzciny nad moczarem coś szemrzą po cichu...

Henryk Zbierzchowski.

PRZED BURZĄ.

Przed burzą bywa chwila cicha i ponura
Kiedy, nad głowy ludzi przyleciawszy, chmura
Stanie i, grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma,
Milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma,
Znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie:
Tej ciszy chwila była w Soplicowskim domie.
Myślałbyś, że przeczucie nadzwyczajnych zdarzeń
Ścięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń.

Po wieczerzy, i Sędzia i goście ze dworu
Wychodzą na dziedziniec, używać wieczoru;
Zasiadają na przyzbach wysłanych murawą;
Całe grono z posępną i cichą postawą,
Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
Ścieśniać, i coraz bardziej ku ziemi przybliżać;
Aż oboje, skrywszy się pod zasłonę ciemną,
Jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną,
Tłomacząc swe uczucia w westchnieniach tłumionych,
Szeptach, szmerach i słowach nawpół wymówionych,
Z których składa się dziwna muzyka wieczoru.

Zaczął ją puszczyk, jęcząc na poddaszu dworu;
Szepnęły wiotkiem skrzydłem niedoperze, lecą
Pod dom, gdzie szyby okien, twarze ludzi świecą;
Bliżej zaś, niedoperzów siostrzyczki, ćmy, rojem
Wiją się, przywabione białym kobiet strojem;
Mianowicie przykrzą się Zosi, bijąc w lice,

I w jasne oczki, które biorą za dwie świece.
Na powietrzu owadów wielki krąg się zbiera,
Kręci się, grając jako harmoniki sfera;
Ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów
Akord muszek i półton fałszywy komarów.

W polu koncert wieczorny ledwie jest zaczęty;
Właśnie muzycy kończą stroić instrumenty.
Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,
Już mu zdala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy, do góry porwawszy się, wiją,
I, bekając raz po raz, jak w bębenki biją.

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy,
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy,
Jako zaklęte w górach kaukazkich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piaszczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistem i gardzielem mętnym,
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym;
W obu stawach piały żab niezliczone hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci zcicha;
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha;
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie arfy Eola.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach, błyskały wilcze oczy jako świeczki;
A dalej, u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.

One teraz z pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi: niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Adam Mickiewicz.

BURZA.

Wicher i mrok.
W całej naturze dreszcz —
Chmury po niebie rozlały ciężki ołów —
I na groźny połów
Zimnych strumieni wyrzuciły stok
I rzęsisty zesłały deszcz.

Przez niebios całun pochmurny
Wyją wichry straszliwemi nokturny —
W krzyżujących się, dzikich skowytach
Rozpętane pędzą po błękitach —
I świszczą, świszczą, świszczą swe boleści.
Coraz inaczej się kłębi ich treść bez formy i forma
[bez treści,
I dmą w kierunkach coraz innych.
Podobne szaleńców snom!

Siekana biczów tysiącami płynnych
Ziemia zajękła!

Zeszły się dwie chmury
W taniec ponury
I w uścisku pierś im pękła!
Z tego umarłego uścisku,
W purpurowym błysku,

Wybiegła żmija z płomienną źrenicą,
A za żmiją błyskawicą —
Zahuczał grom!

Zahuczał — wstrząsnął przestworza ogromy,
Zahuczał — wstrząsnął niebiosa i glob
I tak pędził przez błękitów strop
Jakby chciał go zmiażdżyć na atomy!
Rozerwawszy milczenia łańcuchy,
Ryczał swym najpotężniejszym głosem —
I śród wichrów dzikiej zawieruchy,
Jakby piekieł wiódł za sobą duchy,
Pędzi ziemi grozić swym chaosem.

Gędźbą piekielnych
Sił
W igrzyskach weselnych
Się wił,
I błyskał purpurą
Ogniowych żył,
I ponuro, ponuro, ponuro —
Wył!

W drgnieniach elektrycznych,
W ogniach błyskawicznych,
Po lazurach bezgranicznych
Z tajemniczych sfer —
Od złotych skier
Pędzi ku złotym skrom!
Chmur całuny —
Wichrów tabuny —
Błyskawic łuny —
To jego struny!

I na tej lutni swe tajemne runy,
Za gromem grom,
Huczą pioruny!

Gną się, kołyszą się, jęczą drzew rozłożyste konary
W wichrów szalonym podmuchu i w ryku piorunów [ognistym!
Drży każda sosna od tej straszliwej muzyki,
Aż ku ziemi się chyli. Ramionami rzucają modrzewie,
Niby ptak, który skrzydłem rannem boleśnie trzepocze;
Srebrzystymi wieńcami swych rozpłakanych gałęzi
Brzoza się modli do ziemi i łzami się macierz zalewa,
Łzami, co w mokrych strugach obłoki jej z deszczem [posłały.
Olcha potrząsa liściem, strwożona o kruchy swój pień,
Grab się kryje przezornie pod rozłożysty dąb;
Grochem łez purpurowych płacze kalina serdeczna,
Dąb tylko, niby kolumna, stoi niezłomny i cichy,
Zła czy dobra mu dola przypadnie, on czeka spokojnie:
Niczem dlań wichry, ni deszczu strumienie ulewne, ni [gromy.

A wokół drzewa gną się, kołyszą się, jęczą,
Liście gwiżdżą w tańcu śmiertelnym.
Dzikie róże, dzwonki, lebiodki,
Złote jaskry, lilowe stokrotki —
Wszystko kwiecie, co ozdabia lasy,
Powalone wije się w agonii
I, straciwszy czystość swojej krasy,
Leży w błota czarnej toni.

Grunt się przemienia w błoto gliniaste, brudne i czarne,
Ptaki się skryły w dziuple drzew tajemne,
Zwierzęta w nory uciekły podziemne

I nie śmią spojrzeć na to widmo cmentarne,
Co leci
W wichrów zamieci,
W drzew trzaskających rozłomach —
W błyskawic sieci,
I gromach!

Antoni Lange.

JESIEN.

NA JESIENI.

Coraz ciszej — wrzesień! wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa —
Ha, i jesień, — polska jesień!

O! jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I kojącej pełna treści...

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łąki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozesłany.

Mgła poranna, co nierada
Wdzięk odsłonić naraz oku,
To się wznosi — to opada;
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W plątaninie tęcz i gazy,
Jak czarowna niby wstęga,
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku
Płynie, sunie i przegania,
I otula, i odsłania
Wdzięki, ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane!

Aż gdy cicho złote słońce
Z dobrą wieścią wyśle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łzy się żalą.
Za wzgórkami gdzieś niebiosa
Jarząbatą płyną falą;
W blasku słońca perli rosa,
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona, się uśmiecha
I w milczeniu znów oddycha
I powagą, i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota —
Nigdzie głosu — nikt nie śpiewa:
A po duszy się rozlewa
Jakiś smętek czy tęsknota.

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;

Już i żóraw rzuca straże,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora
Słychać jeszcze wrzask kaczora
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska — to matrona!
Przysporzyła i oddaje:
A co wyszło z serca, z łona,
Ukojone — całe staje.
A ta srebrną pól tkanina,
Ta jesienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani.

Cicho, chłodno — jakoś smętno,
Czule, rzewnie i pamiętno:
Bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione,
Wielkie burze już przebyte,
Wielkie bóle ukojone.
A więc słońce złotem ciska;
A złociste łanów ściernie
Srebrną gazą się połyska, —
I przyświadcza temu wiernie
W wielkiej ciszy, w wielkiej wierze,
Niebo, — ziemia, — człek i zwierzę.

Wincenty Pol.

JESIEŃ.

I ty nie jesteś z uroków odarta,
Jesienna poro smutku i niemocy,

Gdy innych ptaków kończy się już warta,
I kogut tylko krzyczy o północy;
Gdy słońce, gasnąc, w mgłach posępnych tonie
I rzuca niwom długie, żółte smugi,
A wyrobnica biada na zagonie,
Że dzień tak krótki a wieczór tak długi...
I tyś nie brzydka, szara druchno zimy,
Wiodąca z sobą melancholję dziką,
Strojna w błękitne chat wieśniaczych dymy,
I głośna rogów myśliwskich muzyką,
Gdy w zawaloną drzew trupami knieję
Ze sforą wyżłów prowadzisz szlachcica
I grzmią dwururki i starka się leje
I płomień ognisk krwawo barwi lica...,
Jednak, choć ziemia kwieciem cię okadza,
Niby kościelnym, dusznym trybularzem,
I pośród kwiatów blizka śmierć się zdradza,
I czuć cię zdala — trumną i cmentarzem.
Choć się zakrywasz hurysek zasłoną
Z babiego lata srebrnonitnej przędzy,
Ja ciebie widzę z twarzą pomarszczoną,
W żałobnym kirze, pełną mgły i nędzy...
I próżno wabisz niejedną ponętą,
Która wzrok czuły bawi i zachwyca —
Piękność twa złudna jest dla mnie przeklętą,
I przeklętemi zalotne twe lica.
Alboż nie jesteś bladym grobów gońcem,
Co wkrótce kwiaty i owoc pochłonie?
Alboż nie mówisz, skąpanem w krwi słońcem
O łzach, rozpaczy, nicości i zgonie?
Smętny twój uśmiech, ledwie błysnął — gaśnie...
A zaraz po nim leci zawierucha,
Żywioły dzikie poczynają waśnie,
I wichry wyją i ulewa bucha...

Jakiż to orszak ciągnie w ślad za tobą,
Spowity w białe, śmiertelne całuny?
Mrok go otacza strachem i żałobą,
Księżyc zatapia w lodowate łuny...
Znam go! — swą drogę mogiłami znaczy!
A gdzie, jak żmija, przyczołga się nizko,
Sieroty dłonie tam łamią w rozpaczy,
Matki rwą włosy nad pustą kołyską...
Znam go! — psy po wsiach witają go wyciem,
A gdy się w miasto wśliźnie po kryjomu,
Pierś każda słabszem odzywa się biciem,
I głuche jęki słychać w każdym domu...
. . . .
Jesienna poro! Bóg ci dał dwie twarze:
I jedną ubrał w słońce i uśmiechy,
A drugą zrobił straszną, jak cmentarze,
Skąpiąc jej nawet promienia pociechy.
Jedna przynęca i serce i oczy,
Bo ją poezyi złoty welon skrywa;
Drugą żałoba beznadziejna mroczy...
Jedna jest piękna, a druga — prawdziwa!

Wiktor Gomulicki.

Z HARMONII JESIENNYCH.

Południe senne pól zieloność zwiędłą
W srebrzyste pasma oprzędło —
Milczą pożółkłych drzew i wzgórków szczyty
I ponad wód zwierciadła
Głusza przypadła.
Tak, że jedynie wietrzyk, w gąszczach skryty
Ilekroć zbudzi w nich dreszcze,
Uschła gałązka szeleszcze,

Lub liść bladawy
Szemrze wśród trawy,
I nigdzie chmurki, plamki, ni obłoka,
Tylko, jak zajrzysz z wysoka,
Niebo dokoła.
Nie już błękitne, jak jest wzrok anioła,
Lecz, jak go miewa,
W dal patrząc, dziewa;
Przyćmiony pyłami złota.
I spokój wszędzie. Bowiem zwolna cała
Ziemska robota
Na to ustała,
By w znoju czoła setne dawszy plony,
Obchodzić mogła Pański Rok skończony.

Chodźmy na pola... Smutku tam jest wiele,
Lecz i pociechy też słodkiej...
O! mój milczący aniele,
Patrz, jak te blade stokrotki
Dni ostatecznych towarzysze wierni,
Wśród zżętych dumają ścierni...
Każda z nich, zda się, wspomina
Ubiegłe tylko, co lato,
I choć już zima
Szronem się zżyma,
Śni sobie wiosnę skrzydlatą...
Nieprawdaż, moja jedyna,
Że jest uroczym i ten smutek cichy,
I ta pociecha,
Co po przez łzy się uśmiecha,
Jak wonne kwiatów kielichy,
Zemdlone skwarem, odświeżone burzą
Które, gdy słońce głowę do snu skłania,
I skrzące rosą śle mu pożegnania.

O! nim się nieba zachmurzą,
Powiedz mi, duszo ty tkliwa —
Jakże? więc tylko kto utracił dużo,
Spokojnym bywa?
Patrzę wokoło — tak — o! jakże mało
Jesieni biednej zostało!
W szumiących ścierniach bladych kwiatów nieco,
U drzew ostatki zieleni...
Nieba! toż ona
Samotnie kona —
Bo już i ptacy, indziej gdzieś zwabieni,
Za słońca śladem już lecą.

A nad zdeptaną tą chwałą,
Jakże to nieubłaganie
Dokoła wskróś rozedniało
Niebios błyskanie

Wiatr tak uciesznie chmurki precz przepędza,
Dzień tak się wdzięczy, jak już i nie było!
O! wszak jest przykrą ta promienna nędza
I ten wesoły uśmiech nad mogiłą?
Chodźmy stąd — chodźmy — Smutno tu. Pierś wzdęta
Łkaniem nabiera, łzami brzmieją oczy...
O! póki dusza uroczy
Swój raj pamięta,
Lepiej mieć jeszcze, choćby bardzo mało
Niżeli przeżyć wszystko, co się miało.
Bo gdy nadejdzie martwe święto zimy
W którem ni gromów czekać, ani tęczy,
To któż zaręczy,
Że po niem wiosnę ujrzymy?

Felicyan Faleński.

JESIENIĄ.

I.

Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrzu się wloką
Daleko, szeroko
Na czarne role, na płowe ścierniska.

We mgle majaczą białe grzbiety wołów
I pługi — rzędem — ciągnące na roli
Leniwie, powoli,
Pod niebem szarem i ciężkiem jak ołów.

Wron stada kraczą nad zoraną smugą
I za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo,
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho płacze.

II.

Żółte listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa złota,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...

Lucyan Rydel.

JESIEŃ.

(SONETY MAŁE).

I.

Po morzu liści
W złotej pożodze,
Jak ci psalmiści,
Za duchem brodzę...

I co się w drodze
Innym nie iści,
To ja, złociściej
Rojąc, znachodzę.

Cudna jesieni,
Przedśmiertna zorzo!
Na wdzięk promieni,
Nad wiosnę hożą
Ciebie przełożą —
Jak ja, stękniemi.

II.

Kocham na kresie
Blasków te kwiaty,
Wino, co pnie się
U twojej szaty, —

Dzięciołów czaty
W ogromnym lesie,
Ciszę, co niesie
Echa w zaświaty —

Twoje żórawie
Odlatujące,
Pustkę na stawie,
Tęskność na łące,
Tron w blasków grodzie
Tam — na zachodzie...

III.

Przez obszar złoty
Cichego rżyska,
Gdzie słońce groty
Pieszczące ciska —

Przez te siedliska
Niemej tęsknoty,
Pod twe namioty
Idę, o, blizka!

I jak po boju
Żołnierz sterany,
W twoje ramiona
Odnoszę rany:
Błogosławiona
Ciszo pokoju!...

IV.

A gdy — co roję
I co tu święcę:

Trwogi dziecięce
W śmierci ukoję, —

Ciężką po męce
Zdjąwszy mi zbroję,
Ty, jak na ręce,
Weź duszę moję...

I nieś ją do tej
Wielkiej, znamiennej
Ciszy ku stronie,
Gdzie w blaskach złotej
Gloryi promiennej
Ołtarz twój płonie.

Józef Jankowski.

JESIENIĄ.

Jak gwiazdy, spadłe na czarne zagony,
Jaśnieją sterty pszenne i żytniane,
A czoła w mleczną owinął im pianę,
Pajęczych przędziw łańcuch wysrebrzony

Z ognisk pastuszych bije blask czerwony,
Złocą się iskry przez dymy przesiane,
I słychać głosy tęskne, rozśpiewane —
Rusińskich dumek rozełkane tony.

I cisza znowu. Chłopskie wierzby siwe
Opadłem liściem mącą wodę w stawie —
Słychać ciągnące odlotne żórawie.

Białe przędziwa gdzieś lecą przez niwę,
Białe przędziwa płyną — wiatr je mota —
I płynie z stepów bezdenna tęsknota.

Kazimiera Zawistowska.

JESIENIĄ.

Przez nagie, ciche martwych pól przestrzenie,
W jakiejś potężnej, królewskiej zadumie
Płyną dwa duchy, błędne, srebrne cienie —
W jesiennych wichrów płyną smutnym szumie
Kędyś w dal mglistą, kędyś w nieskończenie...

Targane wiatrem stoją smutne grusze,
U stóp ich leżą, zwiędłe zżółkłe liście,
Niby strącone z niebios smutne dusze,
A psalm jesieni huczy uroczyście,
Budząc odludne, mroczne, leśne głusze...

W ciemnej, mistycznej głębi uroczyska,
Gdzie stoją smutkiem całowane drzewa,
Jakieś światełko blade w mrokach błyska,
W podziemiach głuchych cichy jęk omdlewa
I szatan dzikie odprawia igrzyska...

Przez melancholię spowite ugory,
Gdzie legła straszna, milcząca martwota,
Wloką się czarne snów jesiennych zmory
I chwiejnym krokiem idzie w dal tęsknota,
A za nią płaczą obumarłe bory...

Zygmunt Rożycki.

Z WRAŻEŃ JESIENNYCH.

I znów, i znów w słońca złocie
Barwnych astrów błyszczą krocie,
Z drzew szelestem spada liść...
Ponad łąką, ponad chatą
Znów się srebrzy babie lato,
Płyną gęste mgły, opary,
A tęsknica bladolica
Po dawnemu ściska ducha, —
Człowiek tęskni, patrzy, słucha
I w ten przestwór złoto-szary
Pragnie iść i iść.

Dusza lecieć chce daleko,
Kędy srebrne strugi cieką,
Nad szeroki boży świat...
Hen, wysoko nad borami
Popłynąłbym z żórawiami
W kraj radosny wiecznej wiosny,
Byle uciec przed tęsknotą,
Byle spędzić chmurę z czoła...
Co to? Echo z boru woła?...
Może znów — przez liści złoto —
Echo dawnych lat...

Selim (Władysław Bukowiński).

SPADŁE LIŚCIE.

Na srebrne stawu zwierciadło lecą —
I świecą złotem — i miedzią świecą,
I lecą trwożne jak błędne duchy,
Jak serc porwanych krwawe okruchy...

Przez wiatr rozsiane serc krwawych strzępy
Między pobrzeżne szuwarów kępy...
Jakby łzy lecą... Jakby ból kwiatów...
Jak pocałunki słane z zaświatów.

I lecą... lecą... a gdy na fali
Mglisty się pierścień świateł rozpali,
To się w tej smętnej pławią jasności,

Niby korowód cmentarnych gości...
Na srebrne stawu zwierciadło lecą
I świecą złotem i jak krew świecą...

Kazimiera Zawistowska.

BABIE LATO.

Snuje się, snuje babie lato,
Po rżysku płynie, po zagonie,
I blaskiem dziwnym w słońcu płonie
Cieniuchna, mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!

Pajęcza nić,
Zaklęta nić,
Czepia się łodyg zwiędłej trawy,
Ostatni maku kwiat jaskrawy
Osrebrza cały i oplata;

Tam, gdzie ostróżki fioletowe
Na złocie ścierni haft swój kładą,
Niby błyszczący szych ulata,
By tej jesieni smętnej szata
W barwy mieniła się tęczowe;

Tam, na puszystą ostu głowę,
Na koniczyny czerwień bladą
I na piaszczyste, hen, rozłogi,
I na dziewanny szare kiście —
Gdzie kwiat ostatni lśni ogniście —
Gdzie się przegonów ciągną smugi,
Gdzie się grusz starych cienie kładą,
Na ich gałęzie rosochate,

Na ten pas miedzy — wązki, długi,
Na szare stogi sterty płowe,
Tam na zagaje, na dąbrowę,
Aż do tej wody, do tej rzeki,
Na mokre łąki, na bagniska,
Gdzie się ta trzcina chwieje ślizka,
Gdzie tataraki, wodne ziele —
Tak się to srebro żywe ściele,
Jedna za drugą mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!
I płynie nić,
Zaklęta nić...

A śladem za nią, na ścieżyny,
Co się wśród pola bielą, znaczą,
Pod tych niebiosów błękit siny,
Za bladą nicią tą tułaczą,
Nadpływa dusza —
Żalem gnana,
W dalekie echa zasłuchana
Z tęsknicą cichą.

Gdzie się na miedzach oset chwieje,
Łodyg cykoryi szare pęki,

Srebrne piołuny i bylice —
Pobladłe zwraca, smętne lice,
To jej marzenia, jej nadzieje...
Uwiędłe ziele...
I tylko wiatr
Roznosi jęki,
Trawami chwieje,
I nić się snuje,
Duszę chwyta
— Taka w niej siła niespożyta —
Ta zwiewna nić, tych wspomnień nić.

Ugorem przeszły znojne pługi,
Pobłyska w słońcu ziemia czarna,
Jeden za drugim zagon długi,
Na nowe plony, nowe ziarna.
Po skibach płynie, tam, powoli...
I krwi i potu tyle, łez,
Na tych zagonach, na tej roli...
Bez zbiorów siewy...
Znojów kres,
Już kres!
I innym trud — a żal...
Z powietrznych cichych płynie fal
— Ani jej zerwać, ani skryć —
Ta srebrna nić, tych znojów nić.

Och!
To jakiś polem przeszedł jęk,
To jakiś ziemią wstrząsnął szloch,
Daleko hen
Zatoczył krąg,
Niby na wodzie te koła,
I tam od łąk,

W poszumach trawy,
Głos idzie łzawy,
I woła,
I łka.

Z poszumem wiatru
Jedno imię
Jękiem nadleci,
Jak olbrzymie
Ziemi westchnienie — polem wieje,
Aż mu zawtórzą echem knieje,
W wierzbach zahuczy, w rokicinie,
W mgłach nieuchwytnych się rozpłynie
To jedno imię — jedno imię...

Przędziwa nić,
Pajęcza nić,
Drży tem imieniem —
Żal, tęsknica,
Zaduma wstaje bladolica,
Powraca znów...
Powraca znów
Niezapomniana jedna nuta,
Z zaprzepaszczonych lat wysnuta,
Ta nić — ta srebrna nić —
Płynie nad polem, z wiatrem leci,
W jesiennem słońcu skrzy się, świeci
Ta dziwna nić —

Ta nuta,
Z przeszłości mgieł wysnuta,
Na życie całe
— Jak pokuta
Zaprzepaszczonych dawnych dni —
Omota duszę i pochwyci:

Taka w niej siła,
Taka moc
W pajęczej wątłej nici!

Niema boleści w niej, rozpaczy,
A smętek jeno, zadumanie,
Jakieś w przeszłości rozkochanie,
Tej — promienistej, pełnej dum...
Orłowe loty,
Skrzydeł szum,
I duchów moc...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę — wie, pamięta:
— To było, to było już.
Od liliowych wrzosów wstaje
I płynie, płynie na rozstaje,
Gdzie krzyż spróchniały czarny stoi,
Gdzie się czerwienią brzeźniak stroi,
Kamienie wielkie leżą...
I huczy wicher po przez łany,
Niesie przędziwa szmat stargany...
O życie! biedne życie...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę — wie, pamięta:
— To było... to było już...
Po tych ścieżynach, co się znaczą
I złem, i dobrem — i rozpaczą,
I słonecznemi smugi —
Nadpływa dusza...
Żalem gnana,
W dalekie echa zasłuchana,
Z tęsknicą cichą.

Cicho...
Niech płynie ugorami,
I ornem polem i łąkami,
Gdzie się wysrebrza wstęga rzeki
W starej wierzbiny zżółkłej ramie,
Gdzie rokiciny szum daleki,
Gdzie się echową skargą łamie
Fujarki nuta;
Gdzie z kotliny
Na pole dym się wlecze siny,
I szary kamień miedzy strzeże,
I majaczeją stare wieże
W bezchmurnym, jasnym nieb błękicie.

Cicho...
Niech w dawne płynie życie...
Niech się rozświetli, niech roztęczy
Ten szlak, utkany z mgły pajęczej,
Litosnych Maryi rąk robota,
Niech się ta droga wije złota
Bez szarpiącego wspomnień jęku,
Bez krwi zapiekłej z dawnej rany,
Bez tej rozpaczy,
Tej bez słowa,
Co się w grobowem: nigdy! chowa,
Bez zgrzytu struny potarganej,
Bez żalu i bez lęku...

Cicho...
Niech drogą płynie białą —
Już przeminęło, już się stało...
Uwiędły liście...
Było... było...
Mgły się zwieszają nad mogiłą,

Pogodny zachód, jasny, złoty...
I rzewność jeno, zadumanie,
I smutku powiew i tęsknoty,
I przedwieczorne zasłuchanie,
I zachód, jasny, cichy, złoty...
I tych pajęczych nici sploty,
I chłodnych kilka ros na ręku,
I tylko jeszcze dumać... śnić...

Bo płynie nić,
Pajęcza nić,
Zaklęta, dziwna nić!...

Marya Markowska.

SYMFONIA JESIENNA.
(Fragment).

Drzew falą bór się kłębi
I pryska gałąź sucha,
Wśród haszcz, jak bunt wybucha
Moc wichru. W leśnej głębi
Na giętkie, młode pnie
W rozpędzie zarzuca ramię
I czoła do ziemi gnie
I łamie!...

A z koron mrących drzew
Tumanem lecą liście,
Jak świeża czerwona krew,
Jak złoto tlące ogniście,
Z buków strząsane czoła
Powietrzny tan dokoła
Na rdzawym zawodzą mchu,
Bez sił, bez tchu...



I jakby sądu godzina
Szła w bór znienacka
Złowroga...

Jesiennych obłoków łono
W strzępy drze wicher, rozrywa,
Zagadka jakaś straszliwa
Za chmur się tai oponą...
I jakby sądu godzina
Szła w bór znienacka
Złowroga
I jakby dłoń świętokradzka
Zasłonę zwlec chciała — z Boga!...

W morzu rozchwianych gałęzi
Północny wicher grzmi — i przeklina
I dech utraca — i rzęzi
I milknie — i cichną knieje
I krzepnie puszcza głucha,
A w ciszy bór tężeje,
Prostuje się — i słucha...

I nagle znów z dalcka
Coś zrywa się, coś zbliża,
Jak wartka szumi rzeka,
Jak fala leci chyża,
I znowu w leśnej głębi
Wichrowy bunt wybucha,
I pryska gałąź sucha,
I drzew się fala kłębi...

A z wichrem — dawne rany,
Przedwieczne krzywdy płaczą,
Ból ziemi rozpętany

Grzmi w nieba strop — rozpaczą!
Tysiącem pięści grożą
Ramiona jakieś z dali
I tysiąc pięści wali
W zapartą furtę bożą...
Tajemnych skarg wymowa
W tumany zwiędłych liści
Płomienne rzuca słowa —
I barwi je czerwono
I palą się i płoną
Próśb wrzących antyfoną...
Sen jakiś zły się iści!...

Aż gdzieś przez chmur kotarę
Ostatnie błyski śląc,
We mgły zapada szare
Jesienne, krwawe słońce...
Wtedy w rozgłosach ech
Odbity wicher mdleje
I jak ów brytan, gdy mu tchu nie starczy
Pada na mech
I w ciszy,
Warczy
I dyszy...
A w krąg, gromadą
Na rdzawych mchach,
Cienie się kładą —
I czuwa — strach...

I znowu milkną knieje
I krzepnie puszcza głucha
A w ciszy bór tężeje,
Prostuje się — i słucha...
Maryla Wolska.

ZACHÓD JESIENNY.

Krwawo krąg słoneczny płonie,
Liście się na drzewach palą,
Zorza bór zatapia cały
Purpurowych blasków falą — —

Gore niebo... Las w płomieniach...
Rubinowych strzał tysiące
W głuchy ostęp z łuku swego
Wypuściło krwawe słońce...

Blask się szyje skroś gęstwinę,
Drga na sosen złotej korze
I przedzierzga mchów posłanie
W roztopionej miedzi morze...

Płoną nikłe krze jałowca,
Jak ognisty kierz Mojżesza,
Na pniach dębów, na koronach
Smukłych jodeł blask się wiesza...

Czarodziejski świat, jak w baśni — —
Bujne chwieją się paprocie,
Koralowe lśnią bruśnice,
W płynnem się nurzając złocie...

Cały bór się w ogniu pławi,
Kąpie się w posoce krwawej...
Tam, gdzie płomień nie dosięgnął,
Blask się wsączył różowawy...

Cały bór w płomieniach stoi,
A skroś sosny rzedniejące

Widać, jak się za widnokres
Wolno krwawe stacza słońce...
Zdzisław Dębicki.

ZMIERZCH.

W mgieł opalach rozwleczon, osnuwa powoli
Poczerniałe ścierniska pełne zimnej rosy,
I wierzb sennych rozwiane żałośliwie włosy,
I kurhany zdrzemane w rozoranej roli.

Jak ptak zmęczon opada w mgławej aureoli
Świateł kędyś gasnących — w rdzawe sianokosy
Lecą dzwonów cmentarnych zabłąkane głosy
I wiodą jak piastunka tęskną baśń złej doli.

Pójdę znaną ścieżyną, dziś szarą od mroków,
Pod ciężką od mgieł wilgną oponą obłoków,
Pójdę szukać rozwianych wróżb białych stokroci —

Czterolistnych koniczyn — pocałunków żarów —
Pójdę szukać wśród chłodem wiejących oparów,
Czy się kędyś zbłąkana skra słońca nie złoci.
Kazimiera Zawistowska.

WIECZOREM.

Słońce we mgłach zapadło. Na polu górale
Wiążą snopki. Wieczorny dym leci nad chaty.
Od niknącej powoli słonecznej poświaty
Liliowieją ogromne gór i niebios dale.

Gdzieś tam, w głębi Tatr, puste, mroczne drzemią hale,
Liliowych wierchów jeży się grzebień zębaty;
Nad niemi biały obłok, jak łabędź skrzydlaty
Konający na długiej, złotej słońca strzale.

Z ognisk pasterskich bije dym i blask czerwony;
Rzędami postawione ciemne kopy siana
Zdają się, jakby widma idące w zagony.

A słońce gdzieś pod ziemią idzie, aby zrana
Świecić tu znów, gdzie zgasło — — i wieczysta trwania
Straszliwa obojętność z gwiazd się wyotchłania.
Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

W NOC JESIENNĄ.

Na sine góry, na ciemne bory,
Skoszone, szare łany,
Pada z księżyca światła mgławica,
Jakgdyby szron świetlany.

I ziemia cała w blask się ubrała
I drzemie, lśniąc srebrzyście,
A w ciszy sennej, wicher jesienny
Szumi, kołysząc liście.

Jak żóraw bierze kroplę na pierze,
Gdy brodzi po strumieniach,
I w głąb wszechświata z kroplą wylata
I gubi ją w przestrzeniach.

Ty orlo-pióry wichrze ponury,
Mącący nocną głuszę,

Nad granit siny w niebios głębiny
Weź z sobą moją duszę.

Po widnokręgu, z kręgu do kręgu,
Przestrzennych fal niech płynie,
Aż gdzieś w nicości, w nieskończoności,
Roztopi się i zginie...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

LISTOPAD.

Płacze drzewo liściami zwiędłemi,
Łzawe niebo przygląda się ziemi,
Smutne serce, jak słonko jesienne,
W mrokach chwile wspomina promienne
I łzy roni stęsknione, nieboże —
Że kochało, zapomnieć nie może...

Płacze drzewo liściami zwiędłemi,
Wiatr je z jękiem rozprasza po ziemi,
Mgły naokół rzucają zasłonę...
Płacze serce samotne, wzgardzone —
U natury wygasłych ołtarzy,
Że nie było kochane, się skarży.

Płacze drzewo liściami zwiędłemi,
Wiatr jesienny się znęca nad niemi —
Biedne serce jak listek na wietrze
Drży, nim troska na próchno je zetrze,
I marnieje wśród życia szarugi,
Że nie może pokochać raz drugi...

Maryan Gawalewicz.

UROCZYSKO.

Na dnie odmętu,
Wśród wiklin i trzcin roztoczy,
Wplątane w mchy podwodne,
Spadłe z firmamentu
Lśnią się gwiazd oczy
Pogodne...

Zielona poświata miesiąca
O wód tafle trąca
I welon biały,
Srebrzysty na liściach zwiesza.
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Hen, z sinej dali
Idzie już — idzie wieczna tułacznica,
Ugorów rozpaczna cisza...
Ślizga się po srebrnej fali,
Oblanej strugą księżyca,
Pień dębu objęła zmurszały...
Po trawach depce,
A teraz w liściach wierzb coś szumi i szepce.
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Od mgieł, co jak białe płótno zwiesza,
Tajemne się tworzą jeziora i stawy
Na łąkach... Na wierzchołkach borów...
Opustoszałych ugorów
Rozpaczna cisza
Kołysze drzewa i trawy,
Wśród trzcin pełza po cichu,
Aż w końcu, w lilii kielichu
Cała się kładnie —
Pod ciężarem

Przegina się w wodę kielich biały
I lilia, zwiesiwszy pierś, kona,
Otruta moczarem,
Patrząca w gwiazdy nad nie...
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.
Henryk Zbierzchowski.

ZIMA.

ZIMA.

Noc ciemna, wicher, mróz,
Las senny śpi w omroczu —
Wilczysko patrzy z łóz
Koralem krwawych oczu;
Kieruje krzywy chód,
Białymi kłami błyska —
W brzuch kłęby wtłoczył głód,
Wylata z pianą z pyska.

Przez śnieżny, głuchy step,
Co jękiem wichrów płacze,
Zwiesiwszy duży łeb,
Ospałym ruchem skacze,
I kędy wieś wśród drzew
Pod strażą stoi krzyża,
Mord węsząc, czując krew,
Do sennych chat się zbliża.

Przesadził wązki rów —
Już wietrzy obór zapach —

Ryk głuchy słyszy krów,
Łup świeży czuje w łapach;
Jak krwawych ognisk dwa,
Wilczury świecą oczy,
A charkot w piersi gra,
A ślina z warg się toczy.

Już łapą zerwał snop...
Rozkoszna wrażeń chwila!
Przez nizki przelazł strop,
Czar nozdrza mu rozchyla. —
Wtem: »Huź-go!« za nim — tuż,
Głos ozwał się pastuszy —
Złodzieja poznał stróż
I kundlów tłum poruszy.

Więc skoczył gniewny, zły —
Żar błysnął mu pod rzęsą,
Bo ostrzył silne kły
Na świeże, ciepłe mięso;
Bo głód go tutaj wparł —
Na zębach czuł go białych —
Ach! żarłby, żarłby, żarł
Z rozkoszą trzew zgłodniałych.

Lecz za nim gwałt i gon,
Krzyk stróżów, psów hałasy —
Z dalekich przybył stron,
W dalekie wraca lasy.
Noc ciemna, wicher, mróz,
Śnieg gęsty pola kryje —
Wilczysko patrzy z łóz,
Szarpany głodem — wyje!

Kazimierz Gliński.

O MROŹNYM RANKU.

Bladolica
Czarownica
Biegunowych, pustych mórz,
Zawitała
Zima biała
W bujnej ziemi złotych zbóż.

Kraj, z wieczora
Jeszcze wczora
Tęsknego pełen uroku,
Oniemiały,
Trupio biały,
Z porannego wstaje mroku.

Nad wrotami,
Nad płotami,
Nad ogrodu kląby siwe,
Gwarna rzesza
Wron się wiesza,
Rozdziawiając dzioby krzywe.

Oszronione,
Zbezwładnione,
Smutne drzew przydrożnych pary,
Jak żałobnych
Widm nadgrobnych
Szereg, w mgle majaczą szarej...

Wtem — nad szronem
Ubielonem
Milczących przestworzem łanów,

Purpurowa
Słońca głowa
Wynurza się z mgły tumanów.

I ten cały
Omartwiały
Świat posępnych, bladych larw
Lśni się — pali —
Skrzy — kryształi —
W nieskończoność cudnych barw.

Szmaragdami
Opalami
Lśni łąk dywan srebrnolity;
Drżąca trzcina
Czoła zgina,
Brylantowe trzęsąc kity.

Z pod tającej
Pleśni lśniącej
Liście klonów, brzóz, osiny
To migocą,
To się złocą,
To rumienią jak rubiny.

Ze strzelistych
Pozłocistych,
Młodocianych świerków berł
Szemrząc, spada
W dół kaskada
Przezroczystych, bujnych perł,

Po malinach,
Po leszczynach,
Jesiennej przędzy pajęczej

Wiotkie szmaty
Drżą jak kwiaty,
Strojne w wszystkie skarby tęczy...

Z wyżyn blada
Mgła opada,
I nakształt spienionych fal,
Jak szeroko
Sięgnie oko
W złudną się rozlewa dal.

Z nad jej łoża,
Niby z morza
Czaro-wyspy wyłonione,
Lasy, wzgórza —
Kraj wynurza
Swoje czoła zapłonione.

Z bielejących
Siół milczących
Sto wstęg w niebo dymy wiją;
Z wieżyc szczytów
Do błękitów
Złote ognia słupy biją.

Po nad niemi
Olbrzym ziemi,
Piramida Babiej góry,
Pysznie płonie
W chmur koronie,
W płaszczu z srebra i purpury...

W spromienieniu,
W przemienieniu
Czarodziejskiem tem twej krasy,

Z góry twemi
Żegnaj-że mi,
Cudny kraju! z twemi lasy.

Zakowany
W martwe ściany
Miejskiej mojej klatki ciasnej,
Tak jak teraz,
Śnić cię nieraz
Będę w tej przemianie jasnej.

Lecz koń czeka —
Rży — daleka
Przypomina, że nam droga...
Czarolico
Okolico!
Pozostań mi w łasce Boga!

Roman Zmorski.

ŚNIEG NA ZIEMI.

Śnieg na ziemi i drzewa szron gwiaździsty bieli, —
A przez białe gałązki niebo łzą błękitną
Spada na dół, melodyę budząc nieuchwytną
W potrąconych drzew strunach i w śniegów topieli.

Słońce blaski po zmarzłych, skrzących niwach ścieli,
I tęczami dyamentu sople lodu kwitną —
A gdy blady wiatr wzruszy drzew koroną szczytną,
Perły lecą z drzew cichych, jakby płacz anieli...

Pośród olch rozłzawionych w złotej słońca ciszy
Usiedliśmy przy sobie ze wspomnieniem wiosny
Pełnej wonnych, majowych, czarownych haszyszy,

Szumu dęba, brzóz szeptów i pacierzy sosny:
Zima dzisiaj, lecz serce hymn ten jeszcze słyszy, —
Pocałunek nas poi — jak niegdyś — miłosny...

Jerzy Żuławski.

ECHA ZIMOWE.

I.

Motyli białych — kwiatów białych,
Padły na ziemię gęste roje:
W dziecinnych pląsach rozszalałych,
Złożyły senne płatki swoje.

Spuściło niebo swe muśliny,
I otuliło świat ich bielą...
Nadeszły białych snów godziny,
Pod śnieżną, ciepłą ich pościelą.

Z niebieskich wyżyn pozaświatów,
Dziewica zeszła niewidzialna:
W wieńcu srebrzystych białych kwiatów,
Spokoju wróżka tryumfalna.

I rzekła: Stańcie — płynnym zdrojom.
Spocznijcie! — rzekła kwiatom leśnym,
Uśnijcie! — rzekła pszczelnym rojom —
I polom niemym i bezkreśnym.

I szkłem osnuła wód kryształy,
Osnuła ziemię futrem puchów;
Śpi duch przyrody w bieli cały,
Lecz niema snu dla ludzkich duchów.

II.

Niby potoki łez zmarzniętych
Po niebie lila jasno-bladem,
Na srebrnych żaglach rozwiniętych,
Maleńkie chmurki płyną stadem.

Lodowym blaskiem gwiazd promienie
Skrzą się nad pola śnieżno-białe,
I rozlewają w krąg milczenie
Melancholijne, oniemiałe.

I jakiś pokój dziwnie błogi
Ogarnął śnieżne mgły srebrzyste;
Na senne chaty, pola, drogi
Milczenie padło uroczyste.

I zamilkł wiatr, ucichły szumy
Korony topól szkieletowej;
Marzenia pełne i zadumy,
W błękity patrzą nieme sowy.

I tylko zdala niespokojne
Słychać huczenie śmig wiatraka;
I duch ze sobą toczy wojnę
I w nim, śród ciszy, wrzawa taka!

Antoni Lange.

BAŚŃ ZIMOWA.

Cieszmy się! Błoń zakwitła pierwszym śniegu puchem.
Rozdzwoń swe serce śmiechem, w białe dłonie klaśnij!
Wybiegniem na mróz nadzy i z ostrym podmuchem
Damy włosom swym użyć wietrznej, psotnej waśni.

W biały ogień wyiskrzy nam mróz krew czerwoną!
Wicher hula! Z łoskotem lód pęka na rzece!
Po błoniach, kędy stopy w pianach śniegu toną,
Polecę, na pierś wziąwszy cię swą, hej, polecę!

Tam bór stary, gdzie zima serce swe ukryła,
Srebrny kwiat szronolistny, w szkle lodu zamknięty...
Gdzieś dawno bajka moja łzy tęsknot zeń piła
Przetom czasem jak święty... czasem jak przeklęty...

Ostre biczyska mrozu dzielnie tną nam twarze —
W powietrzu odmłodzonem, suchem i wesołem
Lećmy, igrając z mrozem, aż nam się ukaże
Bór, gdzie nikt nie był dotąd a my będziem społem.

Lekkim i skocznym tanem ścigajmy wichr w biegu,
Mróz rozpętał swe szczęście, oszalał z radości!
Ostrożnie, byle jeno nie pokalać śniegu,
Bo zima rozkochała się w swojej białości. —

Całe niebo wełnistych, puszystych obłoków
Padło na ciche pola. — Ja cię, jak wichr, niosę,
Za nami już sto stajań, przed nami sto kroków
I oto bór! — Skocz z piersi mej na stopy bose...

Wstrzymaj oddech... Bór wkoło ponury i ciemny,
Gałęzie obarczone śniegami śpią w głuszy...
Wnętrza gęstw mrok rozszerza trwożny i tajemny...
Wkoło tak uroczyście i cicho, jak w duszy...

A wśród boru śniegami zawiana polana
Weselom nocnych wichrów dając wolne pole,
Jak jakaś biała chwila życia zapomniana,
Marzy... tą samą bielą, co na twojem czole...

Rozpatrz się... Tam zaryta w sypkie zasp okopy
Chata chroma... Ta w śniegu wydeptana smuga
W nią wiedzie... nie wiesz, czyje ubiły ją stopy...
Mrok pada, okno ciepłem światłem na nas mruga...

Strzecha gnie się pod pierzyn ciężarem puchowym,
Co przypomnieniem ciepła wnętrze chaty grzeje...
Krawędź strzechy zjeżona szeregiem lodowym
Sopli... Zwierz-mróz się zimnym rzędem zębów śmieje...

Zmierzch pada... Błękitnieją fioletem zasp wały.
Ukryjmy się za pniami... Cicho... Za chwil kilka
Będą się tutaj dzisiaj dziwne dziwy działy...
Mrok otwiera swą duszę... Dech w piersi umilka...

A szyby okien śmieją się światła gawędą...
Drzewa się wnet obudzą i wnet się ożywią
(Gdy miesiąc błyśnie) cichą radością, że będą
Dziwić się temu, czemu co nocy się dziwią...

Na widnokręgu księżyc wyrwał się z ciemności,
Przedarł się przez chmur śnieżną siejbę i drzew ciszę,
Tknął polanę całunkiem swej srebrnej miłości
I światłem zagrał w sople, jak w szklane klawisze...

A drzewom krew zamarła, ocknęła się w żyłach
I radością ruszyły się w ziemi korzenie...
Powiew niepokój budzi w białych śniegu pyłach,
Padających jak kwiaty z niebiosów w omdlenie...

I srebrna zawierucha śniegu i księżyca
Zapukała w wesołe okna ciepłej chaty...
Drzwi się rozwarły, blade wyjrzały z nich lica
I wyszedł z izby starzec biały i brodaty...



Julian Fałat — O zachodzie

Miał biały płaszcz włochaty śnieżystym kożuchem,
Na który długa broda kładła srebro siwe;
Włos mlecznej, siwej głowy żył wiatru podmuchem...
I zatarł starzec ręce uciechą szczęśliwe...

Przesunął wzrok po soplach lśniących szklanym sznurem
Uciszył dłonią wiatru zabawy i swary,
A śnieg na skroń mu padał... padał... aż kapturem
Wysokim miękkim nakrył mu głowę i bary...

Starzec wziął dwie gałązki w dłonie... ważył chwilę
I zagrał w sople lodu, jak w szklane cymbały...
Płaty śniegu się porwą, jak białe motyle,
I zawiodą marzący lotny taniec biały...

A biały gędźbiarz zimy gra... Bór słucha czarny
I słuchając, polanę obstąpiły kołem
Zwabione wilki, dziki, niedźwiedzie i sarny
Oszołomione cudu śnieżnego żywiołem...

A biały gędźbiarz zimy gra... W lodowe sople
Dzwoni, aż w sen rozpieścił okrąg leśnej głuszy...
Padają kwiaty śniegu i jak szklane krople
Spadają dźwięki w biały zachwyt naszej duszy...

Leopold Staff.

NA ŚNIEGU.

Pole. Jak okiem sięgnąć śnieg. W oddali
Czernieją smutno sosny karłowate,
Nad niemi jeszcze rumieńcem się pali
Niebo, błyszczące od gwiazd, lodowate.

Z za chmury księżyc wyjrzał i kryształi
I dierzga skrami pola białą szatę —
Cisza. Jak okiem sięgnąć — śnieg. W oddali
Czernieją smutno sosny karłowate...

Zgasły ostatnie posłoneczne zorze,
Białe, bezbrzeżne, nieruchome morze
Śpi jak sfinks w srebrnych płomieniach miesiąca...

Gdzieś zapłakały głodnych wilków stada,
Ze śniegu, zda się, śmierć powstaje blada
I cicha, płynie w dal na pogrzeb słońca.

Włodzimierz Perzyński.

NOC ZIMOWA.

Skrzeń tajemnica,
Rozzłoceń mus!
We mgle księżyca
Jarzy się mróz!

Okruchy śniegu
Siecią swych fal
Zasnuły w biegu
Bezbronną dal.

Gmatwając loty,
Tamując dech, —
Obsiadły płoty,
Jak siwy mech.

Do szyb się garną,
Jak białe ćmy,

Tchnąc w izbą parną:
»To — my! To — my!«

Z karczmy, w zakrzepły
Rozwartej świat,
Dym bucha ciepły,
I blask i czad!

Zaprzepaszczony
W ciemni bez dróg —
Drzewom przez szrony
Złoci się — Bóg.

Sad wśród topieli
Śniegowych głusz
W śmierci się bieli
Bez róż — bez zórz!

W swej pysze pawiej
Łez tłumiąc znój,
Wśród śnieżnych zawiej
Sen kroczy mój...

Bolesław Leśmian.

W GÓRACH

TATRY.

POZDROWIENIE.

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! nad wzgórza, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz
I ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

TATRY.

Ziemia, księżyca światłem osrebrzona,
Leżała nago pod niebios błękitem,
Jakby miłosnym ogniem rozpalona,
I nie taiła wdzięków swego łona.
A święte Tatry, jako nocy gmachy,
Nieporuszone czerniały w błękitach,
I srebrne wody, jako srebrne blachy,
Snuły się w krętych, świecących korytach.
. . . .
Co to za góra, co stoi osobno?
To garb... Widzę, jak się zgina;
Całych on wieków ciężar dźwigać musi,
Każdy rok nowym lodem go przydusi.
Czasem się wstrząśnie, aż runie lawina,
Czasem spotnieje, biedak spracowany,
A wtedy staną tak gęste tumany,
Że orzeł w miejscu, jak leciał, tak stoi,
Że kozioł kroku posunąć się boi,
Ale zuchwalec człowieczego rodu
Ginie z długiego i zimna i głodu.
— A tenże, dalszy i równy pierwszemu,
Co to jak schody prowadzą ku niemu?
— To... a to jego palce.
W wiecznej z chmurami zostaje on walce;
Niech tylko która przybliży tam łono,
Olbrzymie palce natychmiast w niej toną
I bez litości szarpią je i porą,
Aż krew dżdżu wyżmą, by członki olbrzymie
Góry nasycić, a zmarła na poły,
Omdlała chmura opada w rozdoły,
Lub jak martwica, rozlewa się w dymie.
. . . .

A tej nazwisko — patrz ku zachodowi —
Co tak rozparta i na wierzchu chmury?
Przeklęta Baba, nad wszystkie złośnica,
Matka niepogód!
Chciałaby rządzić okolicą całą,
Choć jedna z mniejszych. Biada tej krainie
Skoro się w czepek z obłoku owinie!
Będzie płacz złości, co grozi nawałą.
. . . .
Tam na południe, tam, gdzie księżyc blady
Te srebrne blaski rozpostarł tak cudnie
Po nagich turniach — masz Giewontu ścianę.
Z obu stron, spodem, biegą na południe
Piękne doliny mało komu znane.
Tam, w cieniu borów, pośród opok żłobu
Płyną Dunajec i Czarny i Biały,
Czarny tam z dalszej. Masz tu łoże obu;
Droga w doliny ponad obydwoma,
Nad Czarnym lepsza i lepiej wiadoma.
Druga, bliższa — gorsza,
Lecz, kto się skrada, dla tego jedyna.
Jest tu już węższa, już szersza dolina,
Przez Dunajcowe przerznięta koryto.
Mieszkań, szałasów, ciągle, jak nabito,
A z lewej, z prawej, jak cieśnina duża,
Zarosłe bory i ogromne wzgórza.

Seweryn Goszczyński.

MARZENIA W TATRACH.
(UŁAMKI).

Witaj, śnieżna rodzino mętnego chaosu,
Albo z ziemi wykuta potopu taranem;

A gdy Azya wezbrała ludów oceanem,
Gościno jej prawnuków odmiennego głosu!

Góry! co jako kłęby olbrzymie kolosu,
Ściskacie kawał lądu i przed huraganem
Zasłaniacie go łonem z granitu ulanem?
Góry!... lecz, by was witać, mamże dosyć głosu?
Z kruchych wierzb nadwiślańskich lutnię trzymam [w ręku,
W piersi obcego słońca nie żywi pochodnia,
Ojczysta moja lutnia i w ojczystym dźwięku
Skrycie u stóp Wawelu przygrywała co dnia;
Dziś pierwszy raz w głośniejszym odzywa się brzęku,
Tatry! przyjmijcie drżącą piosenkę przechodnia.

Wyjaśni się tęskne oko,
Gdy w nieskalanej natury prostotę,
W zapomnianego świata wieki złote,
Myśl promienie marzenia zapuści głęboko.
Rozkołysze się marzenie,
Ku jasnemu wzbije niebu,
Gdy wśród natury pogrzebu
Choć jeden kwiat powszechne minęło zniszczenie.
Ale kiedy natura w całej swej prostocie
Odmaluje się w oku żywa i wesoła,
Gdzie razem kwitną dęby i maleńkie zioła,
Wonne i pełne róże i puste paprocie;
Gdzie skałę, której czoło uwieńczyły bluszcze,
Zdobi dłuta natury rzeźba nieuczona,
A strumień, który dyszy z jej pełnego łona,
Nakazaną mu drogą ku niebu nie pluszcze,
Ale błękitną przepaską uprzejmie
Majowe błonie obejmie.

Ale kiedy wśród śniegów skośniałego roku
Zielonymi szczytami lasy się kołyszą,
I żywiąc mnogie sioła pod swych ramion ciszą,
Razem zimę i wiosnę przedstawiają oku,
A góra wpółzielona, wznosząc pierś olbrzymią,
Ogołocone z włosów czoło w chmurach myje,
Tak chciwie dusza rozkosz z tylu wdzięków pije,
Co własnemi ku niebu kadzidłami dymią
I jako niegdyś przy swojem stworzeniu
Stoją w zachwycenia drżeniu!...
O! próżno nagłem biciem serce sobie radzi,
Prądem uczuć porwane, siebie nie pamięta,
Zanim myśl w tym rozkoszy zamęcie poczęta,
Ulatującą duszę na ziemię sprowadzi...
Takiem jest tutaj przybycie,
Takie są Tatry! takie serca bicie!
O góry! o prostoty nieskażonej świadki!
Góry! niech was szczeremi uściskam ramiony,
Jako dziecko łono matki,
Jak tułacz gruzy chaty, w której urodzony!

Edmund Wasilewski.

DO TATR.

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe,
Zdawnaście znane, a wiecznieście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością...
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością.
Bo nie wziąć myślą, co oko zakreśli,
Ani wziąć okiem, co ogarną myśli...
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecieć.

Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą...
I gdyby nie lud, co dumne te czoła
I te przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami...
Gdyby nie powieść, co swymi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie —
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha tchnienie...
A wy strażnice, śniegami świecące,
Stoicie wiecznie, niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

Wincenty Pol.

PIOSENKA W KARPATACH.

Każda góra ma swą chwałę,
Swe podanie i swój szczyt.
Na nich leżą śniegi białe,
Jakby jakiś wieczny świt.

Orzeł wisi na szafirze,
Jak na tarczy rznięty znak.
Prąd potoku brnie po żwirze,
Jakby twardy życia szlak.

Głos odradza się cudownie,
Gada w echu dusza gór.
Stoją skały jak warownie,
Okłębione dymem chmur.

Sto źródełek z jam bulgocze,
Jakby kłótnia srebrnych larw.
Przez obłoczki pół-przezrocze,
Sto bajecznych świeci barw.

Gra w pozłocie zielonawej
Roztoczony wachlarz gór.
Błękitnieją na nim stawy,
Jakby oczy pawich piór.

Ogień pryska z piersi pstrąga,
Puchem fiołków pachnie głaz.
A kosodrzew się przeciąga,
Jak zaklęty w drzewo płaz.

Na koniku, okazale,
Pasterz jedzie z dolnych pól,
Tuż pod gwiazdy, na swe hale,
Jak w swem państwie jedzie król.

Idzie steczką Podhalanka,
Na jej licach róże dwie.
Rwie jagody, rwie do dzbanka,
Jak poeta myśli rwie.

Gemza śmiga przez otchłanie;
Za nią strzelec, iskra gór.
Owce zwisły na polanie,
Jakby biały pereł sznur.

O wieczorze trzoda wraca,
Postrachami ćmi się las.
Przy ognisku siedzi baca,
Żółte guzy wbija w pas.

Konwie stoją pod szałasem,
Niby w liliach mleko w nich.
Idzie zbójnik czarnym lasem,
Za nim wojsko duchów złych.

Jakby rumak rży lawina.
Orkan puścił cugle wód,
Skrzącą kosą bory ścina,
Jak śmierć, ludzki ścina ród.

Wichry pędzą skróś manowca,
Z gór na góry, w jeden skok.
Piorun zrywa zrąb lodowca,
Jak królewnę chwyta smok.

Zcichły gromy, lecz zwaliska
Zostawiły w gmachu skał.
Płyną chrzęszcząc rumowiska,
Z trumny wieków, chaos wstał.

Lśnią nabrzmiałe wodospady,
Jak pałace z tęcz i szkła.
Siadł na skale kobziarz blady,
Nad nim słońce, niżej mgła.

Szumi kobza, szumią drzewa,
Grajek słucha pieśni gór.
Każda góra swoją śpiewa.
Tysiąc szczytów — jeden chór.

Wzlatuj duszo! Przegoń wiatry!
Nad burzami pieśnią żyj!
Niech się święcą matki Tatry,
Na ich łonie sercu lżej.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

TATRY.

Hej, za mną w Tatry, w ziemię czarów,
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur.

Ponad przepaści nasza droga,
Odważnie, bracie mój!
Od ludzi dalej — bliżej Boga,
Ha, już jesteśmy — stój!

Patrz, jak w głębinach białą pianą
Potoków kipi war —
Potężną falą, rozhukaną,
W granitach żłobi jar.

I siłą w hale się przerzyna,
W juhasa Boży świat —
Gdzie w szmaragd stroi się dolina
I w różnobarwny kwiat.

Tu znów iglica za iglicą
W niebiosa patrzy się:
Patrz! tam urwiskiem błyskawicą
Kozica trwożnie mknie...

I z bystrej turni nad jeziora
Wieczysty zbiega chłód,
Gdzie się przegląda mnich-potwora
W zwierciadle czarnych wód.

Tam białą wstęgą nurt szeroki
Śle w przepaść głazów złom

I błyskawica drze obłoki,
Po gromie wali grom.

Zda się, że wstrząsa gór posadę
Grom zdwojon echem burz,
Zda się, że niesie nam zagładę,
Że koniec świata już.

Lecz burza coraz niżej schodzi
Piorunów słabnie trzask,
Wybiegłe szczyty z chmur powodzi
Oblewa złoty blask.

Gerlach, Łomnica i Lodowy
Nad białe morza chmur
Podnoszą swoje dumne głowy, —
Króle tatrzańskich gór.

Uczucie wzniosłe, niepojęte
W piersi nie mieści się,
I jakieś tchnienie wonne, święte,
W niebiosa serce rwie.

Oddalonemu od trosk ziemi
Zda się, niebieski próg...
Że stanął między wybranemi,
Że tutaj mieszka — Bóg!

Władysław Anczyc.

TATRY.

Wdali!... jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach matron granitowy!

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

Franciszek H. Nowicki.

CICHE, MISTYCZNE TATRY...

Ciche, mistyczne Tatry, owe wieczne głusze
Zimowych śnieżnych pustyń, owe zapadliska
Niedostępne wśród złomów, gdzie jeden się wciska
Mrok i gdzie wicher końcem swych skrzydeł uderza
Z głuchym jękiem, jak końskie na polu kopyto,
Uderzające w zbroję martwego rycerza:
Ty, pustko, w siebie wołasz błędną ludzką duszę...

Ty, pustko nieskalana, kędy myśl człowieka
W dumną, zimną samotność wolno się odwleka,
Jak lew ranny w pieczarę zapadłą i skrytą;
Ty, pustko nieskalana, gdzie się dusza rzuca
Zmęczona i ponura, by z krwi chłodzić płuca,
Oczy myć z kurzu, ręce ogartywać z błota...

O Tatry! Jakże drogą jest wasza martwota!
Ten chram, kędy ofiarę niezmiernemu Bogu

Odprawia wiatr u skały lodowej ołtarza,
A tej mszy słucha turni zwieszonych milczący
Tłum i białego lasu przepastna ciemnota
I kędyś uczepiony na szczytowym rogu
Blask wschodzącego słońca, co lody rozżarza,
Nakształt lampy ofiarnej, u stropu wiszącej...

A kiedy się gwiazdami zaświecą przestrzenie
Wiekuistego nieba i nieprzeniknione
Zejdzie na ziemię nocy zimowej milczenie:
Wówczas mi się wydaje, że już lat tysiące
Ubiegły, że już życie dawno pogrzebione
I że jest to dusz ludzkich, dawno niepamiętnych,
Dusz do szału zuchwałych, do szaleństwa smętnych
Uroczysko grobowe, senne i milczące...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Jakieś się nabożeństwo w górach uroczyste
Gotuje, szmery biegną ciche po przez wrzosy
Jodła z mgły nocnej czesze rozplecione kosy
I wyłania wierzchołek nad opary mgliste.

Noc pierzcha, świtu błyski pełzają faliste
Po szczytach, uciszając nocnych świerszczów głosy,
Mchy i trawy się myją w szklanych kroplach rosy,
By do chramu przyrody wejść świątecznie czyste.

Cud się zbliża: zwiastują go promienne gońce,
Giewont zarzucił śnieżny welon na ramiona
I złocistą monstrancyę ujął w jego końce,

I zwraca się do ludu, tuląc ją do łona;
Z monstrancyi błyska hostya ognista czerwona:
Słowo stało się ciałem, ave, ave — słońce!

Józef Kościelski.

W PORANEK.

Z Jarmuty mgła spada, jak rąbek z dziewczyny,
Po niebie obłoczek przewija się siny,
Za chwilę wschodzące
Spromieni go słońce
I tronem on będzie jutrzence...

Wcześniejszy od świtu, ciemniejszy niż zmierzchy
Wszedł góral w swej guni, z siekierką na wierzchy;
Nim dzionek rozbłyśnie,
On zagrzmi, zaświśnie,
I echa rozbudzi w piosence.

O cicho... o cicho! schylony na skale
Utopił źrenice w powietrza krysztale
I liczy jak skarby,
Omszone te garby,
Rodzinnych gór swoich przyczoła...

— Prechyba... Petrańczyk i Wilcze zielone...
Tu moja sadyba i gniazdo rodzone...
Jam z wiatrem tam latał
I z orłem się bratał,
Znam wszystkie smereki dokoła...

Tu Kunia, Opołta, a tam Koszarisko...
Ej! dalneż to wierchy, choć widzą się blisko!...

Pieniężna, Czerteże,
Gdzie skarbów złe strzeże,
Gdzie rogi nie jęczą pastusze...

Ej, byłoż mi świata po skalne te ściany,
Dopókim nie poznał wietrznicy Marany,
Co miga mi w oczach,
Po łanach, po zboczach,
A śmiechem zabiera mi duszę!...

Wróżyła cyganka: »Złe dnie z Sokolicy!
Ej! nie chodź pod okno Marany wietrznicy,
Bo serce wyśpiewasz,
I Boga zagniewasz,
I pójdzie twa dola na marne!«

Nie chodzić? A także! Od świtu się włóczę,
Gdzie dziewczę zaplata warkocze swe krucze...
Och!? wróżby... wróżbity...
Jam wesół i syty,
Gdy w oczy popatrzę się czarne!

Nie będzie mnie chciała? Ej, znam ja wąwozy,
Gdzie strzelcom z pod kulki z wichrami mkną kozy...
Ot Rogacz... Homole...
Wybieram, co wolę...
Przepaści, jak śmierć, tam głębokie!

Ej, słońce ty, słońce, pospieszaj ze wschodem,
Bo trudnoż mi z sercem stęsknionem i młodem...
Och! ani pamięta,
Że ziemia ta święta,
A nad nią jest niebo wysokie!

Marya Konopnicka.

RANEK W GÓRACH.

(FRAGMENT).

Cisza. W przezrocze białych mgieł opony
Owite szczyty; w mrokach pogrążony
Posępny, cichy jar.

W głębi gdzieś potok po kamieniach pluszcze,
I na gór skałach sine drzemią puszcze
W zawojach mgieł i par.

Na liściach wiszą senne krople rosy,
Śpią zioła, marzą woniejące wrzosy,
Czekają złotych zórz.

Cicho. Tak cicho, że okrzyk wydany
Rozgrzmiałby — zda się — nad góry, nad łany,
Het... aż do granic mórz.

I zwolna wschód się rozrumienił w dali,
Padł skier snop... drugi... patrz i już się pali
Purpurą każdy szczyt.

W łzach rosy blaski zagrały tęczowe,
Ptak się na gnieździe ocknął, podniósł głowę:
To świt! to świt! to świt!

Tysiąc promieni na lazurów toni
Walczy, tęczuje, mieni się i goni,
Złocisty znacząc szlak.

Co chwila z dołu przez mroki mdlejące
Mignie punkt czarny... To wschodzące słońce
Powitać leci ptak.

Pożar wciąż większy — pół niebios sklepienia
Ognista łuna teraz rozpłomienia,
Blask rzuca w jarów cieśń.

Spadły perłowe mgieł zwoje — rubiny
Błysły na liściach — zaszumiał las siny
W radosną świtu pieśń.

I wstało słońce w wielkim majestacie,
W królewskiej, świetnej, złotolitej szacie,
Wygnało mrok i cień.

Już widno, jasno... Wszędzie ruch i życie,
Las szumi, orzeł waży się w błękicie...
To dzień! to dzień! to dzień!

Miriam (Zenon Przesmycki).

RANEK W GÓRACH.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różono w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada...
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada;

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży!

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie;
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przezroczystem.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny;
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza;

Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy;
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy;

Już pokraśniał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny — a z szałasu
Dolatują śpiewne echa...

Przez zielone łąk kobierce,
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta;
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta —

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

Adam Asnyk.

ZACHÓD.

Ach, jak płoną, ach, jak płoną
        Granatowe szczyty gór!
Pociemniało dolin łono,
Słońce głowę rozpaloną
        Poza wirchów składa mur.

Cisza wkoło, cisza wkoło,
        Milkną dzwonki górskich stad.
Zwolna w mroku kryje czoło
Stary Garłuch z głową gołą
        I Lodowy pełen zdrad.

Krwawe blaski na zachodzie
        Niewidzialna gasi dłoń.
A gwiazd złotych błędne łodzie
Wypływają na powodzie,
        Na szafirów ciemną toń.

Znikło słońce. Nad Tatrami
        Rozpostarła skrzydła noc.
Cisza wkoło ponad nami,
A do serc, nie wiedząc sami,
        Jakąś nową czerpiem moc!

Władysław Bukowiński.

O ZMROKU.

O cichym zmroku, u wejścia w dolinę
Leżę i patrzę na błękitno-sine,

Czyste i senne, w bezmiar rozesłane
Przestrzenie niebios... Gdzieś na skalną ścianę
Padł spływający zwolna sinem niebem
Blask i skalistym w dół sączył się żlebem,
A kędyś w pustce powietrznej, daleko,
Beskidem taśmy słoneczne się wleką
Blado-różane, przez łąki i lasy,
I liliowo-modre wiszą pasy,
Owstężające błękitne zamrocza.
Był wiatr... Las czarny, co porósł gór zbocza,
Nad głową moją szumiał, a gdzieś nizko
Szumiała woda — — całe uroczysko
Przejął czar dziwny... Ciche mgły wieczoru
Schodziły z nieba głucho i powoli
I ogarniały całą głąb przestworu
I Beskid w bladej światła aureoli.
Dziwna, cudowna tajemniczość nocy
Już twarz swą, zda się, chyliła ku ziemi,
Ponad smrekami sennie szumiącemi
I blaskiem, który płynął ku północy.
I coraz ciszej było, tajemniczej
Pośród tej skalnej ciemniejącej dziczy,
A dusza moja w bezsłownej zadumie,
Cała się w leśnym pogrążyła szumie
I w mglisty wąwóz płynęła pod skały
I przez przełęcze, przez mroczne doliny,
Szła na dalekie w księżycu równiny
I dalej, w bezkres... A mroki gęstniały
I coraz ciszej, coraz było ciemniej,
Coraz uroczej i coraz tajemniej...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

CISZA WIECZORNA.

I.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnnicy w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

II.

Płonie kamienna Tatr korona,
A cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigającą wieki... wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

III.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze, zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok ogarnia skalne ławy,
A od nich płynie do stóp ciszy
Li jednostajny szmer siklawy.

Czasem zaklęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przelękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

IV.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szkliwy, jak przędze te pajęcze;
Blask żenie srebrny na gęstwiny.

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wirchy, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

V.

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rozpostarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławe smugi,
Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa,
Aż w tym bezkresie wyczerpania,

Tuląc się gdzieś do limby drzewa,
Samą wraz z bolem twym omdlewa...

Jan Kasprowicz.

WIECZÓR MAJOWY.

Za ciche wzgórza słońce się zanurza
Jaskrawe w mrocznej głębinie;
Z ciemniejącej ściany skał, powiew różany
Odblasku spływa i ginie.

W toni przezroczej srebrnomodre oczy
Otwiera wieczór majowy
I w mgieł aureoli opada powoli
Na lasy, łany, dąbrowy.

Wyciąga ręce i ściera rumieńce
Ostatnie z niebios rubieży,
A gdy w mroku zbledną, senną gwiazdę jedną,
Jak lampę zapala w wieży.

Z za gór uboczy srebrny księżyc toczy
W otęczy światła przymglonej
I światła mgławicą chmury się wskroś sycą
I mgieł powiewne opony.

W górskiej dolinie, pomroczą owinie
Bór stary, odwiecznogłosy;

Na liściu paproci światełko rozzłoci
Pod księżyc upadłej rosy.

Spływa ku łąkom i szepcącym dzwonkom
Stula listeczki wilgotne;
Na zboczu urwistem, wichrowym poświstem
Kołysze jodły samotne.

Błędne ogniki rzuca na trawniki
I na posępne bagniska
I z ponad miesiąca błędne gwiazdy strąca
I kędyś w otchłań ciska.

Głowę swą kłoni na skrzydła tych woni,
Co z kwiatów cicho się wznoszą,
I z wonnym powiewem zawisa nad krzewem
Słowików słuchać z rozkoszą.

W ponure groty rzuca promień złoty
Księżyca przez gąszcz i liście,
I pieśni słowicze w głusze tajemnicze
Wsącza i brzmi w nich srebrzyście.

Gdy w ciemnej fali niebiosów zapali
Gwiazd niezliczone kagańce,
Co świecą, jak łodzie na niezmiernej wodzie,
Na świata płynące krańce:

Wówczas na sady, chaty i lewady,
Na wody, kwiaty i drzewa,
W mgławic aureoli opada powoli
I zwolna z nocą się zlewa.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

NOC POD WYSOKĄ.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom
Wciśnięta między dwa ramiona góry
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które zdaleka sterczały jak mury
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. — W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit...
Zresztą ni trawki, ni krzewu — jedynie
Woda i głazy i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem...
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,

Co, z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem — jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem — jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu...
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach, nieraz wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole...
Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady...
Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną, —
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Genjusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma,
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nademną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata, —
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie

I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem, bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,
Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu,
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przeźroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste —
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad któremi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza! a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy, —
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,

I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.
Czasami skała u szczytu wisząca
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem —
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści...

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepcą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile,
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży...
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem,
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:

Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Adam Asnyk.

NOC NA SOKOLICY.

Stoję na szczycie, błękitem oblany.
Pode mną pluszczą Dunajca kaskady,
Nade mną niebios strop uhaftowany
W świetne brylantów i pereł miryady.
Gdy spojrzę na dół po kamiennej ścianie,
Co, jak rzut oka, prosto w przepaść strzela
I tam w Dunajca tonie srebrnej pianie, —
Tam drugie niebo wzrok mój rozwesela,
Drugi kobierzec, usiany wzorzysto
W drżących światełek krocie, miliony.

Cisza. Powietrze tchnie wonią przeczystą.
Wysmukłych świerków cicho śpią korony.
I listek nie drgnie, jakby się obawiał
Zmącić tej ciszy harmonię przecudną.
Żeby choć jaki wiatr przelotny zawiał —
Cicho i pusto. A jednak tak ludno:
Ponad falami w mgieł lekkiej obsłonie
Wiją się jakieś fantastyczne mary;
Cicho tym pląsom przygrywają tonie
I głuchym szmerem wtóruje bór stary.

Wtem pękły srebrnych mgieł powiewne skręty,
Zabrzmiał wrzask dziki, buchnął blask czerwony —
Ha! to Tatarzy — najezdnik zacięty
Podpalił klasztor — trwogę biją dzwony —
Już dzika tłuszcza ciągnie w żądzy wściekłej
Czyste dziewice... Tu mgliste opony
Spadły — i cisza, tylko w głuche tony
Szemrze Dunajec... Znowu mgły uciekły
W obydwie strony... Biedny chłopek bosy
Rzuca na rolę ziarno — i wnet kłosy
Wstają i trzęsą złotemi głowami —
A tam, wysoko, gdzieś pod niebiosami,
Gdzie dotąd ludzka nie postała noga,
Biała się mniszka tuli do opoki...

Wiatr powiał świeży — i ciszy głębokiej
Zamącił spokój... Mgły pierzchły... Z za roga
Nagiego cypla wyjrzała miesiąca
Olbrzymia tarcza — i kąpie się drżąca
W falach Dunajca. Na dalekim szczycie
Rozpłonął ognik czerwony w błękicie
Niebios — i słychać ligawkę pastuszą.
Słodkie uczucie zawładnęło duszą.

O nocy górska! tyś jest ofiarnicą!
Na szczytach opok, pod stropem lazurów
Składasz swe modły! Krocie gwiazd ci świecą —
Ty w płaszczu ze mgieł — plusk fal zamiast chórów,
Wonie łąk, borów miast dymu kadzideł!
Duch mój, przyrodo, zrywa się do ciebie,
Lecz ty go wspomóż, ty użycz mu skrzydeł!
Hozanna tobie na ziemi, na niebie!

Miriam (Zenon Przesmycki).

NOC W GÓRACH.

NA HALI KRÓLOWEJ
W DRODZE DO CZARNEGO STAWU.

Jak cicho, jak świetlano! W powietrzu przezroczem
Jaśnieje puch srebrzysty chmury nieruchomej,
Nad dolin mglistym łanem, nad parowów mroczem
Ciemną piętrzą się ścianą senne gór ogromy.

I cały przestwór marzy — blaskiem się nasyca,
Oparów zwiewne morze przejrzyścieje dołem:
Nad górami rozbłyska złota tarcz księżyca,
Olśniewającem zwolna wtaczając się kołem.

Na turni stok, czarnymi żleby poszarpany,
Miesięczne blaski płyną, smugami się ścielą,
I jak kry głaźne, lodu wykrzesane ściany,
Majaczą nagie ściany upiorową bielą.

Ten spokój — — słuch wytężasz: dzwoni wielka, cicha,
Bezmiernie uroczysta harmonia wokoło.
Słyszysz, jak matka ziemia uśpiona oddycha,
Mgły zawojem oplótłszy gór wyniosłe czoło.

I kroczysz w dal, co leży olśniona, łyskliwa,
I jakiś błogi urok, jakiś czar polotny
Przepełnia zwolna serce — i duch się wyrywa,
Idzie w bezmiar upojeń cichy i samotny...

Noc czarów. I zaklęte rozwarły się wrota
Świetlanej snów krainy, tęsknot i zachwytu —
I coraz jaśniej wkoło, łuna blado-złota
Kładzie się na gór szczyty i na strop błękitu —

Błądź, rzuć w przestwór marzenia złocone krużganki,
Snów czarownych kobierzec niech ci drogę mości,
Aż zjawi ci się postać uśpionej kochanki,
Cała w bieli i pełna ciszy i jasności.

Promienna idzie — czarę podaje ci srebrną,
Milczy, ale ma jasne i spokojne lice...
Idziesz za nią w dal wielką, olśnioną, podniebną,
W gmachy złote, błękitne, w gwiaździstą świetlicę...

Ludwik Szczepański.

TATRY W NOCY.

I.

Cóż to za wizye grodów, spiętrzonych w otchłań siną?
Cóż to za widma wież, wtopionych w mroczne zielenie?
Olbrzymie białe duchy, mgłą oszronione cienie —
Czyliż tak widny sen? Gdy dotknę oczu: zginą...

Na morzu wiotkich śreżog, zda się wyraźnie, płyną
Ku jakimś Portom zmarłym, dalekim nieskończenie,
Gdzie na okręcie pustym ciemne wpływa Milczenie
I jest jedyną tam o ziemi naszej słyną...

Dusza w otchłań wieczności za widmem białem bieży —
By dojrzeć cel — śni go już — zdaje się jej: przeczuwa —
I oto kryje go jawa, która ku niebu się śnieży...

Dusza, dręczona, nie wie: na jawie-li, czy we śnie?...
I z legend, w głaz zastygłych, nowe legendy wysnuwa,
Z baśni o zmarłym świecie nowe rozwija baśnie.

II.

U stropu gwiazd, pod niebem, na śnieżnej miękkiej hali
Dwie postaci leżące w uścisku beznamiętnym,
Dwoje z olbrzymów rodu, w jakiemś zatrwaniu smę-
[tnem —
Jak gdyby czarem dziwnym w wieczności objęci — spali.

On, rycernej postaci, w zbroi ze srebrnej stali —
Ona, w muślinu szacie, ząbkiem owita mlecznym —
Olbrzymi, cisi, święci, w tem zakochaniu wiecznem,
Zastygli w cud, na drodze do świętych wrót Walhali.

Widomy księżyc wzniósł się nad śnieżne ich wezgłowie,
Oświecił twarz dziewicy, bladą, na wieczność wierną,
I olśnił śpiącą obok niej postać rycerną...

O cudzie! Zbudzenie ich w jednem zamknięte słowie...
To słowo! — królewska para ta do życia wskrześnie...
Szeptane — gdzie — nie baczę: na jawie-li, czy we śnie?

Władysław Orkan.

NA KOZIEŃCU W NOCY.

Ośnieżonych Tatr rzeźba kamienna spiętrzona,
Zamglonych lekko wirchów lodowate runy,
Niby skłębiony szereg owiec białoruny,
Sterczą białych wzgórz czyste, nieskalane łona...

W pierś kamienną Tatr biją od wieków pioruny,
Rycerz Giewont od wieków, rażony w pierś kona...
Białą twarz mu przysłania mgieł nocnych opona,
Jak z białego muślinu przejrzyste całuny...

Martwe, szkliste i blade światło księżycowe
Osrebrzyło Tatr widma lunatyczną bielą...
Rycerz Giewont przechylił bezwładnie w tył głowę...

Księżycowe promienie po turniach się ścielą...
Na wyżynach śpi Giewont w osłupieniu nagiem,
Jakby był gwiazd monarchy srebrnym sarkofagiem...

Wacław Wolski.

NOC.

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął — i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego majestatu. Smereki zielone
Zaplotły jej na skroni szmaragdów koronę,
A kształty jej przepysznie rzeźbionego ciała,
Niby grecka draperya, mgła lekka owiała.
U spodu szaty, jako taśma złotem szyta,
Mienią się górskie pólka jęczmienia i żyta;
A przepaska Dunajca, modra, falująca,
Z pod piersi, szumiąc, spada i o stopy trąca.
Nagie ramię kamienne, wyciągnione w górę,
Podtrzymuje zachodu królewską purpurę
I, jako karyatyda, strop niebieski dźwiga,
Aż blednie i w pomrokach liljowych zastyga.

Cicho! Oto jej księżyc srebrne bajki plecie
I majaczy tam dziwy niebywałe w świecie...
Rozbudza duchy białe, co w szczelinach drzemią
I rade o północy hasają nad ziemią...
Zroszonym mchom rozplata brylantowe włosy
I jako dziwożona, łechce senne wrzosy...

Halny wiatr powiał chłodem... dzwonek się odzywa...
Zbłąkana za koszarem tęskni owca siwa...
Juhas huknął, po turniach odhuknęły jary...
Gdzieś czujny róg się ozwał, gdzieś drugi do pary,
Odkrzyknęły się wierchy, coraz słabiej — ciszej,
Aż ostatni ich odgłos przepaść chyba słyszy...
Zboczem drgnęła kozica w miesięcznej poświacie...
Pomknęła na szczerbinę, stanęła na czacie,
I cicha, lekka, szyję podała w przestworze...
Hej, strzelcze! Hybaj z regli! Zaskoczysz ją może...

Cisza... wioski rusińskie drzemią na siwarze...
Rozbiegane świstaki wabią się po parze.
Watra gdzieś resztę żaru w oddali przebłyska,
A biały dech z parowu wznosi się w kłębiska...
Dunajec szumny przez sen pluszcze się i gada;
Nad nim stoi w zadumie Sokolica blada...
I dziwnie się do jedna schodzą w nocną ciszę,
Tęsknota, co rozbudza, — spokój, co kołysze...
Kamiennym snem zasnęły Tatry, a nad głową
Zoraną w dziwne brózdy strzałą piorunową,
Na skrzydłach górskich orłów ciche sny się ważą
I stare pieśni nucą, stare dzieje gwarzą.

— Słuchaj! To szumi morze spienione i sine...
Przechyl się, jeśliś mężny i spojrzyj w głębinę!
Czy widzisz? Tam w muszelek drobniutkich koronie
Najwyższy czub tatrzański w mętnych nurtach tonie...
Wokół skalne przyczoła obsiadły drużyną,
I patrzą w błękit nieba po przez falę siną,
A zamkniętych w więzieniu twardem, kryształowem,
Rzeki chyba pozdrowią powitania słowem,
I przyniosą im wieści z dalekiego kraju,
I słodkiej wody dadzą, niby korowaju...

Smutno Tatrom wiek płynie! Ciężka jeńców dola!
Choćby ci się wdzięczyły pereł ząbki białe,
Choćby ci koral róże dawał skamieniałe,
Ty zawsze tęsknisz, wzdychasz i szepczesz: »niewola!«
Och, bracie...

— Stój! czy słyszysz huk burzy złowrogi?
Huragany, jak tury, wzięły się za rogi;
Fale wrą niby lawy arterye płomienne...
Zatrzęsły się przepaści, grom leci po gromie:
Ruszyły się z swych posad wód zręby widomie;
Powięź ziemi zapada w otchłanie bezdenne...
Pożar błyskawic gore... morze pianę ciska,
Cofa się jak odyniec ze swego łożyska,
Pęka na grzbiecie Tatrów łańcuch kryształowy,
Drżąc, pryskają im z ramion przejrzyste okowy...
Ostatnich gromów echem rozbrzmiewają brzegi,
Ostatnie bryzgi morskie lecą, jako śniegi
I do kamiennych skroni przymarzają białe...
A jako z pękniętego pierścienia złuskany,
Podniósł się Krywań siwy i otrząsnął z piany
I twardą piersią odbił pierwszą słońca strzałę...
. . . .

Hejnał! Spłonęły Tatry od posad do szczytu...
Śpią niżnie: gór przyczoła pierwsze dojrzą świtu
I w blaski spromienione, nim zmierzch pierzchnie siny,
Łuną dnia wstającego rozbudzą doliny.
. . . .

Marya Konopnicka.

MELODYA WIECZORU KSIĘŻYCOWEGO.

Przyprószone okiścią srebrną białe smreki,
Oszroniałe, ogromne widmowe gotyki,
Połyskują, jak nagle zamarzły sen dziki,
Zasłuchane w srebrzysty brzęk dzwonków daleki...

Płyną srebrne akordy lodowej muzyki,
Srebrne śmiechy rusałek, dzwoniące z fal rzeki...
W marmurowym bezruchu odziane w szron smreki
Błyszczą tęczą brylantów — zamarzły sen dziki...

W lodowatem powietrzu ogromny glob złoty
Martwo, szklisto skrzy w ciemnobłękitnej otchłani...
A śród zmarzłych promieni śmiertelnej pieszczoty

Błyszczą srebrem szronowem smrekowi tytani
(Ich gotyckie wierzchołki, jak złote lśnią groty),
W oddalony, srebrzysty brzęk dzwonków wsłuchani...

Wacław Wolski.

SŁODYCZ NOCY.

Noc. Przez rząd smreków zadumaniem chmurny,
Drżą w miękkiem niebie srebrne rzęsy gwiazd,
Wstrzymanych, zda się, w rozpędzie swych jazd,
Wsłuchanych w smukłych wierzchołków szept górny.

Dogodny księżyc ukojenia zwiast
Gra na chat ścianach srebrzyste nokturny,
Jak ciepłe serca wśród glinianej urny,
U strzech jaskółki śpią w lepiankach gniazd.

Pokój na ziemi. Białe polne drogi
Marzą, że szczęściu ścielą się pod nogi.
Sen ich pobożnie czczą pokłony zbóż.

Dusza ma klęka pokornie. Noc blada
Nawiedza wiejskie ogródki i składa
Komunię rosy w usta sennych róż.

Leopold Staff.

JESIENNA CISZA.

Jesienna cisza... Jak gdyby zmęczone,
Tatry się w śniegu owiały zasłonę,
Wiatr na milczących szczytach kładzie głowę,
Słońce półsenne w mgły fioletowe
Kryje się zwolna; na całej przestrzeni
Zawisa jakaś smutna gędźba cieni.

Szerokie, ciche, chwiejne, powietrzane
Leżą nad całą kotliną rozwiane
Skrzydła jesiennej ciszy, a w ich puchu
Mgły się wieczorne tulą i bez ruchu
Wiszą w przestrzeni, jak nieobleczone
W czyn sny — — gdzieś dawno, przez umarłych śnione...

Stoję samotny na urwisku skały — —
Patrzę na cichy ten świat osępiały,
A przed mem okiem powoli zaczyna
Ciemnych mar jakichś sunąć się drużyna
I ginąć kędyś na granicy świata — —
To mego życia są umarłe lata...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

TATRY W ZIMIE.

Księżycowego światła magnezyowe fale
Zalały srebrne Tatry i regli kurhany...
Śni Giewont lodowaty, gdyby olbrzym szklany,
O światów czarodziejskich zielonym krysztale...

Gdyby welon pajęczy tatrzańskiej Goplany,
Skrzących mrozu kryształków stężałe opale
Przeźroczą mgłą lodową zawisły omdlałe
Nad srebrnymi wirchami... Księżycem zalany,

Świat lodowy lśni, gdyby baśń kuta w krysztale,
Nieprzebrane kopalnie djamentów i ściany
Lśniące srebra szczerego, niełupane wcale

Kilofami dźwięcznymi... Świat szronem dzierzgany,
Mieniący się tęczowo, w marzenia zapale
W lód i kryształ zakrzepły sen srebrnej Marzany...

Wacław Wolski.

POD ŚNIEGU SREBRNYM PUCHEM.

Pod śniegu srebrnym puchem
Tatr łańcuch teraz śpi,
Słońce na srebrne śniegi
Złociste rzuca skry.

Śmiertelnym swym oddechem
Rośliny zwarzył mróz,
I martwym się wydaje
Granitów nagich gruz.



Wicher po lodach gwiżdże
W głuchy, ponury ton,
I nad gór martwą pustką
Brzmi, jak pogrzebny dzwon.

Lecz zorze z wiosną lśniące
Z zimowych zbudzą snów
Gór ziemię: pełnem życiem
Zakwitnie ona znów...

W niejednej ludzkiej duszy,
Gdy pozna, czem jest świat,
Zwątpienia mróz śmiertelny
Niszczy nadziei kwiat;

Lecz próżno potem czekać
Wiosennych złotych zórz;
Kwiat taki, raz uwiędły
Nie kwitnie nigdy już...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

PORANNE BIAŁE...

Poranne białe płyną mgły
    Pod Beskid modrosiny;
Nad Granatami słońce się lśni
    Przez srebrne pajęczyny.

W kotlinie, nizko, schodzi cień
    Z ciemnych jeziorek głuszy;
Blady, jesienny powstaje dzień
    I ranną rosą prószy.

Na hali deski pustych strzech
Zdaleka lśnią do słońca;
Dokoła trawa, kamień i mech,
Pustka, jak grób, milcząca.

Z poza przełęczy lecą mgły,
Z szumem się w górze mącą,
I zapadają, jak ludzkie sny,
W przepaść, jak grób, milczącą.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

TATRY WE MGŁACH.

Ku niewidnemu w chmurach krok zwracając słońcu,
Szliśmy przez skał bezdroża, granitów manowce —
Przewodnik, mój towarzysz, trzeci ja — na końcu.

Szałas pośród olbrzymich głazów, co jak owce
Leniwe — skał ponurych obsiadły podnóże,
Malał, topniał i zniknął skryty w mgieł pokrowce.

A my, jak potępieńcy, w gęstej brodząc chmurze,
Szliśmy, chyżo z granitów skacząc na granity,
Przez złomy skał, nad wody czarne — wciąż ku górze.

Czasem we mgle nad nami majaczyły szczyty,
Niby światy nad głową tuż, zda się, zwieszone,
Tam, gdzie zwykle wzrokowi jawią się błękity.

Czasem wody odbiciem gór ciemne, zmącone
Deszczem, jakby olbrzymie gorzkich łez jeziora
Nagle rosły i nikły w dole zostawione.

Oto weszliśmy w paszczę skalnego potwora
I wspinamy się w górę nad turnie i piargi;
Śmierć nas wiedzie, — ląd zniknął w morzu chmur,
[jak zmora.

I przestrachem nam nieraz zbladłe drgnęły wargi,
Gdy trącony głaz zagrzmiał i czarną gardzielą
Deszcz kamienny się rzucił z wielkiem echem skargi.

A mgły coraz gęściejsze pod nami się ścielą;
Na złomie głazu, zda się, w otchłanie wszechświata
Płyniem nad przedstworzenną mgławych wód topielą.

Wszystko sen był. Ta ziemia barwna i bogata,
Słońce, zieleń i ludzie — wszystko sen był marny
I ułudny. Nic niema, jeno mgła skrzydlata.

Bóg Stworzyciel przyszłemi słońcami ciężarny
Zasnął wczoraj, — sen Jego światłem był. No nowo
Dziś się zbudził, sen-wszechświat w dym się rozwiał
[parny...

Szedłem, myśląc tak. Nagle tuż nad moją głową
Grzmot zaryczał i głuche ze skał wyrwał dreszcze,
Po niebiosach śmignąwszy wstęgą purpurową.

I na dany znak chmury zlewające deszcze
Rozstąpiły się w górze — a promień słoneczny
Padł na głazy przed nami dżdżem ociekłe jeszcze.

Spojrzałem. Tam, gdzie opar rozwiewał się mleczny,
Błękit był — ponad szczytem. Jeszcze krok — pół kroku:
I na szczycie stoimy w otchłani powietrznej!

Pan Bóg podniósł kurtynę. W skłębionym potoku
Wicher chmury w dal pędzi; pod tęczową bramą
Świat wyłania się z zasłon zdumionemu oku.

Blaski słońca się kładą złotolitą lamą
Po srebrno-szarych szczytach, błękitnych oddalach —
I w perłach stawów grają świetlnych tonów gamą.

Na ostatnich wełnistych mgły ruchliwej falach
Olśniewająca biel się lazurom odśmiecha —
I przepada rozwiana po słonecznych halach.

Tatr kamienna pierś ciszą bajeczną oddecha
I skrzy się w słońcu naga, zimna. Gdzieś przez turnie
Płyną Nieskończoności zamyślone echa.

A tam w dole, w kotliny przepaścistej urnie,
Jakgdyby dym ofiarny, co w niebo ucieka,
Mgła skłębiła się znowu, Tatry ćmiąc powtórnie.

Pereł stawów sznur zgasł już... Oceanem mleka
Mgła na doły się leje... Wznosi się, wydyma...
Regli sięga — — Stanęła bez ruchu i czeka...

Morze zewsząd! A z morza strasznemi oczyma
Patrzy na nas cierpliwa kochanka otchłani:
Śmierć — i łono swe chłodne w pogotowiu trzyma...

Na skalnym zrębie w blaskach słonecznych skąpani
Słyszeliśmy krok cichy tej tajemnej mary,
Co się ku nam skradała w mgle, jak żbik, po grani.

Obłok wlókł się jej śladem, jak rąbek symary,
Darł się o skały, czepiał kosówek gałęzi
I wiał z podmuchem wiatru nad przepastne jary. —

I szedł opar białawy z pomroczej cięgzi
Ku niebu, strojąc słońce w różnobarwne nimby,
Co drżało, jak sylf złoty w pajęczej uwięzi,

W głąb się nieb przed tumanem mgieł chcąc cofnąć, [nimby
Na nie straszne swe skręty zarzucił polipie,
Co objęły już w uścisk swój skały i limby.

I tak drżące się płoni i opale sypie
Świetnym gradem na zimne, martwe głazów stoki,
Snując przędzę złocistą po mgłach, mchu i skrzypie.

Oto wicher się zerwał i ponad obłoki,
Nad chmur morze jął pędzić nasz ostrów z granitu,
Jak łódź lekką, co pianą ma zbryzgane boki...

I znów płyniem po morzu mgieł — w otchłań błękitu.

Jerzy Żuławski.

MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(NAD CZARNYM STAWEM GĄSIENICOWYM).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...

Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich, na chwilę, uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

BURZA.

Nad Gerlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
Zawichrzonych obłoków, raz wraz ogniem pryska,
Grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
Waląc się, złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
Łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
Leci z twymi ptakami o płomiennym dziobie,
Upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się nawałnico!... Druzgocz twarde złomy,
Wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie,
Pędź zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
Pędź duchu wśród błyskawic jaskrawych widomy!

Wzdymaj się nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
Uderz w ziemię, aż jęknie; ślepiami krwawemi
Nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
Aż spopieleje cała!... Pędź demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół,
Myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świeży — —
Kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie leży,
Lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski padół.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

ULEWA.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz
I rosę z chmur wyciska:
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór,
Zasłony spadły sine;
W deszczowych łzach, granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic: błękitów tło
I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
Porznięte w deszczu pręgi;

I dzień i noc i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany;
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszcze wiatr
Głośniej się potok gniewa;
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr —
Mrok szary i ulewa.
Adam Asnyk.

U STÓP GIEWONTU.

Tam gdzie bucha wodospad z pod sklepienia tęczy,
I wyżej, gdzie zdrój jego w mglistej tryska chmurze,
Aż gdzie wreszcie grom dźwięczy,
I jeszcze, aż gdzie w wichrach pokutują burze,

U wejścia w Sejm, gdzie siwych skał sterczące węgły
W lodowej ciszy chmurne rozważają sprawy,
Stoi, w groźny próg wstrzęgły
Oprawca dolin, słońcem zachodowem krwawy.

Bowiem o wyszczerbiony krzemień tej epoki,
W koło której, drżąc, szumią gór struchlałe rzesze
Błyskawiczne wyroki
Gromowładną prawicą Bóg rozgłośnie krzesze.

Więc też lodozwał z trzaskiem z procy wichrów
[pchnięty,
Więc skał zręby miotane gradów grzmiących warstwą,
Więc potoków odmęty
Dziwnie tu wspólne zewsząd wiodą gospodarstwo.

Więc też, jak zajrzysz — cisza. Pod wyrocznem żniwem,
Próżno las wygrażając sęki bluźnierczemi,
W udręczeniu straszliwem,
W twardych granitach szukał serca matki ziemi.

Runął, a z nim przepadli w drzazgi, w puch lub w ćwierci,
Nieużyci i tkliwi, swoi i nie swoi;
Gdyż w tem państwie walk śmierci,
Sam tylko wykonawca jej nietknięty stoi.

Sam — sam jeden — wśród tego gniazda bujnej klęski,
Wspaniały, tą u stóp swych rumowisk ozdobą, —
Lecz w tej chwale zwycięskiej
Patrząc nań, strach cię bierze być sam na sam z sobą!
Felicyan (Faleński).

GIEWONT.

Stary Giewont na Tatrach przedniej straży
Głową trąca o lecące chmury...
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury,
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło
I wysuwa pierś swą prostopadłą,
Patrząc z góry na wieśniacze sioło,
Co pokornie u nóg jego siadło;
Przez ciąg wieków straż swą nad niem trzyma
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiastował już pokoleń wiele,
Które wieczny związek z nim zawarły,
Z nim złączyły swe losy i cele,
Przy nim żyły i przy nim pomarły,
Nawet myślą z pod jego opieki
Nie wybiegłszy nigdy w świat daleki.

Wypiastował cały ród górali:
On ich widział, gdy dziećmi radośnie,
U stóp jego bawiąc się, pełzali;
Widział młodzież, jak mu w oczach rośnie,
Jak się krząta koło swego plonu;
Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki,
W ciasnem kółku zamknięte nadzieje,
Ich radości, pragnienia i smutki,
Co ich boli, co im piersi grzeje;
Zna zabiegi i spory gorące
O kęs ziemi na polach lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim
I był sędzią już niejednej sprawy;
Nieraz w nocy rozegrał się przed nim
Jaki dramat posępny i krwawy...
Widział różne skryte ludzi czyny,
Widział cnoty, widział także winy.

Lecz, choć czoło chmurami powleka,
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
Bo zna dolę biednego człowieka,
Który, idąc na oślep, zabłądzi,
I o głodzie wzrok obraca chciwy
Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuje dla tej biednej rzeszy
Wielką litość w piersi swej kamiennej,
Od kolebki bawi ją i cieszy,
Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,
Przed jej wzrokiem stroi się i wdzięczy,
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,
Którą zwolna zrzuca z ramion we dnie,
Dla niej w wieczór cały ogniem płonie
I szarzeje, mroczy się i blednie,
Zawieszając księżyc w swojej szczerbie,
Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! troszczy się o ludzi,
Co się jego powierzyli straży;
Śpiące dusze z odrętwienia budzi,
I piękności poczuciem je darzy,
I rozrzuca nad dzieciństwa nocą
Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak jak w baśni: kocha się w pasterce
Dobry olbrzym i dobiera kluczy,
By otworzyć nawpół dzikie serce;
Tak jak w baśni: swych tajemnic uczy,
Uczy znosić ciężkie losu brzemię
I miłować swą rodzinną ziemię.

Adam Asnyk.

GIEWONT POD ŚNIEGIEM.

Jako biały paw ogon roztacza nad ranem,
Pierwsze słońca promienie chłonąc w jego białość,
Tak Giewont całą swoją śnieżną okazałość
W pawi ogon rozpostarł w krąg nad Zakopanem.

A w tem pallium, słoneczną nicią lamowanem
Ponad do stóp przypadłą kornych szczytów małość
Taką roztacza iście królewską zuchwałość,
Jakby się wiernej rzeszy czuł Mistrzem i Panem.

I jak śród nabożeństwa w mitrze wznosi głową
Ponad niższe, pokornie szarzejące szczyty,
Arcykapłan, przybrany w kapy złotogłowe,

W obłoki, jak w kadzielnic dym cały spowity,
Ponad rzesze lewitów, przyklękłe i płowe,
Przyodziane w smereków zrudziałe habity.

Józef Kościelski.

GIERŁACH.

Nie będę cię o łaskę, o Gierłachu wołać,
Choć się nade mną szczyt twój tak wyniośle spiętrza
Jakby zmiażdżyć mię była chęć twa najgorętsza,
Jakby ci sługą była cała świata połać.

Czuć się wielkim, to wszystkich istnień chęć najprędsza;
Lecz stopa ludzka umie twym kręgom podołać,
A prosty górnik może kilofem wywołać
Jęk skargi z najtajniejszej głębi twego wnętrza.

Choć wysoko swą głowę wynosisz na niebie,
Niosąc wyraz monarcha na dumnem ciemieniu,
Ja znałem więcej takich w życiowej potrzebie,

Co do największych w całem kładli się plemieniu,
Bo nie mieli w najbliższem swojem otoczeniu
Miary do porównania — z większymi od siebie.

Józef Kościelski.

WIDOK BABIEJ GÓRY.

Tam na wschód w mgły tumanach Babia góra stoi,
Błyszczący namiot śniegów jej ramiona stroi,
Przy niej góry uklękły, a ona nad niemi
Wyniosła, jak bohater, nad synami ziemi.
Chociaż piorun w jej łonie wyżłobił przepaście,
Dumna z tych ran, burz nowych odpiera napaście.
Ta stara córa ziemi na przestwór daleki
Z wyziębłych ust wyrzuca strumienie i rzeki;
A dwóch stref na swe łono zgromadziwszy zioła,
Młodniejąc pośród kwiatów na badacza woła.
Jej warkoczem las ciemny, w czarne pukle zwity,
Rumieńcem blask piorunu o śniegi odbity;
A na jej skroniach tęcza w grubych mgłach się pali,
A u stóp las szumiący na burze się żali.
Rzucona od kibici czarna cienia wstęga
Daleko po jej siostrzyc białych czołach sięga.
Tak myśl wielka, gdy w głowie mędrca się urodzi,
Długo umysłom w drodze badania przywodzi;
I rozsypując światło z własnego ogniska,
Ćmi każdą, która iskry z sprzecznych ogni ciska.

Edmund Wasilewski.

BABIA GÓRA.

U widnokręgu, hej! w dali,
W stronie, gdzie niebo się pali,
    Siedzi starucha;
Śniegami siwa, mgłą skrzepła,
Od słońca blasków oślepła,
    Od grzmotów głucha,

W pożary gdzieś zachodowe
Zwróciwszy głowę,
Przy tem ognisku ze słońca
Grzeje się drżąca.

Dopóki łyse jej cienie
W tłach szafirowych snem drzemie,
Aż zazdrość bierze —
Dopóki szumią w niej gaje,
Że starowina się zdaje
Mruczyć pacierze —
Idź, gdzie cię oczy poniosą:
Z strzelbą, czy z kosą,
Lub pędzić w leśne manowce
Bydło i owce.

Lecz jeśli jejmość pękata,
Wspomniawszy odwieczne lata
Gdy była młodą,
W czepiec obciąga łysinę,
I wstęgi z błyskawic sine
Wiąże pod brodą —
Nim się w niej wichry zakrztuszą,
Uciekaj z duszą!
Bo ci po pierwszym piorunie
Z ramienia sfrunie. —

Felicyan (Faleński).

ZAWRAT.

Stanąłem na przełęczy... Świat czarów przede mną!
Wzrok zdumiony weń topię — podziw duszę tłoczy...
Dołem — stawy czernieją, jak piór pawich oczy,
W górze — pieśń!... ale myślą stworzona nadziemną.

Pieśń runami granitów pisana przede mną!
Skamieniały sen Stwórcy, dumny sen, uroczy!
Tam — ku krańcom pustyni gniazda dnia się toczy,
Płoną szczyty — tam z głębin wstaje wieczór ciemno.

Siadłem; — cisza na górach — oko stawów drzymie,
Patrzę w Tatry, w te runy przedwiecznej zagadki,
Chciałbym przejrzeć, przeniknąć jej myśli olbrzymie.

Wiatr — bajarz lekkim palcem strunę marzeń trąca,
Zwolna uchodzą z serca goryczy ostatki,
O! tu siedzieć i słuchać i dumać bez końca!

Franciszek H. Nowicki.

U ZAWRATU.

W krąg granitowe stojąc olbrzymy
Milczącą zgrają,
Na barkach nagich, wśród wiecznej zimy,
Niebo dźwigają.
Po wodociągach z brył lodowiska,
Dętych w arkady,
W martwe się sople krusząc, przebłyska
Wodospad blady.
Aż się w kotlinie szklanemi szyby
W śpiący staw zmieni —
Mchy tam zakrzepłe udają niby
Życie zieleni.

W tem dreszczu państwie śnieg mi na czoło
Płonące pruszy...
Dumam; prócz mnie, tu nigdzie wkoło
Żyjącej duszy!

Orzeł się tylko na wichrach waży
W przestrzeni sinej,
I cedr gdzieś w dole. Król, pośród straży
Kosodrzewiny.
Patrzę — u stóp mych w głębokiej dali,
Między parowy,
Gra sobie w słońca promiennej fali
Płat szafirowy.

— Cedrze! Czy nieba strop się tam chyli
Z gór zawieruchą? —
A on mi na to: — Nie wiem. W tej chwili
Dumałem głucho. —
— Orle! czy wiosna zbiegła tam, czyli
Snów rajskich gońce? —
A on mi na to: — Nie wiem. W tej chwili
Patrzałem w słońce. —
I dłużej, głos w te czczości grobowe
Słać — próżna praca!
Echo mi tylko własną mą mowę,
Grzmiąc, nazad zwraca.

Felicyan (Faleński).

MNICH.

Kto jestem, to mnie dzisiaj tajemnicą...
Mój zakon dziwny, mój klasztor wspaniały!
Jam jest... — i wskazał na tatrzańskie skały. —
Kiedy się podniósł, nie pamięta ziemia.
W wielkim ołtarzu orzeł się rozplenia,
Po jego gzymsach kozioł rogi czepia;
Kiedy dzień zniknie, to go noc zasklepia,
Kiedy noc widna, to on oświetlony:

Ogromna lampa, świateł miliony.
Kiedy noc zniknie, wszystkie świece gasną,
Zato ogromne, a jedno je zmienia,
Jedno, ogromne, i bardzo z niem jasno.
Dziwne, nabożne usłyszysz tam pienia:
Po rozpadlinach, szczytach i załomach,
Jak wieczne chóry, wieczny wicher śpiewa,
Jak na organach, gra obłok na gromach,
Niebieską wodą pokrapia ulewa,
A ja, okryty wieczną tajemnicą,
Ubrany w habit, z tą, ot, księgą duszą
Siedzę nad ciemną moją kropielnicą,
Gram z piorunami, śpiewam sobie z burzą,
Widzę świat z góry i śmieję się z cicha,
Gdy mówią: patrzcie na skalnego mnicha —
Bo ja zakonnic jestem kapelanem.

Seweryn Goszczyński.

Z KASPROWSKIEGO WIERCHU.

Bronzowo-złotym liściem błyszczą się skorusze
Głęboko w zagęstnionej Wierchcichej dolinie;
Wkoło gładkich uboczy olbrzymie pustynie,
Okryte przez pożółkło-złotej trawy plusze.

Wiatr. Huczą zamgławione nad wierchami głusze,
Słońce ma blask ołowiu — — wtem z południa płynie
Biały, podarty obłok — rozwiał w chmur głębinie
Olśniewających blasków pełne pióropusze.

W śnieżno-modro-ognistych barw fosfor się mieni,
Pali się na powietrzu i jak szmat płomieni
Wznosi się i zawisa wśród otchłani mglistej.

A od północy błękit kryształno-przejrzysty,
Cud błękitu! w mgieł wpłynął sine fiolety
I objął w blask dalekich gór złociste grzbiety.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

WODOSPAD SIKLAWY.

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród głazów migają tak żywo,
Że je zdaleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przędziwo
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń?
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przędzie,
I przez granitów przewiesza krawędzie,
Nucąc wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia w koło śnieżne ścieki gór;
Na nić swą czarne nawiązuje stawy
I wiedzie głośny z kamieniami spór;
To potok wzbiera siatką wód pajęczą,
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze,
Kończąc krajobraz wodospadu tęczą.

Skromny to potok — a jednak w swym biegu
Tyle piękności naszych gór jednoczy!
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu
I gonią za nim czarnych stawów oczy;
Za nim, piętrami spadających wzgórz,
Ciągną się gruzem zasłane rozdroża,
Jak falujące a zastygłe morza,
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

Skromny to potok — lecz tak wdzięcznym rzutem
Zamyka wąwóz na błękitów tle,
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutem,
Znikając w tęczach albo w sinej mgle.
Skromny wodospad — niema w świecie sławy;
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,
Gdy na wiatr wstęgi przejrzyste rozpuści —
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

Adam Asnyk.

. KOSZYSTA.

Na szczycie tam, koźlątko małe,
Becząc, za matką mknie przez skałę,
Lecz w skoku wśród lodowców kry,
  Gdy brzeg kopytkiem ima,
    Grudka się mała
    Śniegu zerwała,
    I po krawędzi
    W dół milczkiem pędzi...
— Ach! jak się cudnie w słońcu skrzy!
  Lecz gdzie się też zatrzyma?

Po drodze coraz mocniej rośnie —
Aż kędy sarnę, tam, przy sośnie,
Goniący wilk jak szatan zły
  Pożerał już oczyma,
    Śniegu go bryła
    W krąg obskoczyła,
    I tuż przy sarnie
    Z sobą zagarnie...
— Ach! jak się cudnie w słońcu skrzy!
  Lecz gdzie się też zatrzyma?

Wzbiera w skruszone urwisk szczyty...
Stał szałas z tęgich bierwion zbity —
Ni deszcze zmogły go, ni mgły,
Wichry, ni sroga zima.
Teraz się oto
Zręby mu gniotą,
Chrupnęły ściany,
I padł strzaskany...
— Ach! jak się cudnie w słońcu skrzy!
Lez gdzie się też zatrzyma?

Coraz tężeje i pęcznieje...
Skręciła las, połknęła knieje,
W skał się wyrwanych jeży kły,
Swym tchem powietrze wzdyma.
I co napadnie,
Chciwie a zdradnie,
W ziejącem łonie
Natychmiast chłonie...
— Ach! jak się cudnie w słońcu skrzy!
Lecz gdzie się też zatrzyma?

Próżno kapliczka w gaj się chroni!
Próżno mogiłek rój w koło niej
Bronią od złego krzyże trzy!
Straszliwa garść olbrzyma,
Łupu nie syta,
W szpony je chwyta,
I z sobą grzmiąca
W otchłanie strąca!...
— Ach! jak się cudnie w słońcu skrzy!
Lecz gdzie się też zatrzyma?

O! tam — weselne jadą gody:
Z muzyką, pośród drużb pan młody,

I w białej komży z krzyżem ksiądz,
I panna młoda biała...
Boże! w tej chwili
Tylko co byli —
A już ich niema?
A już ich nie ma!...
Lecz się lawina w słońcu skrząc,
Tu wreszcie zatrzymała.
Felicyan (Faleński).

NA MIĘGUSZOWIECKIEJ PRZEŁĘCZY.

Pytasz mnie, pani, com widział tam z góry,
Z tej wśród obłoków zawrotnej przełęczy?
Widziałem w dole cichych wód lazury,
Bezdenne, rąbkiem opasane tęczy,
Co wyglądały jako twoje oczy,
Gdy łza je — na mnie zwrócone — zamroczy.

Widziałem w dali czarodziejskie niwy,
Skąpane w morzu słonecznego złota,
Wyglądające, jak ów kraj szczęśliwy,
Który stworzyła moich snów tęsknota
Gdzieś poza życia jawą i żałobą,
A kędy nigdy ja nie będę z tobą!

A bliżej — czarne, w mgłach przepastne turnie,
Takie posępne, jako myśli moje,
Co ku błękitom spiętrzają się górnie
I zaś, jak skały w toń, tak w oczy twoje
Patrzą — i ani wniebowstępną drogą
Wznieść się, ni w głębiach zatonąć nie mogą.
Jerzy Żuławski.

Z PRZEŁĘCZY »MECHY«.

Dwa meteory blasku spadły w ciemność mgławic
I zawisły w przestrzeni olbrzymie i złote,
Rzucając promienistą dokoła pozłotę
I ponsowo-płomienne kaskady błyskawic.

Pod niemi, z między szarych, granitowych ławic,
Wulkan, zda się, podziemną rozsadziwszy grotę,
Roztrysnął huragany ognia w mgieł ciemnotę,
Jak granat pośród wichru płomiennych trzaskawic.

Zwolna wszystkie się światła zlały w jedno słońce
Olbrzymie i jaskrawe na mgieł ciemnem morzu,
Coraz niżej w dolinę śródskalną płynące —

Aż upadło w kamienne gdzieś złomy daleko,
I po szerokiem, krętem, górskiej wody łożu
Płynie ogromną, złoto-purpurową rzeką.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

MORZE KAMIENI.

Dzikie, zębate wirchy strzelają w niebiosa,
Niby olbrzymie maszty wszechświatowej nawy;
W dali w przepaść zagląda limba ciemnowłosa,
Wsłuchana w szum huczącej, jak burza, siklawy.

A pod nami? Czy tędy przeszła śmierci kosa
I wielkoludów bój się toczył groźny, krwawy?
Czyjeż to białe kości ranna chłodzi rosa,
Podnosząca się naksztalt olbrzymiej kurzawy?

Morze kamieni! Sterczą mchem porosłe głazy,
Jak brodaci rycerze zakuci we zbroje...
Kto wie, może przed wieki, nie zaznawszy trwogi,

Na tarczy i honorze nie poniósłszy skazy,
Jakieś hufce olbrzymów toczyły tu boje
I legły tak pokotem, jak kamienne bogi?...

Władysław Bukowiński.

KOCIERZ.

Młodszy brat Babiejgóry pokrył się lasami
Ze wstydu, że od niego wyższa siostry głowa;
I w zielonym ich płaszczu białe piersi chowa,
I skryte łzy w doliny sączy strumieniami.
I przed niebem zawstydził, bo pokrył się mgłami,
Jako ślepa w południe w cieniu ruin sowa,
Chociaż pióra ma lśniące, jednakże się chowa,
Nie śmiejąc ich równać z orła lśniącemi piórami.
Gdzieniegdzie po okopach poczepiane chatki,
Bezpieczne — choć pod niemi strumień przepaść ryje,
Wiszą jak niemowlęta ssące piersi matki;
Ale kiedy w rozdołach groźny wiatr zawieje,
Nie patrz, jak słabych słabsze mieszkania rozbije,
I pytaniem o matkę nie smuć małe dziatki!

Edmund Wasilewski.

WODOSPAD MICKIEWICZA.

...Łożem ciemnomiedzianej, granitowej ściany
Bucha z paszczy potoku pian śnieżna lawina,
Spada z grzmotem na głazy — potwory Böcklina,
Rozbryzgując się w jarze w potok srebrnopiany...

Jak śnieżnym płaszczem włosów okryta ondyna,
Co, szlochając, rzuciła się twarzą na skałę...
Drga wodospad, toczący piany śnieżnobiałe...
Grzmi Rybiego potoku fala srebrnosina...

...Złotymi listki trzęsą brzózki białopienne,
Struchlał ciemnozielony porost kosodrzewu...
Ducha zwolna ogarnia rozmarzenia senne...

Słucham sennie spienionych fal grzmiącego śpiewu,
W których szlocha żałosnej ondyny kochanie
I tęsknota po złotym, strzaskanym tytanie...

Wacław Wolski.

W PUSTCE.

Ciche leżą kamienie pod skał ciemnym murem.
Noc — wzdłuż żlebu się świeci wązki smug księżyca,
Jak ogromna, stężała w locie błyskawica,
Zamarznięta na skale w pustkowiu ponurem.

Cicho... W złomach jezioro czarne i zlodniałe;
Taka głusza, że słychać szelest kropel z śniegu
Sączących się w toń wody po kamieniach z brzegu.
Śnieg pokrył ciemnym płatem ochmurzoną skałę.

Chmury się dotykają prawie mego czoła;
Zimne, oślizłe głazy ręce moje ziębią...
Nad jeziora lodową, przepaścistą głębią
Zasłuchałem się w przestrzeń... Idźmy... »nikt nie woła...«

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

DROGA DO BIAŁEGO.

...Złotym pyłem omglonych Tatr czarem opiły,
Wszedłem do czarnych borów ponurego chramu...
Potykam się o głazy omszałe sezamu
I o czarnych korzeni drzew omszone żyły.

Przed wiekami potężne, ciemne smreki śniły,
Że nie karły zaczerpną w płuca ich balsamu...
Siadłszy na miękkim, lśniącym mchu skały odłamu,
Roję czarne centaury... dzikie leśne wiły...

...W mroku czarny, tajemny bór potężnie szumi,
Gędząc baśnie siedzącej na kamieniu mumji...
Wsłuchany w rapsod wieków, skamieniałem senny...

...I nie wrócę już nigdy do życia Gehenny...
I prześnię na tem miejscu wieczną legend wiosnę...
I, jak ten głaz odwieczny, mchem lśniącym porosnę...

Wacław Wolski.

POD RYSAMI.

Ciemno. W powietrzu wilgoć. W Rysach potok huczy,
Staw uderza o brzegi, bulkota i pluszcze;
Wiatr błądzi przez nadwodne, puste, głuche puszcze,
I gwiżdżąc, po upłazach i turniach się włóczy.

W ciemni blask czasem zalśni metaliczny, kruczy
Na wodzie, którą lekki wiatr marszczy i muszcze;
Zaczernią się na brzegu kosodrzewu kuszcze,
Lub skała się w cień blady, posępny obłóczy.

Ciemno — — wtem gdzieś w przepastnej, nieprzejrza-
[nej dali
Zabłysło — — czy to spadła na brzegi odmętu
Gwiazda o promienistym blasku dyamentu?

Już błysła druga, trzecia, już dziesięć się pali — —
Rzekłbyś, że się gwiazdami podnóże gór złoci — —
A księżyc wyszedł mgławo w powietrznej wilgoci.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Z TATR.

WIDOK ZE ŚWINICY DO DOLINY WIERCHCICHEJ.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
Światła się zlewa mgła przezrocza,
Nad senną zieleń gór.

Szumiący zdala wśród kamieni,
W słońcu się potok skrzy i mieni
W srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistej
Wśród ciszy drzemie uroczystej
Głuchy, smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli,
Pod słońce się gdzieniegdzie bieli
W zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiej, szarej, stromej,
Spiętrzone wkoło skał rozłomy
W świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
Srebrzysto-turkusowa cisza
Nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: pode mną
Przapaść rozwarła paszczę ciemną —
Patrzę w dolinę, w dal:

I jakaś dziwna mię pochwyca
Bez brzegu i bez dna tęsknica,
Niewysłowiony żal...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

NA »ŻELAZNEJ DRODZE« POD REGLAMI.

Zwolna zachodzi słońce.
Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
Fioletu i ponsu plamy gorejące
Na modro-siny granit kładą się powoli;
Różowią się niebiosów błękitne roztocze,
Złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane,
Na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
Z którą wietrzyk swawoli,
Sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie przezrocze.
Jakby przez mgłę przesiane,
Pada światło słoneczne na cichą polanę,
Gdzie wśród jasnej zieleni,
Tu owdzie koniczyny główka się czerwieni.
Błękitnieje goryczka a brzegiem potoku
Niezapominek modra koronka się mieni.
Niżej na góry stoku,
Za łanami zbóż sennych, o blasku złocistym,
Czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem.

Cisza. Patrzę przed siebie,
Źrenice moje błądzą po ziemi, po niebie,
Idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną,
Płyną po nieba głuchem, niezmiernem przestworzu,
Leniwo, wolno, jak łódź po spokojnem morzu,
Gdy żagle pozwijano.
I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
Jakiś smutek, żal dziwny i takie pragnienie
Czegoś nieokreślnego duszę mą pochwyca:
Że więcejbym owinąć nie pragnął w ramiona
Tej, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...
I jakaś nieskończona,
Nieskończona tęsknica
Oblewa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
Na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czemś nieznanem,
Mistycznem i kryjomem,
Za czemś, co mogło istnieć przed wieków ogromem,
Albo się stanie kiedyś po wieków powodzi,
Lub dziś koło mnie może
Nieznane mi przechodzi...
A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
Nigdzie nieprzerwanego wszechbytu łańcucha,
Wplatają, jako jedno z ogniw mego ducha,
I duch mój się rozszerza, rozdala, rozpływa,
Wciela się w czas i w przestrzeń i wszechkształty – ginie,
Nicestwieje wessany w bezednie wszechbytu,
Co jak olbrzymi polip, osnuł go milionem
Ramion splotów i więzów — nurzy się w głębinie,
Przepada w nieskończonem...
A z skał sinego szczytu
Schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie
I wielka melancholia nocy zwolna spływa,
Zdobiąc sklep nieba pierwszą senną, bladą gwiazdą,

A myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
I na jej łono leci jak gołąb na gniazdo.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

KALATÓWKA.

Dziwnie tu. Strach cię ziębi,
Groza cię wskroś ogarnia...
Królaż tam wężów w głębi
Skarbami skrzy śpiżarnia?
Czy siedzi w tej ustroni
Myśliwiec gór straszliwy?
Czy w tej pustelni chroni
Mnich błyskawiczne dziwy?
Czy się tu w mgliste noce
Dziwożon rój chichoce?

Czarno tu. Dołem, górą
Gdziebądź się wzrok zapuszcza,
Ostępów pieśń ponurą
Odwieczna szumi puszcza, —
Przecież, gdy z gór w niebiosa
Uderzy wieść wesela,
Te chmury drzew z ukosa
Słoneczny błysk przestrzela,
I w kłęby fal źródliska
Tęcz tumanami pryska.

Straszno tu. W tym odmęcie,
Jakgdyby puch pajęczy
Puszczony w wiatr, przeklęcie
Dreszcz wiekuisty dręczy
Krawędzie skał, — a przecie,

Ptaszyna im pierzchliwa,
Pliszka, na groźnym grzbiecie
Siadłszy, ogonkiem kiwa,
I pewnie ta pocieszka
Gdzieś nawet obok mieszka.

I grzmiąco tu. Urwany
Z otchłani gdzieś łańcucha,
Z rykiem, wśród kłębów piany
Szalony potok bucha, —
Przecież byliczka wiotka,
Wiejąc u skały rdzawej,
Wdzięczy się tu z pośrodka
Tęczowej wód kurzawy,
I barwą pól błękitną
Drżące jej prątki kwitną.

Więc, że samotny, zdala
Żyć lubisz pokryjomu,
Jak ptak, lub kwiat, lub fala —
To co do tego komu?
Żeś w burzy jakby w domu,
Że nie dbasz o nikogo,
To co do tego komu,
Kiedy ci z tem jest błogo!
Że cię chochliki strzegą,
To komu co do tego?

Felicyan (Faleński).

JAWORZYNKA.

Ktobądź, po świecie snując się zbolały
Chcesz dobyć z skarbca duszy twej pamiątek

Raju gdzieś szczątek,
Rażony błyskiem archanielskiej chwały,

Zstąp w tej samotni czarodziejskie skręty,
Kędy nad chłodną strugą, gaj cienisty,
Z wiatru poświsty,
O niebie gwarzy, dreszczem wskroś przejęty.

O Jaworzynko! kto świetlane gody
Sennych uroków twych — i w jakiem słowie
Tęschny wypowie?
Dolino ciszy, cieniu i pogody!

W tobie mi jednej nie zabrakło wcale:
Bezbrzeżnej dali, która w światłach znika,
Śpiewu słowika,
Ani młodzieńczych marzeń mych o chwale.

W tobiem ja jednej ani tęschnił, ani
Wspomniał, że kiedyś z nieba mi strącono
Myśl uskrzydloną,
W głębie ziejącej w duszy mej otchłani.

Felicyan (Faleński).

KOŚCIELISKA.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta;
Lecz lasy i skały
Wkrąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Od całych Tatrów kochana:
Lecz na niej mgły gęste
I deszcze w niej częste,
Dolina często spłakana.

Bo w skalnej siedzibie
W Dunajcu kolebie
Panuje straszny duch-potwór.
Zgrzybiały zazdrośnik
Dunajca miłośnik
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa
Szalcje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu wody.
Za kroplę stąd biedną
Piekielne bezedno
Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,
Skarbami zapchana;
W niej srebro, złoto, jak śmiecie.
Nie złota duch patrzy
Od złota skarb rzadszy
Tam leży: wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały
Aż w głębie pójść skały
I na strach mocną ma głowę,
Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność
I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulewa,
Wiatr lasy wyrywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe.

Seweryn Goszczyński.

KOŚCIELISKO.

Wchodzimy, i gromem stajemy rażeni,
Nie wiedząc: czy zostać? czy wrócić? czy iść?
Tam, w smugu ruchomym grającej zieleni,
Przelewa się niebo, obłoczkami pieni,
I szumi jak wiatrem kołysany liść...

Idziemy, i w ziemię wrastamy jak niemi.
Świat będzie dopiero? czy jest? czy już był?
W głąb — w lewo i w prawo — w powietrzu, po ziemi,
Wysiewa się słońce posiewy złotemi
I w szklistych tumanów roztrwania się pył.

Idziemy, i oto znów znagła krok śmiały
Do miejsca ziębiący przykuwa nam strach.
Tam lasy lecące — w powietrzu zostały!
Tam sterczą niesione na obłokach skały!
I cisza coś mówi do siebie, jak w snach.

Więc idziesz, i duszę twą nurzasz zawzięcie
W ten rajskich ogrodów zachwycenia chrzest.
Toż mieszka tu chyba wszech rzeczy poczęcie?
Toż się tu wytwarza w czarownym zamęcie,
Co było lub będzie — lecz nie to, co jest?

W tę tkankę srebrzystą by wzrok utkwić zbliska
O! jakichże zaklęć, jakich wzywać łask?
Świat buja ci w oczach jak senna kołyska,
Majaczeje, świta, mierzchnie lub przebłyska,
Niby w mgłach przedwiecznej szczęśliwości brzask.

Dzień cały, w tej głębi, to od niej, to do niej,
Powietrza otchłanią płynie dźwięków prąd.
W pośród duszę dreszczem przejmujących woni,
Coś wzdycha, coś szepce, coś wabi, coś dzwoni,
Nie wiedzieć, gdzie? kiedy? ni dokąd? ni zkąd?

Więc pewnie, gdy noc już świat makiem posiała,
Gdy dźwiga się miesiąc obtopiony mgłą,
Wśród mchów tu gromadka tańczy rozszalała
Dziwożon, przez których przezroczyste ciała, [drżą.
Gdzieś w zmroku, gdzieś w czarnym, blade gwiazdy

W tych tajemnic głębiach wzrok rozkosznie mierzchnie,
Ich błyskiem rażony gdzieś aż w duszy rdzeń.
Lecz biada, gdy z srebrnej mgły, przez tkanki zwierz-
[chnie
W brzask zorzy spojrzawszy, świat się ten rozpierz-
[chnie,
Wśród odpływających czarodziejskich brzmień.

Ach! nie; czyż na chwilę tylko tu rozpięto
Zachwytu namiotem niebios jasnych zrąb?
Czyż tylko błysk jeden trwać ma wiosny święto?
Czyż wszystko to znagła, mocą słów zaklętą,
Przewionie, stopnieje, lub gdzieś wsiąknie w głąb?

Toż nim się w mych oczach spełni ta przemiana
Ku wiecznej tęsknocie mojej — niech choć wiem

O! wdzięczna stolico majowego rana:
Czyś ty wymodlona, czyś ty przewidziana,
Czyś ty złotą jawą, marzeniem czy snem?

Felicyan (Faleński).

KOŚCIELISKA.

Oto tatrzańska sielanka
Łagodną wabi ponętą,
Jak dziewczę, co uśmiechniętą
Twarzyczką wita kochanka.
Przez skał rozdartych podwoje
Przegląda wąwozu łono,
Gdzie szumią srebrzyste zdroje,
Melodyę głazom nuconą;
Przez skał rozdartych podwoje
Świerk zwiesza konary swoje
I słońca blask się przeciska:
To Kościeliska!

Zielona skacze dolina
Przez strumień z brzegu do brzegu;
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu,
Na góry łączką się wspina
I postać przybiera sielską,
Strojąc się w trawę i zielsko
I kwiaty do swego wianka
Wplatając ręką niedbałą...
A dołem, skryta pod skałą,
Z marmurowego wciąż dzbanka
Czysta Najada swe fale
W przejrzystym sączy krysztale
I strąca potok z urwiska:
To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały
Igłami świerków się jeżą,
W ciemną się zieleń ubrały,
Lecz w balsamiczną i świeżą,
Z której gdzieniegdzie szczyt biały
Kamienną wytryśnie wieżą,
Lub nagie wapienia ostrze
Szeroko pierś swą rozpostrze.
Za każdym drogi zakrętem
Cały krajobraz się zmienia;
Jakby w królestwie zaklętem
W głaz zamienione marzenia,
Dziwaczne fantazyi gmachy
Z wejrzeniem coraz — to nowem,
Wiszące ściany i dachy
Tłoczą się ponad parowem
Lub uciekają w lazury,
Ręką marzącej natury
Wypchnięte z ziemi ogniska:
To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,
Oprawne w zielony szmaragd
Mchów rozesłanych na skałach
I drobnolistnych paproci...
W powietrzu pełno wilgoci
I chłód rzeźwiący w upałach,
Zwalone kłody i mosty,
Łomy, strącone z wierzchołków,
Rdzawe na głazach porosty,
Co woń roznoszą fiołków,
Żywiczne świerków oddechy,
Błękitnych niebios uśmiechy —
I spokój dla duszy słodki,

I zawieszone wysoko
Nad niedostępną opoką
Gwiaździste, srebrne szarotki —
Wszystko się srebrzy lub złoci,
W kropelkach świeżej wilgoci
Tęczową barwą połyska:
To Kościeliska!

Adam Asnyk.

W KOŚCIELISKACH W NOCY.

I.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
Idą z gór, lasem zrosłych, z upłazów i jarów
Tajemnicze milczenia w mgławicach oparów,
Wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych ścielisk,
Las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
Padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni parów,
Miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
Nagich, skrzesanych turni; wielka ciemna rzeka
Ogarnia je i niesie w mroku oceany.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się smreka,
Rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błyskawicę
I kiście świetlnych kolców wbił w nieba ciemnicę.

II.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
Jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,

Snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
Lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu rozwiewa...

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
Jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi —
Zda się, widmo u groty głębokich podwoi — —
Jak dziwnych głosów echo, skądś wśród gór po-
[brzmiewa...

Zda się, że coś zawodzi, skowyczy i płacze —
Cicho! Jaki dreszcz szybko przemknął się gęstwiną —
Gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

Tu — mogiła pod stosem chróstu i smreczyną —
Zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę skacze — —
Jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

U MORSKIEGO OKA.

Północ. Wiatr z świstem buchnął w rdzeń ogniska —
Dymem go dławi, targa, w skry rozpryska...
Tam z niebios gwiazda spadła —
Czyście widzieli?
Huk się gruchocze dołem wśród bezdroży —
Wpadł w las, o skały runął, w mgłach się sroży:
Tu wodospadem grzmiąc w spękane szyby,
Tam lodozwału grozą rycząc, niby
Wyparta czerń rozjadła
Z piekieł gardzieli.

Mnich posiwiały ostro spojrzał w puszczę —
U stóp mu pstrąg się niespokojnie pluszcze —

Tam z niebios gwiazda spadła,
Czyście widzieli?
Wypłynął miesiąc — ale go bladawa
Chmura natychmiast sobą wpół przekrawa,
Więc skonał, milcząc; bowiem senną zgrają,
Z wodnych tumanów, niby z mogił, wstają
Przezroczych ciał widziadła
W śmiertelnej bieli.

I po wiszarach, gdzie skrzą śniegów szmaty,
W błyskach się taniec zawziął wichrowaty...
Tam z niebios gwiazda spadła —
Czyście widzieli?
Och! w jakiż wir się kręcą zapalczywy
Te krwi i kości pozbawione dziwy!
Wtem zmierzch je obwiał blady skądś, jak próchno —
Czy tę wesołość pędy wichrów zdmuchną?
Czy błyskawica zbladła
Gromem zastrzeli?

Ani to wichrów zastęp bladolicy
Dyszący klęską, ni blask błyskawicy...
Tam z niebios gwiazda spadła —
Czyście widzieli?
To ćmie się nocnej zjawia niespodzianie
Zorzy różowe w zmroku gwiazd świtanie,
I z niebios górnych, w ciszy gdzieś głębokiej,
Poprzez olśnione chwałą dnia obłoki,
W świetlane wód zwierciadła
Patrzą anieli... —

Felicyan (Faleński).

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY DO MORSKIEGO OKA.

I rozmawiały z sobą niebotyczne Tatry,
Ubrawszy czoło w śniegi, a swe stopy w kwiecie;
Rozmawiały milczeniem, a szumiące wiatry
Niosły ową rozmowę po szerokim świecie,
I o ich piersi twarde, ich piersi z granitu
Odbiwszy się, leciały aż do niebios szczytu.
A skała jedna w konchy i muszle ubrana
Mówiła do sąsiady: »Jakiż dzień już minął;
Wczoraj jeszcze morzami dokoła oblana,
A dziś się świat promienny przed okiem rozwinął —
Wczoraj wielki wieloryb lejąc strumień wody,
Przesunął po mym grzbiecie swe wielkie obwody,
I rekin, olbrzym morski koło mnie przepłynął,
A dzisiaj na mem czole zawisnęły lody —
Dziś błyskawica z gromem zlatując z obłoków,
Pląsa w pośrodku szumu spienionych potoków,
I na mem łonie ślubne odprawują gody«.

Na te jej słowa, stara, poważna sąsiada,
Granitnem swojem słowem wzniośle odpowiada:
»Tyś jeszcze bardzo młoda, córko moja droga,
Ale ja zapamiętam pierwsze dni stworzenia;
Widziałam wtedy Boga, tworzącego Boga,
A Bóg nie był ciemnością, i nie miał promienia,
Bóg był tchem i materyą; na wszechmocne tchnienie
Wody się oddzieliły, i lądy stężały —
Zabłysło światło, nocy zczerniało sklepienie,
A Bóg wtedy był Bogiem wśród stworzonej chwały.
U nóg Jego spienione oceany grały,
Góry nabrzmiałą piersią na Jego skinienie
Szły ku niebu i Pana swojego witały;

Na dwóch polarnych gwiazdach On położył dłonie,
Księżyc z słońcem osnuły Jego boskie szaty,
Piorun był Jego słowem, a błyskawic kwiaty
Ognistym wieńcem jeszcze obwiodły Mu skronie.

Ja stałam nad morzami, a mamut zdziczały,
Olbrzymią nogą deptał me odwieczne skały;
Aż nadciągnęła burza, wylały potoki,
Ziemia się wstrzęsła, morze uciekło z łożyska,
Grzmiał świat potęgą wichrów, rwały się opoki,
I na ruiny nowe spadały zwaliska —
W tem Bóg rozpędził chmury, i otóż dzień świecił«
Tu góra zmilkła — kołem — niezmierzone skały
W obłoki swój wierzchołek dźwigają wspaniały,
A u stóp ich pagórki igrają jak dzieci —
Gwiazdy obwiodły rzędem ramiona olbrzyma,
I z wysokości w przepaść sięgają oczyma —
Wiatr zasnął — koziodrzewy czernią się wysoko,
A u spodu zieleni wielkie Morskie Oko;
Ono pysznie roztacza zwierciadlane fale
I nadbrzeża odbija w źrenicy krysztale.
Tuż nad niem szarym słupem ponure mgły dyszą;
W nich się dwoją opoki i gwiazdy kołyszą,
Rzekłbyś, że to jest siatka morskiego widzenia.

I głuche, nieruchome jezioro i góry,
Jak gdyby Bóg się przejrzał w zwierciedle natury,
Bóg nieruchomy — tylko wśród niebios sklepienia,
Coraz to nowe gwiazdy ciekawe migocą,
Na barkach skał odpoczną, doliny pozłocą,
I pędzą dalej, gnane siłą przeznaczenia.
Na uboczy, na wzgórzu, w owych skał pobliżu
Błyszczy napis, a nad nim Zbawiciel na krzyżu;
Tam się nagle poety wstrzymała powieka,

Bo chciał nicość swą podnieść, i cudom przyrody
Chciał pokazać cud większy ów marzyciel młody,
Chciał on pokazać Boga przemianę w człowieka;
Lecz gdy spojrzał na siebie i w przestrzeń stworzenia
Spuścił głowę...

Już słońce twarz swą rozpromienia,
I blaskiem swym całuje niebosiężne szczyty;
Rumienią się odwieczne, ziarniste granity,
Błyszczą, lecz nie topnieją na ich czole lody,
A u stóp ich zielenią zwierciadlane wody.
Morskie Oko się patrzy słupem w oczy słońca,
Patrzy się bez zmrużenia, patrzy się bez końca,
Aż słońce wzrok odwróci i przemknie na wiatrach;
Bo Morskie Oko trupie, już niema powieki,
Morskie Oko wypłakał ocean przed wieki,
Wypłakał wśród potopu i zostawił w Tatrach.

Antoni Czajkowski.

MORSKIE OKO.

I.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą
Ścian olbrzymich, co wkoło ze sobą się zwarły,
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro,
Odzwierciedlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;
Na niem pogięte, krzywe, kosodrzewu karły
Gdzieniegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki, wyniesione w chmury,
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczą...
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza — tylko w oddali gdzieś potoki pluszczą,
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszczą,
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

III.

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,
Purpurą zdobi jeszcze skał korony wierzchnie:
Tysiąc tęczowych świateł po szczytach się goni,
Tu zsinieje... tam ogniem zaświeci... znów zmierzchnie...

A w dole, na jeziora zamąconej toni
Odbity blask zakrwawia drżących wód powierzchnię,
Póki skrwawionej fali płaszcz mgły nie osłoni
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... Świat cały napełniony mrokiem;
Granitowe olbrzymy majaczeją w dali,
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed okiem;

Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem
I jezioro zniknęło... lecz słychać szum fali
I z gór lecący potok wymowniej się żali...

IV.

Noc króluje — na głowę kładzie gwiazd dyadem;
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca

Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca:
Mgły ulatują w górę śnieżnych chmurek stadem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i bladem
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospadem,
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą
Wynurza się jak obraz czarodziejskiej księgi...
Wybrzeża przeraźliwym odblaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,
Przypominając piekieł dantejskie okręgi.

Adam Asnyk.

MORSKIE OKO.

Pogodne, ciche, jak duch, co tonąc w marzeniu,
Leci w sfery spokojne, burzliwe ominie:
Lśni jezioro zamknięte w granitów kotlinie,
Jak błyszczący dyament w stalowym pierścieniu.

Słońce nad obłokami po nieba sklepieniu,
Jak orzeł nad żórawi lotnem stadem płynie;
Granity się malują w przejrzystej głębinie,
Niby obraz przeszłości odbity w wspomnieniu.

Widziałem to jezioro, gdy po nieba sklepie
Wicher gnał czarne chmury, wyjąc w skalnej głuszy
Podobny lwu, co ściga bawoły po stepie:

Skrami z pod kopyt błyski z chmur wylatywały,
Grzmot zdał się rykiem. Woda, bijąca o skały,
Była, jak duch, co więzy targa, a nie kruszy.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

RANKIEM W MORSKIEM OKU.

Zaperliły się fale. Lekki dym oparów
Stopniał w słonecznym ogniu — w górze, hen! daleko
Kaskada, rozbryzgana w srebrnosine mleko
Żywym oparem czarny osłoniła parów.

Coraz to głębsze cienie spływają z wiszarów
I po kryształnej toni plamami się wleką,
Drży powietrze przegrzane zawczesną dnia spieką
I, błękitem nasiąkłe, zmienia dzicz w kraj czarów.

Niezamącony spokój... Rzekłbyś — nad ogromem,
Przemienionym w bajeczne, mistyczne zacisze,
Nieskończoność na skrzydle zwisła nieruchomem

I do serc wsącza słodkie zapomnień haszysze.
I oto już się nie jest prochem i atomem,
Lecz duchem nieśmiertelnym... Płynę w blask i ciszę.

Maciej Szukiewicz.

NOC NAD MORSKIEM OKIEM.

Cisza i spokój śmierci... Senna, głucha fala
Przypadła do stóp głazom, co się piętrzą w górę,
I pogrąża się zwolna w swoje sny ponure,
W zadumę, co wraz z mgłami płynie ku niej zdala...

Cisza i spokój śmierci... Mnich w białym kapturze
Szepce swoje odwieczne, wieczorne pacierze;
Nawet gwiazdy wschodzące w martwej atmosferze
Smutne są, jak na kirach rozsypane róże...

Niby gnomy wypełzłe ze skalnej szczeliny,
Kosodrzewin garbatych majaczeją kuszcze...
Szumią świerki i fala z głuchym jękiem pluszcze
I w otchłań czasu zgasłe spadają godziny...

* * *

Nad martwych głębią zastygłych fal,
Stoję wsłuchany w ciszę,
I jakiś wielki, bezbrzeżny żal
Do marzeń mię kołysze...

Wiew chłodny niesie żywiczną woń,
Czuwają gwiazdy złote...
I wśród milczenia skarży się toń
Na gorzką swą tęsknotę...

Nad martwą głębią zastygłych fal
Myśl jakaś drży głęboka...
To wieczność wzrokiem, zimnym jak stal,
Z Morskiego patrzy Oka...

Świt... świt!... Zbudzonych orłów skwir
Zamącił głębi pieśń harfianą...
Pierzcha posępnych cieniów kir
I na mistycznych struny lir
Poranek kładzie dłoń różaną...

Świt... świt!... Z jeziora pierzcha mgła...
Na wirchach śnieżne lśnią kryształy...

Na fali róż i złoto drga...
Świt... świt!... Radosny tryumf dnia,
Co idzie jasny i wspaniały...

* * *

Odchodzę... Wielka przeminęła chwila...
Samotne limby szumią mi po drodze...
Z mgieł się porannych czarny krzyż wychyla...
A ja ku równiom nizinnym odchodzę...

Lecz w duszy mojej na wieki zostanie
Ta noc, przeżyta w mrokach, smutku, trwodze...
Zajrzałem w groźne tajemnic otchłanie
I znów ku równiom nizinnym odchodzę...

Leon Rygier.

NA GUBAŁÓWCE.

Jak tu błogo — jak wszędy
Mile gwarzą ptaszęta!
Zda się tobie, u grzędy
Gdzieś rodzinnej dzień święta.
Szumi niwa kłosista,
Po czaharach wiatr śwista,
Z jasnych niebios do czysta
Chmur tęsknica precz wzięta.

Rankiem, w brzaskach świtania
Zda się rajska skrzy róża,
Więc też tuman się słania
Jak wilk chyłkiem przez wzgórza;
A gdy wreszcie dzień strzeli,
To się coraz weselej,

Ze srebrzystej kąpieli,
Szczyt po szczycie wynurza.

O południu, na łące
Wiatr od zdroju łaskawie
Dmucha w liście szemrzące,
Świerszczyk brzęczy gdzieś w trawie;
Od Giewontu opoki,
W świat błękitów szeroki,
Płyną senne obłoki,
Jak spóźnione żórawie.

O zachodzie, gwar w dali.
Ciągną ludzie z pól, z błoni,
Górom szczyt się krwią pali,
Anioł Pański skądś dzwoni.
Z łąk, po szybie wód gładkiej,
Brzmiąc w rozgłośne kołatki,
Wraca bydło do chatki,
Wśród skoszonych ziół woni.

W zmrok, od ognisk brzask w lesie,
Skrzy się rosa rzeźwiąca.
Dźwięk piszczałek wiatr niesie,
Śpiew krawędzie skał trąca.
A w błękitach już mruga
Gwiazdka jedna i druga,
Aż i wyjrzy z nad smuga
Twarz mosiężna miesiąca.

Niech gdzieś jawa sny płoszy!
Tu, jak jasno, widzicie,
Żyćby w ciągłej rozkoszy
A umierać w zachwycie.

Dość, niech duch twój tułaczy
Równo z mgłami majaczy,
Abyś coraz inaczej
Zaświatowe śnił życie.

Jednak niech ten raj znagła
Wiatr tumanem obwieje,
To, nim jodła ci smagła
Wskaże wyjście przez knieje,
Już ci, niby ptaszyna,
Gdy ją trwoga matczyna,
W gnieździe drętwić poczyna,
Dusza smutkiem zemgleje.

Felicyan (Faleński).

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY W CIEMNYCH SMRECZYNACH.

I.

W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska.

U stóp mu bujne rosną trawy,
Bokiem się piętrzy turnia ślizka,
Kosodrzewiny wężowiska
Poobszywały głaźne ławy...

Samotny, senny, zadumany,
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spoczywa obok krzaku róży.

II.

Słońce w niebieskim lśni krysztale,
Światłością stały się granity,
Ciemnosmreczyński las spowity
W blado-błękitne, wiewne fale.

Szumna siklawa mknie po skale,
Pas rozwijając srebrnolity,
A przez mgły idą, przez błękity,
Jakby wzdychania, jakby żale.

W skrytych załomach, w cichym schronie,
Między graniami w słońcu płonie,
Zatopion w szum, krzak dzikiej róży...

Do ścian się tuli, jakby we śnie,
A obok limbę toczą pleśnie,
Limbę zwaloną tchnieniem burzy.

Jan Kasprowicz.

Z TATR.

W LESIE.

Wolno i sennie chodzą
Po jasnem tle błękitu
Złocisto białe chmurki
Z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
Pod słońca blask z ukosa,
Jaskółka śmigła, czarna,
Sunąca przez niebiosa.

Po łące cichej, jasnej,
W srebrne objęte ramy,
Przez opalowy strumień
Złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
Na ciemnej drzew zieleni,
Lub przez konary rzuca
Ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
Po łąk zielonym łanie
Przejrzyste, zwiewne idzie
Błękitne zadumanie.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

W BIAŁEM.

Po cichych smrekach o ciemnej zieleni
Kładło się słońce złotemi plamami;
Pogodny błękit wisiał ponad nami
Pełen przymglonych, słonecznych odcieni.

W głębi wąwozu po zrębach kamieni
Spieniony potok huczał kaskadami;
Czasem ktoś krzyknął — echo głosu mami,
Jakby z niezmiernych leciało przestrzeni.

Czasem błądzącej trzody po uboczy
Śpiżowe dzwonki dźwięczały w przeźroczy;
Czasem wiatr drzewa szumiące kołysze;

A czasem było tak cicho i błogo,
Jakgdyby szczęście, idąc pustą drogą,
Tu, w to bezludne wstąpiło zacisze.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

NA DAWNO ŚCIĘTY LAS W ZAKOPANEM.

Rano. Świta zaledwie. Na Giewontu głowie
Opierają się senne, błękitne niebiosy,
Na trawie wokoło mnie świecą krople rosy
I las się rosą mieni srebrnie i różowie.

Cudny górski las w słońca wschodzie promienistym!
Ach! Jakże go pamiętam! Każde drzewo w ciszy,
Każdy pień, strom radosny, co ku słońcu dyszy
Żywiczną, ostrą wonią i w błękicie czystym

Dumną dzidę wierzchołka z zielonego złota
Wyrzyna dyamentem w niebieskim krysztale,
A po pniach ciemnych światło słoneczne migota...

Las stoi w pieśni blasku i w słonecznej chwale —
O święty, o w mą pamięć dyamentem wcięty
Las o świcie przed wyjściem w góry — dawno ścięty.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.



Wojciech Gerson — Tatry

NA HALI.

Jaki tu ogłuszały, martwy spokój! Zda się
Życie morzem spłynęło od mych stóp na wieki
I oniemiało w dole... Wyschły gwarne rzeki
I odleciała pamięć o umarłym czasie.

Siadłem na opuszczonym progu przy szałasie.
W niżach, oczom otwarty, siny kraj daleki —
Bliżej wrąb; wśród białych pniów, niby wśród pasieki
Stracone jagnię, idąc, samotnie się pasie.

Powoli mrok poczyna wyzierać z uboczy
I okrążając wzgórza, pełza pomalutku,
Poza pniaki przed zorzą zachyla się skrycie —

Patrzące ku mnie śmiercią widzę jego oczy
Widzę owe przepastne, nieme oczy smutku,
W których na dnie otchłannem odbija się życie...

Władysław Orkan.

HALA.

Cudna, złota jutrzenko wśród mroków granitu!
Senna zatoko pośród spiętrzonych fal cieśni!
Jasny kwiecie wśród lasu, cicha, słodka pieśni
Wśród szturmu trąb grzmiącego pod sklepy błękitu...

O halo górska! Oczy omdlały z zachwytu —
Twój widok roześpiewi duszę i roześni,
I marzyć na twem łonie zielonem bezkreśniej,
Niż tam — na czole skalnej piramidy szczytu.

Tu oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
I ku białym obłokom na błękitnem niebie,
Można świata zapomnieć i zapomnieć siebie —

Utopić duszę całą w wód i lasów szumie
I w tej upajającej, bezkreśnej zadumie
Chcieć śnić do życia końca i po życia końcu...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

MGŁY PO HALACH.

Mgły po halach jak pająki
Snuły swoje białe sieci.
Wiatr je zrywał, niósł i czepiał
Po zaułkach granitowych.

W dole grzmiały wodospady,
Napełniając hale jękiem.
Tatry! Wy jak mroczna klechda
Pozostałyście poezyi...

»Kiedy nudno, tam duch leci!« —
Śpiewa jeden z młodszych wieszczów.
»Kiedy nudno!« zgodnym chórem
Wszyscy z wieszczem powtórzyli...

Z hałaśliwych Babilonów
Wielkomiejskich, tam, ku górom,
Tej skalistej pieśni ziemi,
Kiedy nudno, każdy spieszy.

Kiedy nudno, kiedy tęskno,
Kiedy głucho i bezbarwno

W ciżbie świata i w stolicach,
Tych pustyniach ludzkich dążeń!

Karłowaty ród współczesny,
Śród olbrzymek nagich turnic,
Staje niby w panteonie
Jakiejś nowej, wielkiej sztuki.

Tatry! Ku wam biegną myśli
Niby orły! Piękne hale,
Po was kroczy ludzka dusza
Ku swojemu odrodzeniu!...

Ale człowiek i do świątyń
Wnosi serce niby kiesę
Pełną swoich trosk zdawkowych,
Profanując te przybytki.

I nie zabrzmi pieśń śpiżowa
W granitowym świecie turnic, —
Kiedy nudno! na granitach
Człowiek kreśli swoje żale.

Nikłe skargi, mdłe zawody,
Lilipucich duchów zgłoski,
Które zetrze olbrzym czasu
Małym palcem swojej ręki...

Andrzej Niemojewski.

NA HALI.

Witaj halna oazo pustyni skalistej!
Zielony, cichy brzegu podchmurnej żeglugi!

Boża łąko! twej runi nie dotknęły pługi,
Swobodnaś w gór objęciu i puszczy cienistej.

Młody potok na piersi twej spoczął kwiecistej,
Zanim dalej w świat pomknie szeroki i długi,
Na twem łonie zielonem błyszczą kwiecia strugi,
Dymi szałas gościnny pod nieba sklep czysty.

Głos dzwonków z posępnymi śpiewami juhasów
Dziwną tworzą muzykę i lecą doliną,
Z szumem białych potoków i pomrocznych lasów.

Cichną śpiewy i dumy, ludzie mrą i giną,
Ty halo, wiecznie młoda żyjesz w łonie czasów,
Twój świerk wiecznie zielony — wody płyną... płyną...

Franciszek H. Nowicki.

WIATR HALNY.

I.

Huczy nade mną halny wiatr... Daleki
Wprzód mnie dochodzi szum i świst, a potem
Z jakimś pogwarem, trzaskiem i łomotem
Ciężar się kładzie na wysmukłe smreki.

Od razu kłody o grubości snopów
Gną się w mych oczach, jak źdźbła lichej słomy:
Tak igra niemi głuchy, niewidomy
Gość, co od skalnych wlecze się przekopów.

Idę, wciąż idę, po jęczącym borze...
I choć spotykam pnie, wyrwane z ziemi,
Ten szał, w błękitnym zbudzony przestworze,

By giąć i walić, strachu mi nie wlewa
Do głębi wnętrza: Radbym siły swemi
Zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa.

III.

O wichrze halny! Cóż, że przelękniona
Chowa się koza przed twojej potęgi
Wiewem niszczącym? Sam orzeł, co kręgi
Toczy podniebne, tuli się do łona

Szczelin turniowych, bo królewskich skrzydeł
Jędrna rozpiętość nie wytrzyma próby...
Strącaj kozice, ty posłańcze zguby,
I orły chwytaj w oka swoich sideł

I miażdż o skały, i, jak łan pokosem
Bór położywszy, hucz szaleńczym głosem —
Razem z mą duszą hucz i świszcz radośnie:

Cóż, że z ginących strumień krwi popłynął?
Wszak niema szczęścia tam, gdzie życie rośnie!
Niech świat przepada, na to on, by zginął!...

IV.

Huczy nade mną halny wiatr... Na drogi
Jego przemocy, po których Zagłada
I Ból pospiesza, duch się mój wykrada,
Świeżo uskrzydlon, żądny łez i trwogi.

A od hal bujnych płynie jęk złowrogi —
Rozpacz łkająca, że wichr pobił stada
I porozrzucał koleby... I blada,
Z włosem rozwianym i z drżącemi nogi

Postać juhasa przed oczy mi stanie...
I, niby orzeł z podciętemi bióry,
Krwią skrapiający swe rodzime granie,

Duch mój do smreków tuli się bezwładnie...
I naprzód czuje strach i żal ponury,
A potem znowu — senność go opadnie...

Jan Kasprowicz.

WICHER HALNY.

Nikt nie zgadnie, jak i kiedy przyszedł na ten świat,
Czy po nagich krzesanicach z gór na ziemię spadł,
Czy się podniósł z cichych stawów i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go długi sen—
Czy go zrodził bór, co nocą w czarnych głębiach huczy,
Czy ten martwy ugor skalny, gdzie się Rozpacz włóczy...

Przypadł cicho w trawy śpiące i jak martwy legł,
Objął w uścisk boru mroczny, skamieniały brzeg,
Las drgnął tylko, tak jak człowiek zbudzony ze snu,
Kilka liści spadło zwolna na podłoże mchu,
Szmer poleciał w górę, w górę, ponad mroczną tonią...
Słychać w ciszy szelest skrzydeł i gwiazdy gdzieś [dzwonią.

I rozbudził tłumnie trawy górskich hal i łąk,
Fala głosów kołysanych rozlewa się w krąg,
Coraz dalej, coraz szerzej płynie szmerów chór,
Aż uderza huczną falą o uśpiony bór.
Pochwyciły hasło wiatru smreki, sosny, jodły —
Las i góry wzniosły w niebo przedwieczorne modły!

A szumże mi, szum, melodyo przebudzonych drzew!
Chłonę w siebie, niby w muszlę, ten rozgłośny śpiew,
Jakiś dech rozpiera piersi — hen w gwiaździsty łan,
Rzucam myśli, dźwięki słowa w rozhukany tan
I pieśń śpiewam taką górną, wielką, niepojętą!
Czuwaj duszo! już się zbliża tajemnicze święto!!

Wicher porwał się, jak wściekły, z wąwozów i traw,
Wzburzył do dna i zamącił śpiący cichy staw,
Rozbił brudną smugę wody o skalisty zrąb
I jak kula wpadł znienacka w ciemną smreków głąb.
Cicho... cicho... jakieś drganie po drzewach się włóczy.
Tylko w głębiach coś się kłębi, przewala i huczy!

Wypadł z gąszczy taki mocny, potężny i zły!!
Strącił z włosów rozwichrzonych gałęzie i mchy,
Otarł cielsko o murawę, wyprężył się, wzrósł
I pochwycił w obręcz wirów kępę białych brzóz.
Hej! deszcz liści wątłych, srebrnych z wiatrem leci... [leci...
»Zmiłuj! zmiłuj się nad nami!« — seplenią jak dzieci...

Potem wstrząsnął sosny chore, zdarł gałęzi pęk,
W próchnie drzewa wstaje cicho jakiś szklany jęk,
Pręty tłuką się o siebie, szara kora drży,
Nad szczytami płyną chmury, niby czarne mgły...
Drzewa wiją się i jęczą w beznadziejnej walce
I do nieba wyciągają pokurczone palce!!

Duszo! Duszo! skądże w tobie taka wielka moc,
Żeś zbudziła wiatr uśpiony w tę przeklętą noc,
Że się podniósł z cichych stawów i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go długi sen,

Że go zrodził bór, co nocą w tajnych głębiach huczy,
I ten martwy ugor, skalny, gdzie się rozpacz włóczy.

Hej! grajcie mi, moce ziemi, bom wielki, bom Pan!
Cisnę gwiazdy jednym rzutem w rozhukany tan,
Będę pieścił słuch łoskotem spadających brył,
Cały w oczach płomienisty od nadmiaru sił.
I zaśpiewam pieśń ogromną, górną, niepojętą,
Duszo! duszo! wielkie święto, tajemnicze święto!

Nikt nie zgadnie, jak i kiedy zamarł po nim ślad,
Czy na nagie krzesanice umęczony padł,
Czy powrócił do tych stawów i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go długi sen,
Czy go wchłonął bór, co nocą w czarnych głębiach huczy,
Czy ten martwy ugor skalny, gdzie się rozpacz włóczy!!

Henryk Zbierzchowski.

ZMARZŁY STAW POD ZAWRATEM.

Skalny kocieł!... dno jego lód ze śniegiem ścieli,
Czarne, łyse urwiska tego kotła ściany;
To piekło zamrożone!... pierzchły zeń szatany
I zamarzły skał rzędem dokoła gardzieli.

Szyba lodu ode mnie otchłań stawu dzieli,
Czarny otwór we środku... tam lód roztajany —
Chciałem zajrzeć... zawracam blady, zadumany,
Śmierć tam na mnie spojrzała oczyma topieli.

Wzrok ucieka nad krańce tej natury zmarłej:
Tam!... prosto z nieba biała zlatuje drożyna,
Z obu stron ją opoki wąwozem zaparły.

Czy tą ścieżką śniegową wiatr — śmiałek się wspina
Na te skalne kolumny, co łuk nieba wsparły?
To Zawrat!... nas powiedzie ta biała ścieżyna...

Franciszek H. Nowicki.

POŻEGNANIE.

O góry moje! toż was jeszcze
Ogląda tęschny wzrok niekiedy,
Poprzez płynące w blaskach słońca
Pajęcze pasma, co po świecie
Zwiastują już milczące święto
Jesiennej odpocznienia ciszy.

I jeszcze ucho moje słyszy
Odgłosy waszych brzmień, i jeszcze
Tajemnic waszych spowiedź świętą,
Szemrzącą zcicha tak, jak kiedy
Przelata po mierzchnącym świecie
Archanioł, pańskich sług obrońca.

Jam was oglądał w chwale słońca,
W błyskawic grozie, w sennej ciszy,
W nadprzyrodzonych zjawisk świecie,
Zdala i zblizka, kiedy jeszcze
Brzmiał w was radości hymn, i kiedy
Zdobiło was dziękczynne święto.

Dziś młodość wasza jest mi wziętą —
Jak niegdyś, przed obliczem słońca,
Wygnańcom raju skarb ich, kiedy,
W zdrętwiałej boską grozą ciszy,

Mniemali być w tym samym jeszcze,
A już na innym byli świecie.

Dziś mi już zwolna w mgłach mierzchniecie —
Jako więc, w zmroku chwilę świętą,
Światłości błędne, gdy się jeszcze,
W obłoki wzięty, w stronie słońca,
Dokończa Pański dzień wśród ciszy,
Po trudach całodziennej biedy.

O! żegnam was! I jeśli kiedy,
Gdzieś na szerokim błądząc świecie,
Wspomnieniem waszem, w nocnej ciszy,
Gwiazd mię opłynie wieszcze święto —
Niech, jako wiatr od brzasku słońca,
Mam zachwycenia rzeźwe dreszcze.

O! czyż cię jeszcze, tęschny świecie,
Ujrzę ja kiedy, w wiosny święto,
Wśród blasków słońca, w sennej ciszy?

Felicyan (Faleński).

PIENINY.

W PIENINACH.

A znasz ty ten jar,
Gdzie w złomach kamieni
Modry Dunajec groźnie burzy się i pieni?
Pił-żeś boski czar,
Gdy słońce w zieleni
Wód jego złotą gloryę utwarza z promieni?

Wdarł-żeś się na szczyt,
Co pływa w lazurze,
Aż oko ci się zamgli, nim dojrzysz go w górze?
Zadrgnął-żeś na zgrzyt,
Gdy o skał podmurze
Rozbite we mgłę fale roszą gór podnóże?

Śnił-żeś, patrząc w dal
Cichych wód przestworza,
Gdzie rzeka się w kole wielkiem rozjeziorza?
Mknął-żeś w bryzgach fal,
Gdy wieczorna zorza
Purpury odblask rzuca na kaskad bezdroża?

Szedł-żeś w mroczny bór,
Co wieńczy gór szczyty
I wyniosłymi świerki mierzy w nieb błękity?
Wmięszał-żeś głos w chór,
Co Dunajca zgrzyty
Głuszy, od skał wąwozu tysiąckroć odbity?

Zbiegł-żeś pasy pól,
Co wstęgą złocistą
Gór-olbrzymów podnóże objęły kolisto?
Czuł-żeś rwący ból,
Gdy tę toń przejrzystą
Dunajca żegnać przyszło i Tatrów nić mglistą?

Jeśliś był tam, śnił,
Wszystkimi poloty
W krynicy piękna tonął, — sen prześniłeś złoty,
I już żadna z sił,
Oskardy, ni młoty
Nie uwolnią ci serca z pęt wiecznej tęsknoty.

Miriam (Zenon Przesmycki).

OJCÓW, PIESKOWA SKAŁA

OJCÓW.

Pośród zniszczałych ozdób szkielet gmachu stoi,
Przyśpiewuje mu puszczyk pieśń pogrzebu z wieży,
A przeszłość łzawem okiem, w żałobnej odzieży
Wyziera szczelinami wypartych podwoi.

Bluszcz, pożółkły upałem, nagie ściany stroi,'
Strojone zbroicami walecznych rycerzy;
W kaplicy staropolskich nie słychać pacierzy;
Tylko przez święte okna wpada szelest zdroi!

Raz wędrowiec przy lubym promyku księżyca,
Dumał o zgasłej chwale nad tą rozwaliną,
A nadzieja mu blade rozjaśniała lica.

Dumał — jak nam zdradziecko chwile szczęścia płynąć —
— Pomagała dumaniu nadobna dziewica;
I płakała nad swoją wygasłą rodziną. —

Józef Łapsiński.

NAPIS W OJCOWIE.

Tu myśl Boga skamieniała
W fantastyczne skał urwiska,
Tu się potok z szumem ciska,
Jakby ludzkość go pognała!
Tu natura kwitnie cała
W kwiatów woni, w lasów wianku,
Świeża, jakby dziś w poranku
Z dłoni Boga wyleciała!

Tu czas usnął w dnie pieczary,
Bo nie zdołał skał tych pożyć,
Lecz zgruchotał zamek stary,
Który mu chciał jarzmo włożyć,
Na doliny dumą plunąć,
I przedrzeźniać się naturze;
A choć musiał w gruzy runąć,
Gruzami kark przygniótł górze!

Z duszą swoją, jakby z grzechem
Ukrył się w przepaściach studni,
Rzuć tam kamień, tak zadudni,
Tak bolesnem stęknie echem,
Jakby wszystkie jęki skonu
Do jednego zbiegły tonu!

Stercz sobie, trupie olbrzyma,
Groźny jeszcze w swej ruinie!
Z twoich władców śladu niema,
I dla ciebie byt przeminie,
Byt ruiny nawet zginie!...

Edmund Wasilewski.

OJCÓW.

Żegnam cię, żegnam ziemio garbata,
W cichej pogodzie babiego lata!
W pajęczych nici srebrnem upięciu!
Tak dłoń przyjazna nieraz dziecięciu,
Gdy płacze matki, oczy obetrze —
Jak mnie wieczoru szare powietrze
Osnuło góry, owiało skały, —
By ich me oczy mniej żałowały.

Żal tem dotkliwszy, gdy go kto wzbrania!
Otrzesz łzy dziecku, lecz nie tęsknotę.
Pieszcząc, przypomnisz matki pieszczotę. —
Daremnie rzeka pierś swą odsłania,
Tęskno do zdrojów w skale szemrzących!
Daremnie słucham sosen szemrania,
Tęskno do jodeł, buków szumiących!
Chaty i dwory tak tutaj nizko!
Inaczej gołąb, ranny od strzały,
Z czerwonym dachem kościołek biały[1])
Białem tam pierzem padł na urwisko.

Kiedy z wieczora dzwonkiem pogrucha,
To jego prośby skała wysłucha,
Poniesie oddźwięk do drugich szczytu,
Lecz kiedy z rana zabrzęknie dzwonek,
To już nie gołąb, chyba skowronek
Leci ku niebu z modlitwą świtu.
Czy tu te dźwięki, co w górnym wietrze,
Czy w światła falach drga tak powietrze
Przezroczą barwą, skrzydlatą wonią?

[1]) Grodzisko pod Skałą.

Gdzie tu tajemne żalu pieczary?
Kędy sklepienia, ściany filary
Łzy kryształowe od wieków ronią,
Ciche i czyste — jak łzy ofiary.

Wieńcem się wiją po czole świata
Matki-przyrody cudne zjawiska.
Jam ich nie widział, ziemio garbata!
Tylko twój pokarm szczerze i zblizka
Dusza z synowską wzięła podzięką. —
I tyś mnie tylko matczyną ręką
Wpuściła pierwsza w tajne zadumy,
Gdzie tak pokrewnie brzmią jodeł szumy,
Gdzie trawa, strumień, kwiatek i skała
Niemem, wymownem słowem szeptała,
Że jak ów mały król z duszą wielką[1]),
Co się ukrywał w twoich pieczarach,
Skromnaś, potulna, o karmicielko!
A taka hojna w zachwytu darach!

Niedość, że własnym karmisz urokiem,
Jeszcze w twej piersi stroju ozdobnym,
Wdowim, prastarym, stajesz przed okiem.
Z wyniosłych świątyń omszonym łukiem,
Szczątkami zamków z bluszczem żałobnym.
Jeszcze tam smęcą przed kornym wnukiem
Cienie naddziadów w żelaznej szacie,
Jeszcze piastowe, jare postacie
Po starych murach snują się mrokiem.

Włodzimierz Wolski.

[1]) Łokietek.

HEŁMOWA GÓRA.

(WSPOMNIENIE Z OJCOWA).

Szliśmy leśną ścieżyną. Pod górę się darła,
Wiodąc wyżej a wyżej człowieczego karła,
Aby z góry mógł spojrzeć w twarz matki-przyrody
I poznać, jaki przy niej mały jest, jak młody...

Zachód był cichy, jasny. Przez liściaste ramy
Wpadały blaski słońca, złocistemi plamy
Barwiąc mchy i paprocie, kamienie drożyny,
Ciemne pnie starych świerków i krzewy leszczyny.

Bór, co górę opasał zielonemi szarfy,
Szumiał — a wszystkie drzewa były jako harfy,
Dawały głos, gdy wiater poruszył ich struny,
I muzyka szła groźna, dzika, jak pioruny,
Jak łoskot głazów, w przepaść lecących z urwiska,
Gdzie je niezłomna wola praw przyrody ciska, —
A potem cicha, smętna, jak ligawki echo,
Jak pieśń tęskna, zrodzona pod wieśniaczą strzechą, —
Aż się obydwa tony złączyły w harmonię,
I las grał wielką, świętą potęgi symfonię
I nieskończonym hymnem uderzał w błękity...

Wiatr przechadzał się, chyląc dumne świerków szczyty.

Szliśmy cisi, wsłuchani w tajemnicze szumy.
W sercach nam echem grały zapomniane dumy
I rozpierały łona. Wygasłe wspomnienia,
Nadzieja, która wiecznie życie opromienia,
Żal, że próżno tęsknimy za pomyślną wieścią,
Rozpacz, że los jest dla nas jedynie boleścią,

Nieokreślona ufność w przyszłości koleje
I zgroza na myśl o tem, co się wkoło dzieje, —
Wszystko wrzało w nas, łkało, grzmiało burzą dziką,
A bór wtórzył nam swoją olbrzymią muzyką.

Stój! Patrz, las się w tył cofnął, jak zielona ściana.
Przed nami mała, jasna, słoneczna polana,
W środku wyniosłość jeszcze, ze skał utworzona,
Głaz wielki — i krzyż w górę wyciąga ramiona.

To szczyt! Hełmowej góry promieniste czoło!
Naprzód! Na skalny cypel drapać się!
Aa!
Wkoło
Świat cały leży w setnych swych barwach i zmianach.
Spójrz tu! Cudna sielanka! Zamknięta w dwóch ścianach
Wzgórz, wonnym porośniętych od stóp do głów lasem,
Srebrnolitym Prądnika przepasana pasem,
Wije się kręto cicha Ojcowska dolina.
Nie wiesz, nie widzisz, gdzie się kończy i zaczyna.
Świat tu niewielki, cały zamknięty sam w sobie,
W ręką mistrza-przyrody wyciosanym żłobie.
Bieluchne domki mile śmieją się w zieleni,
Prądnik się, lekko szemrząc po kamykach, pieni,
Po stokach, dzwoniąc w dzwonki, chodzą krów gro-
Tu i owdzie wołanie odezwie się z chatki, [madki,
Lub głuchy łoskot siekier gdzieś w boru zadźwięczy...
Jak mucha, w srebrnej sieci schwytana pajęczej,
Tak oczy z więzów czaru wyrwać się nie mogą,
Którym tchnie ten zakątek... Tak tu cicho, błogo,
Tak mało wrzawy świata, a szczęścia tak wiele!

A spójrz tam. Wzrok swój w tysiąc promieni rozstrzelę
I nie obejmę jednak od końca do końca

Niezmiernych widnokręgów. Bliżej — patrz! — od
[słońca
Krwawo palą się okna Wawelu — i Kraków
Cały jakby na dłoni. Za nim tysiąc szlaków
W dal jasną się rozbiega, kraj cały uroczy
Z bielą wsi, miast, miasteczek, jako zajrzą oczy
Aż do Tatr, których sine, wyniosłe olbrzymy
Śnieżne głowy swe w modre upowiły dymy.
Ha, jak wolno, swobodnie! Pierś oddycha szerzej,
Oko, jak oko orła, cały kraj w krąg mierzy,
W zachodzącego słońca roztopiony pyły;
Duch rośnie, potężnieje, olbrzymieją siły,
W łonie bić poczynają śpiące jakieś tętna,
Żądza walki i czynu budzi się namiętna,
Krew wre dziko, z ust rwie się pieśń bezładna, wrząca,
Człekby leciał przez boje i burze — do słońca,
Naprzód, naprzód, wciąż naprzód! Ha, czuję, że żyję!

Cicho, słyszycie, bracia? Zda się, odgłos bije
Od Karpat w sinej dali śpiącego łańcucha.
Cicho! w słuch się zamieńcie, niechaj każdy słucha
I niech wiecznie zachowa w głębiach swego ducha
To, co mu opowiedzą na Hełmowej górze,
W każdem sercu budzące się echa i burze.

Miriam (Zenon Przesmycki).

PIESKOWA SKAŁA.

Wołałem a głos w skałach rozległ się sto razy
I umilknął — myśl znikła w piękności natłoku;
A wzrok, płynąc daleko z nurtami potoku,
Utonął w czarodziejskie omamień obrazy.

Chcesz się ocucić znowu i zebrać wyrazy?
Wtem nowy cel zdumienia pojawi się oku:
Szczyty gmachu Szafrańców we mglistym obłoku!...
Sambyś rzekł, iż szatany dźwigały nań głazy!

Dalej sterczą w dwa rzędy granitowe mury,
Po wiszarach się chwieją czarnych lasów chmury,
A nad lasami błyszczy okrąg lazurowy;

Na straży dolin stoi kolos Herkulowy,
Nachylony, jak olbrzym nieczuły — ponury —
Zazdroszcząc głośnej źródeł z kwiatami rozmowy.

Józef Łapsiński.

GÓRY Ś-TO KRZYSKIE.

GÓRA ŁYSA.

O piękne miejsce, i między inszemi
Sławniejsze, które widzim w polskiej ziemi!
Któreż mogą, górę drogą
Uczcić pienia? Gdzie zbawienia
Depozyt złożony.
Dziwna wyniosłość Sarmatów Karpatu,
Z wierzchołka Olimp zalecony światu.
I Synai, gdzie się tai
Ogień we krzu, na powietrzu,
Wierzchem wystawiony.
Obozem niechaj z wojski swemi stanie
Pierwszy pułkownik nieba na Garganie.
Magdalena Massyl wzięna,
Rozalii w Sycylii
Dziwna skała grobem.
Lecz większa Polskę fortuna potyka,
Gdy przez świętego ręce Emeryka
Dar ten liczy, królewiczy,
Nad Hiarby, droższe skarby
Nierównym sposobem.

Dar, znaczną cząstkę krzyża zbawiennego,
Na którym okup zbawienia mojego
Był rozbity, w krwi sowitej
Pniak skropiony, w polskie strony
Na tę górę godzi.
Nie bez tajemnic dobrodziejstwo za to,
Jakoś powinien dziękować Sarmato,
Krzyż jest zbroją, Polsko, twoją,
Krzyż obrona Akwilona,
Skąd wsze złe pochodzi.
Tak Kościół trzyma, że gdy Pan umierał,
Na Akwilon głowę skłoniwszy, pozierał,
Na Oliwnej górze dziwnej,
Kończąc mękę, skłania rękę
Na północnych ludzi.
Matka znać dając, że nam jest w pomocy,
Pod krzyżem stoi ku nam na północy.
Krzyż zasłoni, Matka broni,
I przed gniewem z świętem drzewem
Litość w nim pobudzi.
Hyperborejski kraju znamienity,
Jak się cieszyć masz temi depozyty,
Klejnot drogi, w polskie progi
Jezus zsyła, gdzie mu miła,
Na tej górze knieja.
Więc i ja pod jej wychowany cieniem,
Lichem, lecz z chuci, wynoszę ją pieniem:
Podłej ceny, me kameny,
Przy tym Krzyżu, kładę zbliżu,
Bo w nim ma nadzieja.

Wespazyan Kochowski.

GÓRA ŚW. BRONISŁAWY.

GÓRA ŚW. BRONISŁAWY W NOCY.

W dnie Wisły niebo stoi, księżyc Wisłą płynie?
— To mamidło, bo księżyc z gwiazd orszakiem w górze
Srebrnym kręgiem po jasnym żeglując lazurze,
Nocą przymierzchłe świata ulampia pustynie.

Ledwo cichy szmer gadu słychać na dolinie,
Tak uroczysto, głucho po całej naturze;
W oddali błyskawice igrają po chmurze,
A wzrok z myślą, z pamięcią śród ułudy ginie!

Pośród rozległych równin nadwiślańskiej krasy
Świecą się złote wieże — pysznych gmachów czoła,
Na gruzach strażnic sady rozkwitły dokoła.

Tam z rodzinnych pamiątek dawne błyszczą czasy,
Z grobów prawnuków Kraka dawna wielkość woła...
Niestety! Wisła echa pędzi w masztów lasy!

Józef Łapsiński.

CZARNA GÓRA.

NA CZARNEJ GÓRZE.

Na złomach skał, śród śniegów błyszczących od słońca
Wstrzymałem krok, gdzie wicher nagim szczytom
[śpiewa.
W przepaściach noc; przede mną widnokrąg bez końca
Błękitnieje i w błękit sklepienia się zlewa.
W prawo — w lewo — gór pasma, borów ciemne szmaty;
U stóp moich obłoki płynące z daleka
Stają i zadziwione patrzą na człowieka,
Który się wdarł bez zaklęć w ich powietrzne światy.

Cicho — ten złoty obłok, co płynie jak fala,
W białej Wiśle pił wodę, z Wisły niesie wieści.
Zbliża się — od promieni słońca się zapala —
Słychać szemranie... westchnął... nie, to wiatr szeleści..
A obłok już daleko... płynie drugi, trzeci...
Jasna dal z białych osłon oczom się odsłania,
Jak świat cudów mędrcowi w godzinie dumania,
Kiedy w nim Bóg pochodnię natchnienia roznieci.

Lotna dziatwo błękitów! witaj mi na szczycie!
Oczy i myśli puszczam za tobą w przegony —

Lećmy — serce me czuje podwojone życie,
Gdzie spojrzę — wszystko moje — mój ten świat zielony!
Tam — poznaję — migoce Dniestr, jak srebrna wstęga...
Kędyż chaty człowieka? Gdzie sławne cmentarze?
Zniknęły roztopione w zielonym obszarze:
Ni chat, ni grobów sławy oko stąd nie sięga.

Och, smutne to! przeczuwam: i my w czasów dali
Rozpłyniem się tak samo w nic i zapomnienie.
Nikt nie wspomni, że żylim tu — żeśmy kochali —
I wędrowiec stąd kiedyś rzuci tak spojrzenie,
A nie dostrzegłszy okiem ni chat, ni cmentarzy,
O tem, że wszystko niknie, posępnie zamarzy.

Mieczysław Romanowski.

KRAŚNA GÓRA.

KRAŚNA GÓRA.

Litewskich dolin i gór kochankowie,
Co się w litewskiej kochacie naturze,
Ja wam zaśpiewam piosenkę o górze,
Piękniejszej górze, niż wyśpiewać w słowie.

Z początkiem świata poczęte jej dzieje,
A jednak młodość wiecznem jej wezgłowiem,
Wieczna na czole jej młodość jaśnieje,
— A jak się stało, opowiem.

Pierwszej jutrzenki powitana tchnieniem,
Ziemia swą miłość ku niebu poczęła,
Chciała się złączyć ze świętym promieniem,
I pełną piersią ku niebu westchnęła.

I na miłosnem tęsknoty westchnieniu
Podrosła w niebo, ubrała się w kwiaty,
I strumień czysty — i w czystym strumieniu,
Jak w sercu, nieba odbiła szkarłaty!

Litewskich dolin ukochana córa,
Wznosi ku niebu rozkochane łono;
I pięknym wieńcem kwiatów skronie płoną,
A lud to miejsce zowie Kraśna Góra.

Ale jest domek na tej góry szczycie,
Ale w tym domku śliczne dziewczę żyje,
Piękniejszy strumień w jej sercu się wije,
Piękniejsze kwiatów w niem rozkwita życie.

Ach, i jej serce w uczuć wzrosło góry,
A pierś jej młoda piękności skarbnica,
Ona jest córką tej pięknej natury —
To Kraśnej Góry litewska dziewica!

Antoni Sowa.

W SZUMIE DRZEW

LASY.

POCHWAŁA LASÓW.

Zważywszy życia ludzkiego obroty,
Uchodzę w lasy i wesołe knieje,
Mając w nich więcej gustu i ochoty;
Niech, kto chce, z mojej dzikości się śmieje;
Nie dbam nic na to, wolę z swej prostoty
Las, aniżeli świat pełen niecnoty.

Nie umiem bajek prawie szeptać w ucho,
Łaciny nie znam, ni terminów prawnych,
Wody sprowadzić tam, gdzie było sucho,
O Cyceronach nie słyszałam sławnych;
Więc kto tych czasów w tej nie ćwiczon szkole,
Niech pasie bydło, albo kopie rolę.

Lasy kochane, zielone chłodniki,
Drzewa przyjemny szum dające z siebie,
Trawy, pagórki, biegące strumyki,
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie;
Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
Niż drogie trunki, gdy z rąk nieżyczliwych.

Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny
Pokaże, rosa perłowe kropelki
Pozbiera, jużci pasterz okoliczny
Nie zaśpi, a ptak wyśpiewuje wszelki;
Ci trzody owiec żeną między wrzosy,
Te, mokre skrzydła otrzepują z rosy.

Wnet różnych głosów stroją instrumenta,
Po drzewach skacząc wysoko, to nizko,
Krzykną roślejsze i drobne ptaszęta,
Bezpieczne, chociaż słuchamy ich blizko;
Za nic koncerty i włoskich nut sztuki,
I milsze głosy bez mistrza nauki.

Odpocznie ptactwo, aż zaczną pasterze
Smutne wywodzić dumy na fujarze,
Inni zaś skoczne mazury na lerze,
Tańcując z nami, każdy w swojej parze;
My wdzięczne pieśni śpiewamy koleją,
Lasy słuchają, a gaje się śmieją.

Nie wiem, co tesknić, pasąc owiec trzodę,
Z pilnością strzedz ich potrzeba od wilka.
Przebrnąwszy potok, oczyma powiodę,
Aż pastereczek bieży ku mnie kilka;
Z temi się witam, chwytając za szyję,
Wnet jedna drugą zczesze, splecie, zmyje.

Usiędziem sobie pod jaworem ciemnym,
Nad czystem źródłem pryskającej wody:
Ze skał fontanny natura foremnym
Kunsztem zrobiła pasterzom ochłody;
Nic nam słoneczny upał nie dokuczy,
Jawor zaszumi, a strumyk zamruczy!

Zaczniemy mówić o naszych zabawach,
Na czem dzień cały przeminie godziną:
O pięknem kwieciu, w jakich rosną trawach;
Ta powie, jest tu miejsce nad doliną,
Na którem kwiaty w rozliczne kolory
Kwitną, posiane od bogini Flory.

Więc wszystkie w zawód bieżąc, jedna drugą
Popchnie w bok, by się wyprzedzić nie dała,
Ta w miękką trawę upadnie, jak długą,
Ta już tymczasem kwiatów nazbierała,
Z tych wieńce wijąc, głowy sobie stroim,
O brylantowe korony nie stoim.

Szczera wesołość, śmiech, żarty niewinne
Nikogo zgorszyć, owszem, cieszyć mogą;
Prostoty naszej niech się uczą inne,
Przystojnych zabaw z nami idą drogą.
To, co ma która, wybiera z koszyka,
Jemy ser z chlebem i masło z jaszczyka.

Po tym bankiecie, chcący trunku zażyć,
Śpieszno biegniemy do naszej piwnicy,
Którą nad winne więcej trzeba ważyć,
Czystej nad kryształ pod skałą krynicy:
Z tej co dzień dzbankiem pijąc, nie ubywa,
W pełni zostaje, nikt jej nie dolewa.

Gdy już z południa słońce niezbyt grzeje,
Wychodzim z gęstych lasów na krzewiny;
Tam, gdzie chłód miły od pagórków wieje,
Igramy w babkę pomiędzy jedliny,
Patrząc przez nizkie krzaczki i jałowce,
Czy dobrze nasze napasły się owce.

Samym wieczorem, zbliżając ku domu,
Zganiamy trzody społem do gromady;
Poznają owce, co należy komu,
Bierzemy swoje bez swaru, bez zwady:
Żadna nie zbłądzi do cudzej owczarni,
Każda do swego szałasu się garnie.

My zaś pasterki do chaty chróścianej,
Nad pałac cichszej, śpieszym na spoczynek,
Mleka zsiadłego na misce glinianej
Podjadłszy, nie śląc po mięso na rynek.
Nie psują takie potrawy żołądka,
Dłużej my, niż pan, żyjem niebożątka.

Elżbieta Drużbacka.

PUSZCZE LITEWSKIE.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje;
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłod, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem:
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe napoły,



Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą).
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory,
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory;
Około nich na drzewach, gnieździ się ryś bystry,
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wassale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów, dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;

Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz, kędy blizcy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smętarz; nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacyą ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcu gnieździły
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,

Uciekają, skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki
W języku swoim strzelcy zowią: »Mateczniki!«.

Adam Mickiewicz.

LAS.

Z każdym dniem las mię większym otacza urokiem
I staje się piękniejszym, droższym w każdej dobie.
Zachwyca ciszą, szumem, gęstwiny swej mrokiem...
Lesie! jam duszą całą rozkochał się w tobie!

Ja kocham was, szanowne szczątki naszych borów,
Sosny nasze, jawory, graby, brzozy, dęby!...
Witam was! nim padniecie pod ostrzem toporów,
Nim wandalizm pił swoich w was zapuści zęby!

Nim was komin fabryczny w swej paszczy pogrzebie,
O, lesie mój rodzinny! niech dziś witam ciebie,
Niech twą krasą, urokiem nasycę źrenicę...

Skarbie nasz! naród z ciebie możny był i dumny:
Mieliśmy z darów twoich kolebki i trumny,
Ciepło — chaty — świątynie — ha!... i szubienice!...

Włodzimierz Wysocki.

LAS.

I.

Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny

W bezmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój sam w melodye plenny.

Syt jestem ziemi; z tej kaźni codziennej
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienny,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w twej pieśni; jest lube,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozpłynięcie bytu;

Jest w nich tajemne przeczucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu...

II.

Struny twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —

Gdy kształty bytów święte słowo boże
Przybierać jęło. O szumiący lesie,
Rozlewne dźwięków przedwiekowych morze!
Wonczas, gdy żywioł za żywiołem rwie się,

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie
I cichość swoją i swój rozgwar niesie
W pustą bez końca i bez nocy głuszę —

To samo wonczas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

IV.

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snać go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerszym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodje dobywa
Z mej i z twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj — niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozpłynięciem jest bytu. Niech rwie się
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!

Jan Kasprowicz.

LAS.

Teraz, znużony duchu, porzuć miejskie rynki,
Uchodź! Oko się łzawi pośród ludzkich gwarów.
Lekarką jest ukojność pól i leśnych czarów.
W zieleni tam czekają ciebie odpoczynki.

Tam otoczą cię kołem snów leśnych boginki
I motyle, co z kwietnych sączą miód nektarów —
Tam milczeniem bezkreśnem szemrze cichy parów,
A śród pól już ci pląsem śpiewają dożynki.

Tam, waż, jak sosny pachną, jak się chmury gonią,
Jak trzody marzą senne, jak skowronki dzwonią:
Niech jak we śnie — trosk próżny duch ściga marzenia.

Zatrać myśl, pamięć, wszystko! Rozpłyń się w żywioły!
Dzieckiem bądź, a ku tobie zejdą archanioły,
Śpiewając kołysankę raju odpocznienia.

Antoni Lange.

LAS.

Wynijdź, lesie, z swej głębi! Wynijdź z legowiska
Zaczajonych rozkwitów, zieloną drzemotą
Wpartych w ziemię, po ciemku zapatrzoną w znój!

Wynijdź nagle z nor wszystkich, z jarów bez nazwiska,
Z kniej, zapadłych w moczary, —
Z trzcin wrosłych tęsknotą
W wód zwierciadła, by zdwoić sen nad wodą swój!

Wynijdź z woniejącego na wiatr pogmatwania
Macierzanek z pokrzywą, zaszytą w cień rowu,
Gdzie pełno czarnoziemnych zwilgotniałych cisz!

I z gniazd ptasich, skąd radość słońcu się odsłania,
Beznamysłem świegotu, dająca moc słowu,
Zbiegłemu z ust niczyich — w zmierzch zielonych nisz!

Wynijdź! Wałem zieleni spadnij na mą duszę,
Przynagloną do śmierci spełnieniem zachwytu,
Wyszłego na spotkanie tobie — w dal i w czas!

Zjaw się szumny i wielki w słońca zawierusze,
Pełen jeszcze na oczach zgrozy i błękitu,
Z sercem, w piersi ciążącem, jak rozgrzany głaz!

Uchyl nagle przedemną zielonej przyłbicy,
Ukaż twarzy nieznanej boskość i zaklętość,
Co wiecznie z poza krzewów niepokoją mnie!

Niech odbiję się cały w twej sępiej źrenicy,
Niech zobaczę tych odbić czar i niepojętość,
Niech się dowiem, czem byłem dla ciebie w twym śnie?

Bolesław Leśmian.

SZUM DRZEW.

Przypłynął ku mnie cichy, przytłumiony
Jęk, wszczęty w sosnach, na krawędzi boru,
I wnet ogarnął wszystkie drzew korony,
Spowite w ciszy letniego wieczoru...

I las tajemnych dźwięków miliony,
Rozpełzujących się w głębie przestworu,
Jął wydobywać z swej piersi zielonej —
Zbyt późne echa przedwiecznego wzoru.

I moją duszę, jakby była drzewem,
Pełnem konarów, liściastych gałęzi,
Szum ten głęboki w dziwne wprawił drżenie:

Nim się spostrzegłem, z cielesnej uwięzi
Rwie się i płynie, w ślad za sosen śpiewem
Gdzieś w bezgraniczne, nieznane przestrzenie.

Jan Kasprowicz.

W UŚPIONYM LESIE.

Księżyc wyszedł i płynie, jak łódź pozłacana,
Niebo wisi niezmierne, bezdenne jak morze,
Chmur lotny puch szybuje przez jasne przestworze,
Srebrząc się jako morska, białogrzywa piana.

Niebo wisi niezmierne, bezdenne jak morze,
Tatry czernią się w dali, jak grzbiet Lewiatana —
Srebrząc się, jako morska białogrzywa piana,
Śnieg osiadł granitowy zrąb, co błękit porze.

Tatry czernią się w dali, jak grzbiet Lewiatana,
Wichry po turniach w dzikim huczą rozhoworze,
Śnieg osiadł granitowy zrąb, co błękit porze —
A wkoło mgła z miesięcznej poświaty utkana.

Wichry po turniach w dzikim huczą rozhoworze,
Dolina leży cicha, snem zaczarowana,
A wkoło mgła z miesięcznej poświaty utkana,
Jakby rąbek wzorzysty, co ocienia łoże.

Dolina leży cicha, snem zaczarowana,
Milczy las smukłych świerków o brodatej korze.
Jakby rąbek wzorzysty, co ocienia łoże,
W górze, ciemnych gałęzi sieć wisi splątana.

Milczy las smukłych świerków o brodatej korze,
Paproć kryje świerkowych korzeni kolana,
W górze ciemnych gałęzi sieć wisi splątana,
Mdłe półblaski, półcienie majaczeją w borze.

Paproć kryje świerkowych korzeni kolana,
W powietrzu woń, lecz kwiatów dostrzedz wzrok nie [może,
Mdłe półblaski, półcienie majaczeją w borze,
Księżyc wyszedł i płynie jak łódź pozłacana.

Lucyan Rydel.

MARTWA PUSZCZA.

Cichy i ciemny bór. Gdzieniegdzie rdzawy
Mech się rozściela wśród pożółkłej trawy.
Głęboka, głucha, jednostajna puszcza,
W którą konarów sieć mocno splątana
Promieni słońca przez gąszcz nie dopuszcza.
Jak okiem sięgnąć, drzewa, drzewa, drzewa,
W oddali jedna, czarna, zbita ściana.
Nigdzie wiewiórka nie kląśnie schowana,
Bąk nie zabrzęczy, ni ptak nie zaśpiewa,
Ani gdzieś łanie, idąc ku strumieniom,
Zachodzą z boku rogatym jeleniom —
Martwo i niemo... Siwe głazy leżą
Wśród pniów zbutwiałych, paproci i wrzosów.
Nigdy tu jasnych nie widać niebiosów,
Nigdy się zorzą bór nie budzi świeżą.
Ta sama dawna ciemność bez granicy
Odwiecznie tutaj spoczywa w spokoju;
Żadne tu życie nie budzi zastoju —
Martwo i niemo w puszczy, jak w kostnicy.
Tylko się czasem mgły po drzewach włóczą,
Powiewne mary, ciche i złowieszcze;
Czasem pluszczące zaszeleszczą deszcze,
Albo huk gromu nagnanego tuczą,
Pomiędzy drzewa rozlega się głucho;
Czasem konary gięte zawieruchą
Szumią szeroko, jak w przypływie morze,
Lub od wichrowej złamany nawały,

Z łoskotem pień się obali spróchniały —
I burza przejdzie i znów cicho w borze.
Nigdy tu nie brzmi śpiew lub flet pastuszy;
Nigdy dziewczyna nie zabiegnie z dzbankiem
I piosnką ciemnej nie osrebrzy głuszy,
Lub pod konary nie wejdzie z kochankiem
Dłoni splątywać modrych kwiatów wiankiem,
I ust swych spajać z kochanka ustami,
I śnić i życia w to kłaść, że są sami...
Tu wieczna pustka, tu wieczne milczenie,
Tu, jako w piersiach, w których serce zmarło,
Cicho — nie zbudzi go jęk, lub westchnienie...
Ta puszcza jest już na wieki umarłą.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

LAS ŚPI.

Las śpi... Na kręte, zadumane ścieże
Upadły sennie krople srebrnej rosy,
Jakieś modlitwy ciche i pacierze
W niedosłyszalne zlewają się głosy
I płyną senne po brylantach rosy...

Seledynowe, miesięczne promienie
Spływają jasną, przejrzystą kaskadą
Pomiędzy drzewa... I złote marzenie
Na pogrążone w śnie polany kładą,
Wijąc się po nich taśmą dziwnie bladą...

Las śpi... a blaski płyną coraz jaśniej,
Kuszcze drżą w cichej ekstazie tęsknoty,
Świat się przedstawia pięknie, gdyby w baśni,

Po lesie przewiał cicho pół-sen złoty
I rozsnuł nici marzeń i tęsknoty...

I zamyślenie dziwne idzie knieją,
Księżyc szmaragdy sennych mchów całuje,
Rusałki płoche lubieżnie się śmieją
U srebrnych źródeł... ot, i baśń się snuje
A księżyc światłem senny las całuje...

Zlekka na czarem owiane paprocie
Demon północy kładzie swoją ciszę,
Las w księżycowej kąpie się pozłocie,
W coraz to łzawszą zapadając ciszę,
I tylko zefir do snu go kołysze...

Zygmunt Różycki.

LASY.

Rozrywają mi duszę kolory,
Rade buchnąć w jeden słońca krzyk:
Bory moje! praojcowe bory!
Drzew potężnych podobłoczny śmig!

Ścieżka, stopą deptana jelenią...
— Otchłań borów gra pode mną wkrąg —
Wrzosowiska się rude płomienią
Nad uśmiechem dolinowych łąk.

Strumień krętą kaskadą się sączy
Pośród głazów omszałych i pni,
W rytm tętniący, skupiony i rączy
Mego serca gorejącej krwi.

Bronisława Ostrowska.

LAS.

Noc jasna, gwiezdnem migotaniem gwarna
I przesycona jutrzni światłem białem.
Las cielskiem swojem, szarem, skamieniałem,
Wrósł w blade niebo, niby chmura czarna.

Wtem drgnęły drzewa, dziwną zdjęte trwogą...
Wiatr, co w gałęziach nieruchomie zwisał,
Wstrząsł się, rozbudził, rozgrał, rozkołysał
I zaczął szumieć posępnie, złowrogo.

Hej! jak konary tłuką się i skrzypią,
Jak szemrze liści rozszalałe morze! —
Jakieś się licho rozhukało w borze,
A liście z wiatrem sypią się i sypią!

I znowu cicho... tajemniczą burzą
Zbudzone gwiazdy złote oczy mrużą.

Henryk Zbierzchowski.

LAS MOCARZ.

Las mocarz przed wiekami królewnę Jezioro
Potężnemi przygarnął do piersi ramiony
I tak ją niewolnicą uczynił. Lecz ona
Do kolan mu przypadłszy, płacząca i korna,
Pobladłych ust broniła błaganiem i łzami,
Aż się zdumiał bohater nad tylą niemocy
I uwolnił ją z ramion gwałtownych nietkniętą...
A ona odtąd cicha stoi, przerażona,
W sitowie uplątana cała, jak we włosy,
I tylko z nią rozmawia niebo jasną nocą,

I tylko się jej gwiazdy uskarżają blade,
Że im nie wolno z wiatrem bujać, jak motylom,
I tylko lilje wodne, zaklęte Rusałki,
Wychodzą z wody, światłem zlane księżycowem,
Myć giezła białe, dotąd, aż królewic Jaśko,
Niezginkiem zwany zdawna, przyjdzie o miesiącu
Zgubionego pierścionka szukać aż hen, na dnie...
I wyjdzie doń najstarsza Rusałka — zaśpiewa,
I wyjdzie z wody druga — perłami zapłacze,
Aż wychynie najmłodsza — pocałuje w usta,
Ustami gorącemi w zimny zmieni kamień
I padnie wedle niego w trawę z pustym śmiechem!

I. *K. Iłłakowicz.*

LEŚNY MOCZAR.

Znam moczar pośród lasu, szafirową rzęsą
Omotany, jak skrzących klejnotów oponą.
Z trzcin tam tchnienia tajemne brylanty ros trzęsą
W miękkie wodnych łopuchów i kaczeńców łono.

Uśmiechają się ze dna ponsowe głębiny,
Dziwne kręgi i koła roztaczając zdradnie.
Czasem rośna łza tęczą rozśmieje się z trzciny
I w głębinę, jak iskra srebrzysta, opadnie.

Wiatr się zerwie, a z łodyg zielnego szuwaru
Całe morze skier w deszczu roztęcza się ponsie.
Lecą prochy klejnotów — a drgają — a skrzą się

Ponad senną głębiną leśnego moczaru.
W ciepłe, złote kolory maluje je słońce,
Ni to leśnych dziwożon łzy... w moczar lecące...

Jan Pietrzycki.

Z CHORAŁÓW LEŚNYCH.

I.

Zaszumiały leśne knieje
Rozhoworem drzew,
Zaszumiały leśne knieje,
W ciemnej gęstwie wichr szaleje
I wzmaga swój wiew.

Szumi, szumi rozszalały,
Mchami siwy bór,
Już rozbrzmiały drzew chorały,
Szumi, szumi rozszalały
Drzew potężny chór.

Ciągnie wicher hen! po lesie,
Drzew się wzmaga szum,
Ciągnie wicher hen! po lesie,
Szumy po gałęziach niesie,
Echa tęsknych dum.

Zaszumiały stare drzewa
O tym siwym mchu,
Zaszumiały stare drzewa,
Wszystko w jeden szum się zlewa,
Kołysze do snu...

Płyną drzew potężne szumy,
Płyną w lasu głąb,
Płyną drzew potężne szumy,
Szumią starych dębów tłumy,
Szumi każdy dąb.

Płynie lasu śpiew szumiący
W nieskończoną dal,
Płynie lasu śpiew szumiący,
Rozełkany, szlochający,
Płynie lasu żal...

II.

Szumi, szumi las natchniony,
Szumi stary las,
Poczerniały drzew korony,
Szumi, szumi las natchniony,
Krwawy zachód zgasł.

Księżycowa noc otula
Mchami siwy bór,
Księżycowa noc otula
Bór, po którym wicher hula,
Płynie szumów chór...

Płyną, płyną leśne chóry,
Płyną, płyną w dal,
Płyną, płyną leśne chóry,
Nieskończony hymn natury
Śród gałęzi fal.

Szumią liści świeże fale,
Wionął nocy chłód,
Szumią liści świeże fale,
Szumią, szumią lasu żale,
Napowietrznych wód.

Napowietrzne liści morze
Wzburzył wichru wiew,

Napowietrzne liści morze
Rozszalało się w przestworze,
Morze starych drzew.

Wpłynął księżyc zadumany
Na powietrza toń,
Wpłynął księżyc zadumany,
W leśne szumy zasłuchany,
Bije leśna woń...

Biją, biją leśne wonie,
Tchnie świeżością bór,
Biją, biją leśne wonie
I głąb lasu w mroku tonie,
Płynie szumów chór.

Wacław Wolski.

SZUMY DRZEW.

W zarosły patrząc staw,
Wśród krzewów, ziół i traw,
Sznur topól się rozsiada.
Od stu już z górą lat
Z nich każda patrzy w świat,
To patryarchów rada.

Tych drzew prastarych rząd,
On przetrwał czasu prąd
I wiele opowiada.
On wiele, wiele wie,
W przeszłości tonął mgle,
Tysiące ech w nim gada.

Gdy letnia, cicha noc
Świat ujmie w swoją moc
I gwiezdny płaszcz rozkłada,
Tajemny topól szum
Sto baśni szepcze, dum,
I snów nawiewa stada.

Snadź w każdem drzewie tem,
Z dalekich pięknych ziem
Zbłąkana, śni dryada?
Lub snadź słowiański bóg,
Za świątyń wygnan próg,
W dziedzictwie swem tu włada?

Natężam baczny słuch:
Przeszłości to w nich duch
Z swych marzeń się spowiada.
Lecz ciężki smutku trąd,
Gdy szumi drzew tych rząd,
Na serce mi opada.

Posępny jego szmer:
Dlań niema przyszłych er,
Zwątpienie nim owłada,
Na młody patrzy ród
I pierś mu grobu chłód
Przejmuje, trwoga blada.

Zanurzon w dawnych snach,
Drży, widząc w gruzach dach,
I podstaw już nie bada.
I straszna żre go myśl,
Że nad przepaścią d z i ś,
Że wielki lud upada.

Posępny jego gwar:
»Łódź schłonie morza war,
»Zaginie z nią osada.
»Przeminął szczęścia czas,
»Niewola zgnębi was,
»Jak ryś się nędza skrada.

»W tym wirze zdarzeń, lat,
»Zapomniał o was świat,
»Skończyła się biesiada.
»Wam nigdy — zda się — już
»Nie błyśnie nowych zórz
»Chociażby światłość blada.

»Zatrata — to wasz los,
»I próżny każdy głos,
»Już grobu krata spada!«
I żalem wielkim brzmią,
Rozpaczą, bólem, łzą
Te szumy. Przeszłość gada.

Lecz oto nowy wiew
Poruszył młodzież. Krzew
Kwitnący odpowiada:
»Kto ducha, krwi wziął chrzest,
»Ten będzie, był i jest,
»Ten nigdy nie upada.

»On, brnąc przez nędzy toń,
»Podniesie dumnie skroń.
»On wie, że wątpić — zdrada!
»On zwali ściany skał,
»Choćby je żłobić miał,
»Jak kropla. Gdzież zawada?

»Lecz szał raz zawiódł nas,
»Więc zwolna głaz na głaz
»Robotnik dziś układa.
»Wasz ciągle chwiał się gmach,
»Bo był bez podstaw dach,
»A tak się dom rozpada.

»Dziś zstąpić trzeba w głąb,
»Tam pracuj, kuj, a rąb,
»Niech każdy cegłę składa.
»Maluczkich braci ród
»Niech ujrzy światła wschód,
»Niech też się trudzi, bada.

»Dziś rąk nam, a nie łez,
»Połóżmy smutkom kres,
»Bo łzy — to nam zagłada.
»Precz żal, że oczy nam,
»Nim dojdziem szczęścia bram,
»Już rosa powyjada.

»Cóż my? Dla przyszłych lat
»Budujem, bo któż zgadł,
»Co losów da nam rada.
»U fundamentu stóp
»Jesteśmy. Wieży słup
»Snadź przyszłość ujrzy blada.

»Snadź tysiąc wzejdzie słońc
»I krwawo błyśnie mrąc,
»Jak dziś i za pradziada,
»A my, nie wiedząc gdzie,
»Będziemy szli we mgle,
»Jak złodziej, co się skrada.

»Na stanowisku wszak
»Niech czuwa każdy tak,
»Jak pasterz w noc u stada.
»Niech, gdy nadejdzie czas,
»Gotowych znajdzie nas,
»A nie jęczących: biada!«

Kwitnący umilkł krzew,
I znów rząd starych drzew
Z swych uczuć się spowiada.
Lecz teraz brzmiał ich szum
Weselszych echem dum,
Jak srebrna w mgle kaskada...

Miriam (Zenon Przesmycki).

SZUMIĄ DRZEWA...

Szumią — szumią — szumią drzewa
Szumem dziwnej melancholii,
Szmer falisty brzóz się wlewa
W metaliczny jęk topoli.

Liść z akacyi pada złoty,
Dąb utraca swe żołędzie,
Klon zielone swoje sploty,
Jesień siatkę swą już przędzie.

Szumią — szumią — szumią drzewa
W różne jęki — w różne tony,
Każdy liść inaczej śpiewa,
Różne szumy z różnej strony.

Słuchaj, co to za kantata:
Te adagia, piana, larga,
Dolorosa i irata:
Szmer — i szept — i łza — i skarga!

Szumią — szumią — szumią drzewa —
Różne szumy z różnej strony,
Wszystkich szumów dźwięk się zlewa
W chór jedyny — nieskończony.

Wszystko w jeden chór się zlewa —
W cichych skarg i łez symfonię —
Powiedz, o czem szumią drzewa?
O czem, powiedz, stary klonie!

Antoni Lange.

DRZEWA POLSKIE.

NA LIPĘ.

Gościu, siądź pod mym liściem a odpocznij sobie,
Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się najwyżej wzbije, a proste promienie
Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie.
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potem szlachci pańskie stoły.
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie.
Jabłek wprawdzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie
Jako szczep najpłodniejszy w Hesperyjskim sadzie.

Jan Kochanowski.

DO LIPY.

Lipo ty moja! nieraz w twoim chłodzie
Samotnych marzeń przeszły mi godziny;
Powiedz, kto ciebie sadził w tym ogrodzie?...
Czy skrzętna ręka przodków mej rodziny?

Czy powiew wiatru od Czarnego lasu
Przyniósł cię ziarnkiem i rzucił do ziemi?
A rosa niebios i długi prąd czasu
Podniósł i okrył gałęźmi bujnemi?
Liści twych gęstwą, jak kopułą wielką,
Słonisz od spieku zieloność trawników:
Lipo! rozkoszna siedzibo słowików,
I pszczół wyroju wonna karmicielko!
Jak ty odległe pomnić musisz dzieje,
Ilu pokoleń troski i nadzieje?...
Ile burz nad twem czołem przeszumiało,
Ile serc pod twem cieniem przebolało?
Pień twój szczerniony, pleśnią lat okryty,
Od gromów, wichrów dotąd niepożyty
Dumnie konary wznosi pod błękity;
A jak koroną, z każdem wiosny przyjściem,
Coraz bujniejszem odziewa je liściem.

Gustaw Zieliński.

JAWOR HEBANU DROŻSZY.

Kosztowne drzewo, wdzięczny jaworze,
Ty chocieś w głuchym się rodził borze,
Przecie natura tem cię uczciła,
Żeć dała głosu pięknego siła.
Przy twojem pieniu będziem weseli,
Puścić cię aż dzień nie będziem chcieli.
Tyś u nas w łasce, tyś u nas w cenie,
Twój koncert młodszych w taniec wyżenie,
Do niestawianej starszych przywiedzie;
Tyś dobrej myśli kunszt przy obiedzie.
Gdy hebanowy smyczek twe strony
Pogłaszcze, dajesz tak dziwne tony:

Zaraz się porwą w zawody młodzi,
Którym rumiana Venus rej wodzi,
Gdzie skocznym taktem wraz poskakują,
I alternatą panny częstują.
Tam wolno palce ścisnąć i dłoni
Wolno podrapać, której nie broni;
Może uszczypnąć, może nieznacznie,
Pieszczoną rękę całować smacznie.
A cóż ma heban nad cię jaworze?
Ty masz głos w cenie a on w pozorze.
On swym widokiem ucieszy oczy,
Po tobie wesół człek, gdy wyskoczy.

Wespazyan Kochowski.

SOSNA.

U stóp ja twoich leżę, sosno niebotyczna,
I patrzę na wyniosłe twe zielone szczyty —
I płuca mi rozszerza twoja woń żywiczna,
A myśl — jak rozbujany ptak — leci w błękity.

O, jakież mi pielgrzymki twoja zieleń szepce!
Boś ty drzewem wędrowców. Białe twoje deski
Były mi pierwszą łódką żeglowań; w kolebce
Unosiłaś mą duszę w marzeń świat niebieski.

I dziś, gdy oczy zamknę na świata orkany —
Na łożu z twoich desek, na białem twem łonie,
Płynę do złotych rojeń ziemi obiecanej,
Tyś mi nawą, falami — twe żywiczne wonie.

A oto przyjdą ludzie, co ostrzem siekiery
Wyciosają twój smukły pień — na maszt wysoki

Niby wieżę patrzącą w krańce świata cztery
I pchną cię na okręcie — na morskie potoki.

I uniesiesz mię, sosno, na zamorskie światy,
Na tajemnicze wyspy, tęczą malowane,
Gdzie w balsamach eteru duchów rój skrzydlaty
Śpiewa nieznane pieśni — do snu kołysane.

Ale inne mi jeszcze wędrowanie wróży
Białe pnia twego serce, ramion twych zieloność:
Trumnę będę miał z ciebie, śpiesząc do podróży —
Do podróży ostatniej — za świat, w nieskończoność!

Antoni Lange.

SOSNA.

I.

Rośnie ogromna sosna przy lesie u brzegu,
Wyniosła — ledwie szczytu dosięgniesz oczyma;
Niegdyś skromny towarzysz w olbrzymów szeregu,
Dziś, gdy pod stalą padli współbracia olbrzyma,

Kiedy potężne puszcze starł czas w swoim biegu,
Ona jeszcze koronę jak baldachim, trzyma
Opiekuńczo nad młodszą rzeszą — i pielgrzyma
Przyzywa na spoczynek, użycza noclegu.

Duma samotna sosna... Jakież sny i mary
Muszą ją tu nawiedzać w księżycowe noce?
Może książęce łowy? Grające ogary?

Owdzie chrząknie odyniec, tam niedźwiedź łomoce.
Potem — zgrzyt... jęk... znów głusza... i samotnik stary
Szumi w chór z szmerem rzeki, co blizko pluchoce.

II.

Mów mi, stara piastunko łowców i rycerzy,
Czyli w twych szumach płyną lat minionych gwary?
Czy może cicha skarga pokutnych pacierzy
A błaganie o koniec niedoli i kary?

Czasami zdaje mi się, jakbym szczęk puklerzy
Lub jakieś bohaterskie słyszał w nich fanfary;
To znów jakiś tak dziwny dźwięk ucho uderzy
Jakby w dzień zmartwychwstania głos dzwonów u fary.

Może to pieśń piastunki? Śpiewów babki nuta,
Zabłąkana w pamięci zagrała echowo?
Na wianek dla dziewczyny zasiewa się ruta —

W sercu sieją się pieśni... A może to słowo
Jutra? Może godzina w snach piewcy przeczuta,
Która idzie? O sosno, gwarz mi, szum nad głową!

III.

Szumisz, wiekowa sosno, — my z tobą do pary —
Jednakośmy samotni, i tęskni, i smutni,
Patrzący w jakieś jutra promienne sztandary,
Lecz dziś, jak prorok Judy, chmurni i pokutni.

Wiemy, że nie dla naszych ust skrzące puhary,
Ani pogodna nuta Czarnoleskiej lutni;
Że inni spiją wina — dla nas męty czary;
Gdy głos śmielej podniesiem — wnet ktoś krzyknie: utnij!

Ty patrzysz na wycięte puszcz drogich obszary,
Przed oczyma pieśniarza zgliszcza i pustkowie;
Lecz jest cudna legenda ludzi silnej wiary:

Za gwiazdą szukać prawdy szli przez świat magowie
I doszli, — któż śmie wątpić, co mu jutro powie?
Więc niech brzmią piewców hymny, szumią twe konary!

Adam M-ski (Zofia Trzeszczkowska).

SOSNA.

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujała jej głowa.
Pogiętymi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze
Z wiatrem sobie, szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca;
Każdy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca.
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna:
Wkońcu jeszcze przed zimą
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
— »Biedna sosno z mogiły!
»Czyś ty gromem przebita?
»Czyć robaki stoczyły?
»Czy ci żeru nie było
»W żółtym piasku z poblizka?
»Albo kamień swą bryłą
»Twe korzenie naciska?«

— »Och! mnie nie tknął grom z burzą
»I robaki nie toczą;
»Ziemia soków ma dużo,
»I mnie karmi ochoczo.
»Gdzie kamienie i głazy,
»Szłam z korzeńmi z daleka:
»Wrosłam — gorzej sto razy!
»W trumnę złego człowieka!
»Trumna zgniła na próchno,
»Zgniły w piersiach mu błonki,
»W serce trupa leciuchno
»Zapuściłam korzonki.
»Chłód mnie przebiegł grobowy,
»Gdym possała zeń trocha;
»Bo to człek był takowy,
»Co nikogo nie kochał!
»Pierwsze z piersi swej soki
»Dał cmentarnej choinie;
»Czułam, jak z tej epoki
»Brzydki we mnie jad płonie.
»Z jadem śmierci w mem łonie
»Byłam smutna — milcząca...
»Każdy wietrzyk, co wionie,
»Więcej kolców mi strąca.

»Próżno w ziemię rodzimą
»Nowe rzucać chcę ziarna...
»Ziarna zeschły — przed zimą
»Zginie sosna cmentarna«.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

WEJMUTA.

Noc bije czarnem skrzydłem w moje okno,
Noc puka cichą dłonią w moje drzwi
A z nią lęk wchodzi do mej izby ciemnej,
Wlatują ciche, szaropióre ptaki,
Bolesne sny
I nad znużoną moją głową krążą,
Jakby pierzaste, wielkie, ślepe ćmy,
Jak nietoperze szeleszczące głucho —
A u wezgłowia łoża mego siadła
Bezsenna zmora.

Na dworze sosna w wichrze płacze, łka,
Strażniczka wieczna, wierna okien moich
Skarży się głucho.

Ty nie śpisz, tęskna siostro sosno,
Sosno Wejmuto?
Ukoję duszę twą smutkiem osnutą,
Wysłucham twoich łkań...

W łagodne, dobre, miękkie ukojenie
Ukołysały ziemię nocy cienie,
A ty wybuchasz tęsknotą żałosną,
A ty się skarżysz...

Czemu się tak posępnie żalisz, siostro sosno,
Siostro Wejmuto?
Czemu ponurych łkań żałobą
Przez całą noc rozmawiasz sama z sobą,
W pochmurną noc wybuchasz wielkim płaczem,
Co leci w pustą dal echem tułaczem?
Czemu się tak posępnie żalisz, siostro sosno?
Czemu się duszy mojej żalisz, ciemna sosno?
O czem ty marzysz?

O, mów, ja słucham twej skargi!

Powiedz, powiedz cichym, tajemnym swym szmerem,
Szeptem swych czarnych gałęzi
Jaki twój żal...
Powiedz, powiedz! Głuchym, bezdennym
Jękiem rozpaczy zawodzi twój płacz!
Cicho, cicho wyszeptaj swój ból,
Ucisz swe serce...

Czarna noc w twoich skryła się konarach
I straszy ciebie!
Czarna noc w twoich czai się konarach,
Widma usiadły ciężko na konarach
I tłoczą ciebie...

Szum przytłumiony idzie z twojej głębi,
Szum niespokojny, jak ptak przelękniony,
Co trwożnem skrzydłem trzepoce wśród burzy.
Szum głuchy targa się, szarpie, szamoce
Wplątany w twardą uwięź twych gałęzi
I potężnieje i rośnie i huczy,
Jakąś złą mocą opętany, groźny!
A potem dziki, gniewny, zbuntowany

Dźwiga się chmurny, wyrywa się w niebo
I godzi w piersi wichrów swoim szałem
I wyje wściekle!
A wiatr przerażony
Przypadł ku trawom i strwożony dyszy...
Nie śmie się porwać ciśnięty o ziemię...

O, sosno, jak ty w wichrze płaczesz, łkasz!
Strażniczko wieczna, wierna okien moich,
Jak ty się skarżysz!!

O, wierzę teraz, że drzewa, jak ludzie,
Mają też duszę!
...Jak ludzie...
O, wierzę teraz, że drzewa, jak ludzie,
Mają też serca!
...Jak ludzie...
O, wierzę teraz, że drzewa, jak ludzie,
Niewypłakane, żrące noszą w duszy łzy.

O, wiem, że ból wytacza z serca drzew
Najdroższą krew,
Serdeczną krew!
Zranić cię musiał jakiś topór wraży,
Skaleczyć musiał twój wysmukły pień
I po twem gibkiem ciele, siostro sosno,
W pomroku twoja krew serdeczna płynie,
Krew, w której tętni smutek bezgraniczny...
Czuję jej woń,
Woń mocną twojej krwi żywicznej,
Płynącej z krwawej i otwartej rany,
Potwornym ciosem toporu zadanej —
Woń krwi ze serca, co pod korą śpi
Wśród czarnych twych konarów...

Czuję woń tęgą twej żywicznej krwi,
Żywicznej krwi...

Sosno, sosno, czemu tak nagle tajemny twój szept
Zamilkł urwany?
Sosno, sosno, czemuś siostrzane przerwała wyznanie,
Spowiedź twych cierpień żałosną? Mów!
Boisz się, siostro, wyszeptać twój żal?
Boisz się własnych swych słów?

Znieruchomiona bezbrzeżną boleścią,
Stoisz pomrokiem owiana —
Ramiona ciemne rozprzestrzeniasz w dal
I stoisz cicha, bez ruchu, wyniosła,
Groźna, surowa.
I nagle — milcząc — znów chwiać się poczynasz
Zwolna, bez szeptu,
Znowu kołysać i giąć się poczynasz
I przerażeniem dzikiem oniemiała
Rytmem straszliwej, bezmownej boleści,
Ruchem powolnym, równym i miarowym,
Leniwą wymową swej smukłej postaci
Zawodzisz skargę milczącą bez słów
Pieśń beznadziejną bez słów
Smutno, przeciągle...
Czemu zawodzisz tym obłędnym ruchem
Swojej zczerniałej kibici
Bezmowną skargę
W pomroczu czarnem, osowiałem, głuchem?

Sosno, sosno!
Ślepe swe oczy strach w mroku wyłupia,
Szklane swe oczy!
Trwoga mnie chwyta i drżę,

Że, oszalała, rękami konarów
Ciemne swe stronie pochwycisz
I zaczniesz szarpać czarne swoje włosy
I, milcząc, zaczniesz się chwiać i kołysać
I dziko zaczniesz się giąć i kołysać
I rytmem strasznej, bezmownej rozpaczy,
Ruchem powolnym, równym i leniwym,
Niemą wymową swej gibkiej kibici
Zawodzić zaczniesz wściekłą pieśń bluźnierstwa,
Wyjącą pieśń
Nad swą potworną boleścią!

A teraz stoisz nieruchoma, ciemna,
Tylko konarów końce lekko drżą,
Jakby kobiety obłąkanej dłonie,
Jak dłonie ramion naprzód wyciągniętych,
Co poruszają się lekko,
Jakby płoszyły jakiś sen bolesny,
Jakby broniły się rozpacznej myśli
Lub jakby kogoś uspokoić chciały,
Lub jakby duszę uspokoić chciały,
Że łza, co w serce upada, nie pali,
Że rozpacz szponem duszy nie rozdziera —
Jak gdyby ruchem swym zaprzeczyć chciały,
Że ból żre serce, że cierpienie boli...
Konary twoje ciemne lekko drżą,
Jak dłonie ramion naprzód wyciągniętych,
Co uspakajać chcą i czemuś przeczyć,
Choć same w niemą mowę swą nie wierzą,
Wierzyć nie mogą!
Nie mogą!!

Siostro sosno, siostro sosno,
Kończ swoją spowiedź żałosną! Mów!

Wejmuto! Jak ty w wichrze płaczesz, łkasz!
Strażniczko wieczna, wierna okien moich,
Jak ty się skarżysz!

Boleść swe czarne, ciężkie, gniewne, dłonie
Kładzie na duszę
Za każdym cichym twym szeptem...
Potworne, wielkie, twarde, głuche głazy
Lecą na serce
Za każdym smutnym twym szeptem...
O sosno, serce kona tysiąc razy,
Kona w męczarni
Za każdym strasznym twym szeptem!...

O, wierzę teraz, że drzewa, jak ludzie,
Mają też duszę!
...Jak ludzie...
O, wierzę teraz, że drzewa, jak ludzie,
Mają też serca!
...Jak ludzie...
O, wierzę teraz, że drzewa, jak ludzie,
Niewypłakane, żrące noszą w duszy łzy!

Sosno, sosno!
Hardość jest w twoim głuchym szumie,
Hardość boleści zaciętej w swej dumie,
Hardość gnębionych dusz!
Boś ty Północy córą, siostro sosno,
I twe siostrzyce i ja!!

Dzikość gór ciemnych jest w twym głuchym szumie,
Surowa dzikość odwiecznych puszcz leśnych,
Dawno zrąbanych...
Może wspomnienie twych ojców,
Sosno samotna,

Może wspomnienie twych ojców
I myśl, że jesteś samotna,
Napawa cię bolem?

O, coś z tajemnic głębin i dna,
Coś z bezdni nieznanych,
Przerażających bezmiarem i głuszą,
Jest w twoim szumie!

Przychodzą do mnie czasem o północy
Wieści tajemnic głębin i dna,
Wieści czeluści nieznanych,
Przerażających bezmiarem i głuszą...
Przychodzą do mnie czasem o północy
Mary milczące
O tak bezdennych, niezgłębionych oczach,
Jak toń przepastna ciemnej duszy mej...
O, nie śmiem spojrzeć w ich niezgadłe lice,
Bo obłęd piją z nich moje źrenice,
Obłęd przestrachu drżącego wędrowca,
Kiedy się ujrzy nad stromą krawędzią
Zawrotnej głębi!

Sosno, sosno!
Mary milczące o bezdennych oczach
Z twojego szumu powstają
I idą ku mnie...
O, biada!

. . . .

Siostro! Zamknijmy oczy!

. . . .

Jak szum twój jęczy i płacze i łka,
Strażniczko wieczna, wierna okien moich!
Musiałaś niegdyś widzieć o północy

Otwierające się u stóp przepaści —
Musiałaś niegdyś słyszeć szum podziemny
Otwierających się u stóp przepaści —
Że łkasz tak strasznie!

W przedbytu swego głuszy, siostro sosno,
Musiałaś niegdyś widzieć duszę moją,
Musiałaś ongiś spojrzeć w duszę moją,
Że o północy, gdy płaczące dzieci
Chcą czuć kojącą dłoń matki na czole,
Samotna trwogą łkasz nieuciszoną,
Niezapomnianem wspomnieniem
Mej dzikiej duszy!...

Zamilcz, zamilcz ciche, tajemne swe szepty,
Szmery swych czarnych konarów!
Zamilcz, zamilcz głuche, bezdenne
Jęki rozpaczy, obłędnych swych łkań!
Zamilcz, zamilcz! Zbyt wielki twój ból,
Bym go mógł uśpić!

Siostro sosno, siostro sosno!
Na wieki musisz, na wieki,
Bez końca, bez końca
Tęsknić, tęsknić — a w tej tęsknicy
Tętnić ból będzie bezbrzeżny!
Nie dano tobie, nie dano,
Jak mnie, o sosno samotna,
W śpiący spokój spowić swe serce,
Oblec obłocznym snem ciszy.

I szumieć będziesz tak, sosno łkająca,
Tak przerażona, smutna i samotna,
Wiecznie, bez końca, bez końca...

W rytm twego łkania i twojej boleści,
W rytm twego szumu szumi moja krew,
Jakby płynęła w twych żyłach...
I czuję, jak twych szumów głuchy wiew
Wsącza w me serce twą żywiczną krew,
Żywiczną krew...
Wsącza w me serce twój ból, żal, tęsknotę
I serce moje szumi, płacze, łka,
Jak wicher chmurnym, jesiennym wieczorem
Wśród uschłych drzew...
O, jak szaleje twa żywiczna krew
W mem sercu chorem!...

Siostro sosno, sosno samotna,
Sosno Wejmuto!
Patrz! Ukołysać chciałem twój smutek,
Utulić chciałem twój żal,
A teraz płaczę wraz z tobą...

Leopold Staff.

SOSNA.

Na złotych piaskach wyrosłaś,
O sosno!
Gdzie rdzawe mchy tylko rosną,
Ty w niebo czoło podniosłaś,
O sosno.

Stoisz jak mara cmentarna,
Sieroto!
Dokoła blaski i złoto,
Ty stoisz smutna i czarna,
Sieroto.

Sięgasz w lazurów gdzieś stropy,
Ty dumna!
Lecz kwiatów gromada tłumna
Nie błyszczy pod twemi stopy,
Ty dumna.

Bo nie dasz cienia tej ziemi,
O sosno!
I tylko rdzawe mchy rosną
Pod konarami twojemi,
O sosno.

Bronisława Ostrowska.

SOSNA.

Na turnicy niebosiężnej wzrasta
Karłowata, pokurczona sosna
I ze skrzypem modli się, by mogła
Wzwyż wybujać silna i radosna.
Cicho prosi sosna karłowata
O potęgę gór zielone garby,
I o świeżą krasę perły rośne,
By się odziać w piękna wszystkie skarby
I w wiosennej gloryi odrodzenia
Powstać młodej mocy wielkoludem
I zachwycić zgasłe we łzach oczy,
Opromienić szare głazy cudem.
Sokom ziemnym modli się, by mogła
Płaszcz naodziać szmaragdowy, gęsty...
Czeka, słychać w wichrze płacz jej cichy
I gałązek jej łamanych chrzęsty.
Nad turnicą rozszalała burza,
Krwawe nici wprzędła w czarne krosna

Nocnych niebios — wichr uderzył z gromem
I upadła rozpłakana sosna.
A z wykrotem jej wydarty ziemi
Błysnął skarb na mchów posłaniu rudem,
I zachwycił zgasłe we łzach oczy,
Opromienił szare głazy cudem.

Savitri (Hanna Zahorska).

DZIEWICZE BRZOZY.

Dziewicze brzozy, srebrne korą,
Liść sieją złoty w szmaragd traw.
Przez sieć gałęzi modrą morą
Prześwieca nieba skłon i staw.

Pogodą rana lśni polana.
Cisza opieszcza smukłość drzew,
Dygotem liści rozszeptana.
Źdźbła trawy kłoni lekki wiew.

Tak cicho jest i słodko wszędy
I tak przedziwny wkoło świat,
Jakbyś przed chwilą przeszła tędy,
Musnąwszy trawy skrajem szat.

Leopold Staff.

W ZACHODZIE.

Białe brzozy na cmentarnym łanie —
Smutne dzieci ziemi — —
Ciałkami różanemi
Biegą z wiatrem w liściach taić łkanie.

Omotają wiotkiemi rączyny
Kamienie żałobne — —
Niby sierotki drobne —
Naraz zmierzchu chłód je przejmie siny — —

Więc się tulą i patrzą z za świtek
Oczętami lęku — —
Idziemy po maleńku
Po ubóstwo piękne — nie po zbytek — —

I gdy kiedyś kamień mi położą —
O cmentarku wzgórzny!
Chciałbym spocząć podróżny
Tu pod dziecin tych różaną zorzą.

Wiosna — lato — przykryją zamiecie —
Wiatr rozniesie kości — —
Ej — proszę jegomości —
Niech nade mną zapłacze brzóz dziecię!

Zygmunt Zenon Idzikowski.

BRZOZY.

Wkoło świetlista modrość gra — a w dali, kędy
Krwawieją zórz rumieńce i mrą poszarzałe,
W zmierzchowych modrych szatach stoją brzozy białe,
Te ciche, kolumnowe, siwe, długie rzędy

Stoją — w wód zwierciadlanej szybie jak najgładszej
Odbite — zadumane o gwiazdach, tęskniące —
Rychło złote na włosach znów im zagra słońce —
A wieczór nań oczyma chabrowemi patrzy

I cicho kona we mgłę otulon przezroczą...
Owo noc już z ziarnami stoi gwiazd na czatach
I gasi rubinowe na lazurach łuny...

Szumią brzozy swój pacierz — w modrych szumią [szatach,
Siwe mniszki — a księżyc, kładąc im na struny
Włosów — lotną dłoń, dzwoni pieśń, jak cud uroczo...

Władysław Zalewski.

BRZOZA.

Nad zwierciadlaną, srebrną tonią
Marzyła brzoza wiecznie drżąca,
U stóp jej cicho fale dzwonią
I zefir zlekka o nią trąca...

Lubieżnie czesze jej warkocze,
Dziwną tęsknotą ku niej wzdycha,
Pieści u nóg jej wód przezrocze,
A ona stoi srebrna, cicha...

Wypłynął księżyc na niebiosa,
I gwiazd niebieskich błysły krocie,
A brzoza marzy srebrnowłosa,
W miesięcznej kąpiąc się pozłocie...

Niedosłyszalnym jękiem wzdycha,
Wysnuwa z siebie piosnkę złotą...
O czem ty marzysz brzozo cicha,
Do kogo taką drżysz tęsknotą?...

Może ty tęsknisz za tą ciszą,
Co idzie nocą sennym łanem,
Może do gwiazd, co się kołyszą
Na niebie smutnem, zadumanem?...

Może ty tęsknisz do kochania,
Co winno w sercach drżeć srebrzyście?...
Cicho... już świt się z mgieł wyłania,
A smutnej brzozy płaczą liście...

Zygmunt Różycki.

WIERZBA NA PUSTKOWIU.

Stoi wierzba płacząca
Nad ciemnem jeziorem,
Drży w promieniach miesiąca,
Kiedy wietrzyk ją trąca
Wieczorem.

Wkoło piaski wilgotne,
Rdzawe mchy i zioła,
Wody mętne i błotne
I pustkowie samotne
Dokoła.

Gdy na niebie zapada
Noc martwa, noc cicha,
Wierzba stoi tak blada,
Jak strwożona dryada
I wzdycha.

Patrzy smutna na sine
Niebiosa z ołowiu,
Na wód czarną kotlinę
I piaszczystą równinę
W pustkowiu.

Chociaż cisza panuje
Grobowa i głucha,
Coś ją zgrozą przejmuje,

Bo się w niebo wpatruje
I słucha.

Gdy zegary gwiaździste
Już północ zaznaczą,
Lecą duchy nieczyste,
Przez obszary piaszczyste
I płaczą.

Przybywają z noclegu
Wybladłe, skrwawione,
I siadają w szeregu
Pod tą wierzbą na brzegu,
Zmęczone.

Wspomnieniami ścigają
Stracony sen życia,
Nad przeszłością wzdychają
I zbutwiałe wstrząsają
Okrycia;

Wspominają swą siłę
I piękność młodzieńczą,
Upojenia tak miłe
I klną swoją mogiłę
I jęczą.

Klną poczęcia godzinę
I matki swej łono,
Swoich ojców, rodzinę
I słoneczną krainę
Straconą.

I złorzeczą ludzkości
I żywym na ziemi

Ich nadziejom, miłości.
I wzywają nicości
Nad niemi.

Księżyc twarz swą ukrywa
Za obłok, za ciemny,
Nagle wicher się zrywa,
A z nim władca przybywa
Podziemny.

I gromadzi swe straże
I hufce śmiertelne,
I po ziemi obszarze
Spełniać dzieło im każe
Piekielne.

Każe w strony rodzinne
Powracać i czuwać,
Wkraść się w strzechy gościnne,
Nocą serca niewinne
Zatruwać.

Tłumić lepsze natchnienia,
Siać nędzę i ciemność
I bezmyślność zwątpienia,
Co czyn każdy zamienia
W nikczemność.

By w narodzie, co słynął,
Rycerski, szlachetny,
Śmierci jad się rozwinął,
Aby upadł i zginął
Bezdzietny.

Wysłuchały z rozkoszą
Straszliwe rozkazy
I w powietrze się wznoszą
I po ziemi roznoszą
Zarazy.

Potrząsając skrwawione
Całuny posępne,
Lecą, każdy w swą stronę,
Wzniecać żądze szalone,
Występne.

Lecą z wiatru poświstem,
Stopione w mgłę czarną:
Kazić tchnieniem nieczystem
I siać w polu ojczystem
Złe ziarno.

I znów pustka milcząca —
Noc martwa i cicha —
Stoi wierzba płacząca,
Drży w promieniach miesiąca
I wzdycha.

Adam Asnyk.

WIERZBA.

W pustem polu, przy drodze,
Stoi wierzba sierota;
Wicher szarpie ją srodze,
Wierzba z jękiem się miota.
Łachman kurzu w dzień skwarny,
W zimie śniegu łachmany

Kryją szkielet jej czarny,
Długą walką stargany.

Wóz się zjawi ładowny —
Drzewa koło nie minie;
Przejdzie kramarz wędrowny —
Złamie gałęź wierzbinie.
Za owcami w dni letnie
Zdąży chłopiec pastuszy —
Łamie wierzbę na fletnie,
By grać na nich dla duszy.

A rzecz dziwna zaiste,
Jak gra fletnia wierzbowa!
Jakie tony ma czyste,
Jaki czar się w niej chowa...
Umie płakać sieroco,
Jak ptaszyna w niewoli,
Aż łzy w oczach migocą
I aż w sercu coś boli.

Dziwnaż wierzby tej siła...
To nie drzewo, lecz skała!
Tyle zim już przeżyła
I burz tyle przetrwała!...
Połamana, obdarta,
Druh i wróg ją wciąż gnębi —
Ona żyje uparta,
Kryje siłę gdzieś w głębi.

Z każdym rokiem i wiosną,
Wśród słonecznych promieni,
Znów gałęzie jej rosną,
Znów się wierzba zieleni.

I choć z wiosną jej nową
Nie ustaje niedola —
Nową fletnię wierzbową
Słyszą łąki i pola.

Stanisław Grudziński.

WIERZBA.

Nad wodą szarą, wodą smętną
Posępna, cicha wierzba stoi
I w wodę szarą, wodę smętną,
Patrzy i rosą płacze w nią — —
O czem ta wierzba śni i roi,
Czemu w głąb rzuca łzę za łzą?

O zmroku dzwon kościelny bije,
Z dalekiej wsi głos dzwonu dźwięczy:
Anioł pozdrawia to Maryję
Z śród łanów, z śród omglonych wsi — —
Wędrowiec kędyś w polu klęczy,
A wierzba w wodę rzuca łzy.

O wierzbo, wierzbo! Czemu cieką
Łzy z twoich liści w wodę szarą?
Że nad tą smętną rośniesz rzeką,
Że w fal jej szumie ból i jęk?
Że się żałobną, chwiejną marą
Mgła przez pobrzeżny snuje łęg?

O wierzbo, wierzbo, wierzbo smętna,
W liściach jest twoich dziwne łkanie,
I jakby krwi w nich biły tętna,
I jakby grzmiał ginących śpiew — —

Wierzbo, na chłopskim wzrosła łanie,
Czy korzeniami pijesz krew?

O wierzbo, wierzbo, wierzbo smętna,
Posępne drzewo ponad rzeką — —
Rzeka gdzieś płynie szara, mętna
Przez pola, lasy, między wsie — —
Wszystkie łzy twoje w serce cieką,
W każdej krwi kropli łza twa wre...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

DĄB.

Dopóki dąb nie straci swych zimowych liści,
Choćby słońce świeciło coraz promieniściej
I choćby gaj ci pachniał woniami edemów,
Póty nie mów, że wiosna już nastała. Nie mów,
Bo dąb, z czerwonym wieńcem na barkach olbrzyma,
Długo trwa na świadectwo, że nie przeszła zima;
Bo dąb powoli zbiera swe potężne soki
I powoli wiosenne przejmuje uroki.
Dość dla słabych pierwiosnków, dla lichych sasanek,
Gdy zlekka je ogrzeje pierwszy wiosny ranek;
Dość dla brzozy i wierzby skier bladego słońca,
Aby na nich zakwitła kiść zieleniejąca:
Ale dąb czeka jeszcze — za słabe to ciepło,
By zbudzić jego duszę snem zimy zakrzepłą.
Próżno zefir naokół jego głowy tańczy:
On nie czuje tej bladej wiosny samozwańczej.
I gdy sad, jak dziewica w narzeczonej szatach,
Bieleje, wykąpany w śnieżno-białych kwiatach
Jabłoni i czeremchy, śliwy i czereśni —
W ich szumie nie dosłyszy jeszcze dąb tej pieśni,

Która ma oczarować jego sen zaklęty.
Czeka wciąż. I gdy w stawach grają żab lamenty,
Kiedy pękną kasztany, gdy zabrzęczą żuki,
Kiedy puszczą jawory, i graby, i buki,
Kiedy zazielenieją rozłożyste klony,
I akacya — i jesion ku ziemi schylony;
Gdy nawet za ogrodem — daleko — przez pole —
Różowym się obłokiem już mgławią topole —
Dąb czeka. I dopiero, kiedy czas nastanie,
Że słychać już słowików miłosne śpiewanie,
Gdy fiołek już więdnie, gdy śród trzcin szelestu
Kwitnie bez i owocem trzęsie krzak agrestu;
Gdy pączek róży pęka i słowika wita:
Wówczas, śród drzew ostatni — stary dąb zakwita.
Powoli na jedwabną, zieloną murawę
Po kolei zeń liście spadają żółtawe
I powoli w ich miejscu z pączków się dobywa
Wiosennych, młodych liści świeża zieleń żywa;
Bo dąb powoli zbiera swe potężne soki
I powoli wiosenne przejmuje uroki:
Ale gdy w jego łonie nowy puls uderzy,
Wówczas zdziera martwotę zimowych puklerzy;
Ale gdy w jego łonie dość zbierze się żarów,
Po kres jesieni szumi pieśnią swych konarów.
Gdy rozpalą się żyły w jego lędźwiach mocnych,
Najogromniej zakwita bóg lasów północnych!

Antoni Lange.

JODŁA.

Wietrzno i pusto na brzegu twym, Wisło!
Wietrzno — i pusto — i chłodno, jak w trunie...
Nad ziemią, białą, niby trup w całunie,
Jak całun jaki białe niebo zwisło,

Las, mroźnym wichrem odarty z zieleni,
Drzew się gałęźmi czerni, rosochaty,
Jak dzika trzoda rogatych jeleni —
I jęczy głośno zrabowanej szaty...

O! jakże lubo za tym larw orszakiem,
W bezwładnej zimy milczącej dziedzinie,
Kiedy przed oczy nagle, życia znakiem,
Jedna zielona gałąź się wywinie!...

Twoja to gałąź, upiętrzona jodło!
Tyś, jako wawrzyn, wieszczej chwały godło,
Wokoło ciebie choć wszystko zwiędniało,
Nietknięta tchnieniem zagłady anioła;
Tobie, jak laurom — ach! bardziej przystało
Obwijać wieńcem ich natchnione czoła...

Bo laur, syn cudnej południa krainy,
Lśniący i gładki, jako liść wierzbiny,
Dziko odbija z bladego ich czoła,
Jak na pogrzebie muzyka wesoła.
A twoje wieńce, córo naszych kniei,
Żałobne, twarde, kolące jak ciernie,
Jakże wymownie, jak mówiły wiernie,
O wieszczych losów męczeńskiej kolei!...

Prawi poeci są jak pelikany —
Sami swe piersi rozdzierają własne,
I zowią ludzi, z ich czerwonej rany
By krwi gorącej pili strugi jasne.
A ludzkość?... śmiechem urągania płaci
Święte ofiary swej natchnionej braci,
I samotników, w twardą śmierci chwilę,
Bez łzy współczucia oddaje mogile...

Jodło ojczysta! tyż, duszo natchniona
Zlodowaciałe gdy łono opuści —
Grób przyjmie trupa w swe ciemne czeluści —
Tyż zaszum chociaż — i w niemej żałobie
Roztocz swe długie, piętrzone ramiona
Na samotnym wieszcza grobie!...

Roman Zmorski.

LIMBA.

Wysoko na skały zrębie
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu...
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żałobą
Chyli się ponad urwisko
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków rosnących nizko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowo!
Ona się w chmurach kołysze —
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie;
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeszy poziomej:
Woli samotnie z błękitu
Upaść — strzaskana przez gromy.

Adam Asnyk.

ŚWIERK.

Los go rzucił na skałę nieczułą a hardą,
Wśrów kurhanów praczasu, wśród górskich rozłomów.
Ćwierć wieku ten świerk pośród śniegów, burz i gro-
[mów
Prowadził bój rozpaczny o swą bytność twardą.

Gór tytany nań patrzą kamienną pogardą:
On, młodzieniec, żyjący pył, atom atomów,
Życie wszczepiać chce pośród ich martwych ogromów,
Ku słońcu dąży głową, młodą, tęskną, hardą!

Darmo zimny głaz tuli w korzeni ramiona
I czepia się z rozpaczą piersi skał świerk młody —
Gniewne góry wód orkan cisnęły nań z łona.

Bój zaciekły, lecz krótki, z paszczą wściekłej wody...
Trzasnął świerk... upadł... fala go zmiata spieniona...
I drzemie znowu pusty nekropol przyrody.

Franciszek H. Nowicki.

GRUSZE.

Idę polem, idę miedzą,
Siatka miedz mych na obszarze;
Na nich stare grusze siedzą,
Stare starych łanów straże.

Ongi jakieś dobre dusze
Zasadziły płonki młode,
By roboczy lud w posusze,
W skwarach cienia miał ochłodę.

Biegły lata niby rzeki,
Pod rozrosłe grusz korony
W bujne deszcze, w letnie spieki
Biegł się chronić lud znużony;

O sadzących snuł powieści,
O tych ludziach dobrej wiary:
Rzekłbyś dotąd, iż szeleści
Drzewo za nich pacierz stary.

Miła skroni spracowanej
Ta ochłoda w cieniu drzewa,
Och, bo jakże nasze łany
Krwawym potem was się zlewa!

A więc chwała każdej dłoni,
Jeśli skroniom pracownika
Da cień, co je w skwar osłoni
Lub napoi go z ponika:

Lecz gdy w burzę kto się chroni
Pod gałęzi gęstym splotem,

Lotny piorun za nim goni
I ognistym razi grotem.

Znać potomek starej Litwy,
Ongi czciciel perkunowy,
Ma już zakon z pola bitwy
Nie unosić trwożnie głowy.

Ileż ruin ten zakątek
Zasypało... ile zwalisk!
Chcesz do świeżych dojść pamiątek —
Szukasz niby wykopalisk.

Gdzie kościelne grały dzwony,
Dzisiaj puszczyk huka z wieży,
Stary cmentarz wieki czczony
W rumowiskach, w chwastach leży.

Racicami bydląt zryty,
Z pod piołunów, z zielsk pokrowca
Rozbitemi grobów płyty
Skargę wznosi do wędrowca.

A i w ludziach takież zmiany —
O kurhanach ledwie wiedzą...
Lecz też same szare łany
I też grusze na nich siedzą...

I nim przyszłość rylcem swoim
Nowych dziejów kartę spisze,
Zanim życie bujnym zdrojem
Zdoła wpłynąć w to zacisze,

Stare grusze, te strażnice
Ocalałe śród zgliszcz złomków,

Pomną ziemi tej dziedzice
I wołają na potomków

Pieśnią dziwną — o skrzydłaczach,
Co krwawemi świecą blizny,
I smutniejszą — o tułaczach
Nie mających ojcowizny...

Idą lata, lata płyną,
Zapadają w martwe głusze;
Nad uśpionych rzesz drużyną
Szepcą pacierz stare grusze.

Wiosną całe w biel odziane,
Latem w zieleń aksamitną,
Przy pszczół brzęku zadumane
Stare grusze rosną, kwitną.

A tak świeże ich zielenie,
Tyle mocy w liści szumie...
Może przyjdzie pokolenie,
Co w nim Ojców głos zrozumie?

Adam M-ski (Zofia Trzeszczkowska).

TOPOLA.

Wystrzeliła ku wyżynie
I w niebiosach zda się ginie
Topola.
W złote zorze — w barwy tęczy —
W srebrne chmury skronie wieńczy
Topola.

I wpatrzona w nieba zorze,
Tajemnice widzi boże
Topola.
Pełna bożej tajemnicy,
Czerpie siły z nieb krynicy
Topola.
Przeto stoi jak kolumna —
Niezachwiana — silna — dumna —
Topola.
Lecz czyż cała tkwi w eterze,
Czyli z ziemi nic nie bierze
Topola?
Nie — nad wszystkie inne drzewa
Głębiej sięga w ziemi trzewa
Topola.
I, w wyżynach kąpiąc czoło,
Naokoło widzi sioło —
Topola.
Widzi kwiaty — widzi chaty —
Widzi złotych pól kwadraty
Topola.
Widzi w okrąg całą ziemię
I rolnicze widzi plemię
Topola.
I w podziemne sięga cienie,
Kryjąc w głąb jej swe korzenie
Topola.
W głąb — w jej żyzną pierś gorącą,
Kochającą — i karmiącą —
Topola.
I z podziemnej ćmy głębokiej
Życiodajne czerpie soki
Topola.

Jedną siłę bierze z nieba —
Drugą z ziemi czarnej chleba
Topola.

Antoni Lange.

NADWIŚLAŃSKA TOPOLA.

Na rozstajnych dróg brzegu,
Zwanych »Dyablim Gościńcem«,
Gdzie skowyczy wiatr w biegu,
Przelatuje kurz młyńcem,
Gdzie krzyż wznosi ramiona,
Na las patrzy, na pola —
Stoi bujna, zielona,
Nadwiślańska topola.

Płaszcz okrywa szeroki
Jej ramiona i biodra —
Przez mgły patrząc, obłoki
Potężnieje pierś modra;
Lecz gdy blask się spromieni,
Złotem spłynie w dal rola —
Stoi znowu w zieleni
Nadwiślańska topola.

Rozpuściła włos długi,
Drży w powietrzu przezroczem —
Mógłby taki krzyż drugi
Skryć się pod tym warkoczem;
Tak gałązki w dół zniża,
Tak go zewsząd okola —

Aż okryła słup krzyża
Nadwiślańska topola.

Gdyby nie lud, co czoła
Tam uchyla i klęka,
Nikt nie wiedziałby zgoła,
Że tam Pańska jest Męka.
Ale każdy przechodzień,
Każda zna go niedola —
Słyszy modły tu codzień
Nadwiślańska topola.

»Zdrowaś Marya!« W łez strugi
Szept się zmienia i ginie...
»Łaskiś pełna« — głos drugi
Z drżących piersi wypłynie...
A nad nimi, pobrzeżem
Dróg rozstajnych wśród pola,
Szumi cichym pacierzem
Nadwiślańska topola.

Lecz powionął wiatr z dala
Zimną, dżdżystą jesienią —
Płynie wichrów tych fala,
Barwy listków się mienią:
Grunt rozmokły i grzązki,
Czarne lasy i rola —
Wznosi nagie gałązki
Nadwiślańska topola.

Niema szaty z zieleni,
Konarami wiatr targa —
Lecą szmery w przestrzeni
I jęk, i płacz, i skarga...

Krzyż zaczerniał cmentarnie,
Wzniósł ramiona na pola —
Do tych ramion się garnie
Nadwiślańska topola.

Kazimierz Gliński.

TOPOLA.

Przy cmentarzu, nad rzeką, jak warta,
Stróżująca zapadłym mogiłom,
Piorunami topola rozdarta
Przeciwstawia niszczącym burz siłom
Moc trwania.
A gdy szara godzina uderzy,
Za cmentarny przechyla się parów,
Nad grobami uśpionych rycerzy,
I zadaje szelestem konarów
Pytania.
Wówczas każdy grób wzdryga się darnią
I z łoskotem się głębiej zawala,
Bo je pyta swą całą męczarnią
I tym gromem, co wciąż się zapala
W pniu czarnym.
Lecz odpowiedź nie zatli się w próchnie
Mogił wzrosłych w dżdżu krwawym, w łez rosie
Póty, póki pożarem nie buchnie
Święty ogień, co zagasł na stosie
Ofiarnym.
Milczy cmentarz posępny i głuchy,
Jeden wicher w nim ciszę zamąca,
Co topoli rozdartej pień suchy
Swym szalonym podmuchem potrąca
I zgina.

I z wściekłością gałęzie obrywa
I unosi daleko na pole;
A topola tak jęczy, jak żywa
I bolesną, wiekową swą dolę
Przeklina.
Pod nią rzeka spieniona i mętna
W mgły oparach się wije, jak w dymie,
Słychać westchnień ogromnych jej tętna
I kłębiące się w piersiach olbrzymie
Jej wiry.
A nad wszystkiem się zwiesza żałośnie
Noc i, niby samotna dziewczyna,
Co tka szychem całuny na krośnie,
W mroczne niebo złotogłów gwiazd wpina,
Jak w kiry.

Gustaw Daniłowski.

KOSODRZEW.

Czy znacie wy pustyni tajemnicze głosy?
Szedłem przez kosodrzewu puszczę zgruchotaną
Głazami gór i śniegiem lawin pooraną,
A kosówki szumiały, bając swoje losy:

Wy! granitu ogromy, zwietrzałe kolosy!
Ciskajcie na nas złomy, falę wód zhukaną,
Zasypujcie śniegami — my idziemy ścianą
Na was zwolna, lecz ciągle — za nic ważąc ciosy.

Gdy my legniem w tym boju, tłum nizki i podły,
Z naszych prochów się zrodzą większych synów szyki,
Wielkie lasy — i będą nasz bój dalej wiodły.

I gryźć będą korzeniem waszych łon tajniki,
I szturmować wam szczyty pod naszemi godły,
Aż pogrzebią was, trupie przeszłości pomniki!

Franciszek H. Nowicki.

KASZTANY.

Kasztanów owoc spada... Park dziki, zarosły,
Barw akordy, szelestów gamy zorkiestrował,
Listowia ruń bronzową wietrzyki przyniosły
Na całun dla drzew, burzą zwalonych na pował.

Pył subtelny, w słonecznych pasmach rozsypany,
Głowinę pacholęcą pieszczotnie ozłaca:
Wątła roślinka miejska podnosi kasztany
Prześliczne, jak za szybą pełna ciastek taca.

Z mozołem wielkim wlokąc rachityczne nóżki,
Niemal starczą wyblakłość swej czupryny lnianej
Raz w raz skłania, by podjąć dar jesieni wróżki,
Klejnoty października — błyszczące kasztany.

Przedziwna jest dziecięcych rysów chiromancya:
Nieuchwytna, jak zwrotki, które niemoc bazgrze...
W ziębnących smugach światła — główka jak mon-
[strancya.
— Dziecino! po kasztany ja przyszedłem także.

Stanisław Miłaszewski.

JABŁOŃ.

Stoi w moim ogrodzie jabłoń rosochata.
Co rok mróz ją porywa w swe białe ramiona,

A potem z pieszczotami spływa maj, a ona
Gra wonią i różowe kwiaty w włosy wplata.

Aż raz skąpana w deszczu wichura skrzydlata
Strzaskała jej pień czarny. Myślałem, że skona;
Lecz nie padła — i cała ku ziemi schylona,
Tak skraśniała owocem, jak żadnego lata.

A ja się na to drzewo jasnem okiem patrzę,
Bo znam dusze, dla których rozkosz od cierpienia —
I majowe uśmiechy są od szronów rzadsze, —

Co, jak pień, zdruzgotane i krwawe, jak wyłom,
Urągają potęgą płodu i mogiłom
I łzom i huraganom i paszczy zniszczenia.

Władysław Sterling.

JABŁONIE.

Mój ojciec sad ma piękny, a w tym pięknym sadzie
Wyrosły mu przeharne i bujne jabłonie,
W których kwieciu słoneczko dzień w dzień spać się
[kładzie.

Radosne szczęściem własnem ślą rozkoszne wonie
Na wszystkie strony świata i do wszystkich ludzi,
I czarują ich serca, ściskają dusz dłonie.

I każdy, kto się pracą owocną utrudzi,
I każdy, który głodny, napoju spragniony,
Głód ich wonią ukoi, pragnienie ostudzi —

Gdyż ojciec cud mi zadał... (niebu wykradziony...)

Feliks Gwiżdż.

KALINA.

Na skale pod lasem samotnie
Dziewicza wykwitła kalina,
Czasami swawolnie, przelotnie
Gałązki jej wietrzyk ugina,
I dziwne jej szepce powieści,
O szczęściu, co życie umila,
A ona go słucha w boleści
I czoło ku ziemi pochyla.
Spogląda na krzewy zielone,
Na gaje w około szumiące,
I w tkliwym uścisku splecione,
Nad wodą dwie brzozy płaczące!
I skarży i więdnie cierpieniem,
Samotna na skały tej szczycie,
I wraca zatonąć spojrzeniem
W milczącym niebiosów błękicie,
Z wyrzutem, dlaczego w uwięzi
Samotna, bez celu, przyczyny?
I łzy jej po wiotkiej gałęzi
Krwawymi spływają rubiny.
»Nie uwódź się złudnym pozorem!« —
Tak mówi jej, ciesząc stęsknioną,
Ta gwiazdka, co świeci wieczorem,
Nad ciemną jej głowy koroną;
Nie pragnij z ustroni, ze wzgórza
Zejść między sióstr twoich drużynę,
Co wieńcem u twego podnóża
Wesołą objęły równinę!
I one, wzrok wznosząc ku górze,
Zazdroszczą ci twego wygnania,
Gdy błyszczysz w zachodu purpurze,
Gdy świecisz perłami zarania!

Gdy wietrzyk w gałązki ich trąca,
Choć śmieją się ziemi, choć gwarzą,
Ty patrzysz w ten błękit bez końca
I marzysz, jak one nie marzą!
Wieczorem na skale, co dumnie
Nad mrokiem się wzniosła padołów,
W miesięcznych lśnisz blasków kolumnie
I słuchasz modlitwy aniołów,
Co dźwięcznie o ziemię potrąca,
Gdy wszystko się do snu ułoży,
Gdy cisza panuje milcząca
I czuwa sam tylko duch Boży.
Więc nie skarż! bo wszystkim na ziemi
Łza obok uśmiechu się mieści,
I gdzie się kwiat szczęścia rozplemi,
Wyrasta wraz z cierniem boleści!

Marya Bartusówna.

NAD WODAMI

BAŁTYK.

WSPOMNIENIE Z BAŁTYKU.

Powiał wicher bujny — i szeleszcząc wpada
W rozpoztarte żagle, szamoce linami,
Pełnemi go garnie łakomie piersiami
Wędrowna na łodzi gromada.

Dalejże na morze!... Łódź w górę podniosła,
Jak dwa srebrne skrzydła, dwa wilgotne wiosła;
Wędrowna drużyna wzniosła w górę dłonie,
Żegnalne westchnienie rodzinnej śląc stronie.

Łódź strzepła żaglami — milczące fal łoże
Zawrzało — zbielało — milionem skier prysło...
O żółty nasz brzegu! biała nasza Wisło!
Bywajcie nam zdrowe!... Na morze! na morze!

Na morzu ponuro. Szare, jak z ołowiu,
Niebiosa z szarymi wałami się sprzęgły;
Zdala tylko jeszcze, jak księżyc na nowiu,
Złocisty sierp wązki zaznacza ich węgły.

To nasze wybrzeże!... I to się w mgle kryje...
Nic, tylko wody — niebiosa — i wody...
Straszno! — Hej! pieśń w górę!... pieśń, córa swobody,
Tę grozę pustyni rozbije...

Aż pieśnią zbudzone bałtyckie powodzi
Zadrżały, i jęły podnosić się całe —
I gwarnie, gromadnie, aż do naszej łodzi
Bałwany cisną się białe.

Wtem — zagrzmiało — zczerniało — i patrzcie tam w dali
Jakiż olbrzymi korab' z mroku się wynurza?
Pędzi — a wkoło niego prysk i wycie fali —
O, biada nam! to morski rozbójnik — to burza!

Z śród groźnie piętrzących się wałów, do góry
Powietrznej trąby strzela maszt wysoki;
Gęstej mgły mu żagle osłoniły boki,
Na szczycie banderą czarna szmata chmury.

Uchodzić?... nie pora! A więc naprzód, śmiało!
Zmierzmy się z korsarzem potężnym.
Gdzie innych strach mrozi, nam walczyć przystało;
Gdzie zgon niedołężnym, zwycięstwo tam mężnym.

Czółn stanął. Na czółnie stanęła dokoła
Osada, z gotowem do walki ramieniem;
I burzy zuchwałe nastawiając czoła,
Groźnie ją iskrzącem wyzywa spojrzeniem.

I patrzcie!... Korab' burzy także stanął nagle!
Męstwa serc naszych wzrokiem błyskawicy bada —
Okręca się — podaje do odwrotu żagle!
Pierzcha! — i w zmierzchu dali, jak widmo, przepada..

Cóż to? toż naszych wejrzeń i wyzwania znaków
Ulękła się i pierzcha nawała złowroga?...
Ha! nie dziw, że pierzcha, że zmogła ją trwoga —
Drżeć niezdolnych poznała wojaków!...

O bracia! to dla nas wyrocznią niech będzie!
Jak te chmury, tchnące klęską,
Pierzchły w niszczącym zapędzie
Przed naszą rozpaczą męską —

Tak te wszystkie groźne w drodze naszej progi,
Co dziś nas, z daleka, tak straszą,
Gdy im oko w oko spojrzymy bez trwogi,
Rozwieją się w niwecz przed odwagą naszą!

Roman Zmorski.

BAŁTYK.

O morze! sine morze! kto nad cię piękniejszy?
Z wszystkich Stwórcy objawień, kto większy od ciebie?
Nic twych wdzięków nie zgasi, wielkości nie zmniejszy;
Piękneś w obliczu ziemi, i piękne przy niebie,
I wielkie, i ogromne, jakby Bóg cię stworzył,
Aby wieczność wystawił, ludzi upokorzył.

Czy słońce się przegląda w twej zielonej fali,
I, topiąc swe promienie w przezroczyste głębie,
Stem barw ciebie ubiera, płomieniem zapali,
Lub maluje, jak opal, jak szyje gołębie,
Czy noc czarna zapadnie, Menes wejdzie blady,
I strugą światła srebrną wysypie swe ślady,

Ty zawsze wielkie, piękne, ty zawsze cudowne!
Oko ludzkie, co na twych przestrzeniach spoczywa,

Drogie myśli z twych głębin, obrazy czarowne,
Droższe pereł, korali, nurzając, dobywa;
A ucho, twego głosu słuchając zdumiałe,
Zda się słyszy, jak w niebie nucą Bożą chwałę.

Ciche, tyś wielkie, straszne w swoim majestacie,
W lazurem, zielonością wyszywanej szacie;
Zburzone, ty falami bijąc brzeg zszarpany,
Ryczące, z wnętrzności białe wyrzucając piany,
Trwogą napełniasz serce, duszę niepokojem,
Jakbyś ziemię pochłonąć chciało w łonie swojem.

Morze! czemuż ten, co cię pokochał namiętnie,
Jak pierwszą miłość w duszy, pamięć twoją chowa,
I wspomina o tobie z uniesieniem, smętnie?
We snach ku twoim brzegom zwraca mu się głowa
I serce na szmer fali podnosi się twojej,
A w oczach wciąż twa wielkość i piękność mu stoi?

Józef Ignacy Kraszewski.

BALTYK.

Jeszcze po świecie starożytnym słynne
Były te wody i lądy bursztynne!
Ku nim to Fenik biegał w bród daleki,
Ku nim Słowianin korabli czeredą
Pływał — i kupię składał pod Wenedą.
Ku nim to, ku nim, płyną nasze rzeki —
Co ziemia zrodzi i co kmieć przysporzy,
Chętnie i cało odnosim w czas boży...
Co jeno Bóg dał — to domowe łodzie
Niosą im w darze po gościnnej wodzie,

Ale jak stara wiecznie boli blizna,
Tak od północy wieje Pomorszczyzna...

Wincenty Pol.

SZUMIĄ BALTYKU CIEMNE, ZAPIENIONE FALE...

Szumią Baltyku ciemne, zapienione fale,
U podnóża północnych sag mgliskiem zasnutej,
Smętnej, bladozielonej mogiły Biruty,
W tęsknoty do pogańskiej Litwy dzikim szale!..

Szumią, niby litewskich wajdelotek chóry,
W przemijania rytm smętny, dziki, rozszlochany,
Ciskając w szale kłęby śnieżnej, słonej piany,
Na brzeg Baltu sierocy, piaszczysty, ponury...

Szumią o litewskiego grodziska bursztynie,
Któremu, przy Baltyku pieśni wichrogłosej,
Podmywały skarp nogi ich pian śnieżnych włosy,
Których wizya w wieczności przemijania ginie...

Szumią w dzikiej, pijanej nocą anamnezie,
Jak od tego smutnego, północnego brzegu,
Na srebrnoblachych łodziach, w kipiących pian śniegu,
Odbijali zakuci w zbrój bursztyn witezie...

Jakaś pogańskiej Żmudzi klechda — odysseja,
Śniona przez litewskiego lirnika — Ossyana,
W truchtowych pianach Baltu chmurnego skąpana,
Niby pieśń morskich piekieł ryczących Orfeja...

Wacław Wolski.

JEZIORA.

DO GOPŁA.

Ziemicą Piasta szeroko rozlane,
Witaj nam, witaj, Gopło kujawiane!
Jak tło przeszłości, fale twoje ciemne,
Jak powieść ludu, głębie twe tajemne!...

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?
Czy się korabie po twych falach pławią?
Czy słuchasz modłów pobożnych żeglarzy?
Czy wiosna pieśnią wita cię żórawią?
Czy orzeł jeszcze nad tobą się waży! —

— Dawno już, dawno po mojej tu wodzie
Nie chodzą więcej te ładowne łodzie —
Nie słyszę modłów, nie widzę żórawi,
Ani się orzeł po powietrzu pławi;
Ale się niebo przeziera w mej fali,
A czasem gwiazda nad nią się użali.

Wincenty Pol.

GOPŁO I LECHOWA GÓRA.

Tysiąc wspomnień jak flota pływa w sercu mem,
Jasno mi jak przy zorzy! Jak na wiosnę błogo!...
Lecz nie jestże to złudą?... Nie byłoż to snem?...
Widoki tak czarowne tylko śnić się mogą!

* * *

Kiedyż jeszcze tobą zasnę,
O mój śnie nad sny?
Szłam przez wody wielkie, jasne,
Przez rosy i mgły.

Szelest wodny mówi, wzrasta
W stu pokoleń szmer...
Wśród nich widzę, jak duch Piasta
Dziejów wiedzie ster.

Jego łódką wieczna chwała,
Jego wiosłem własny trud,
Jego czołem Polska cała,
Jego sercem lud!

Duch Popiela, drżąc z daleka
U wieżycy strasznych bram,
Patrzy w Piasta i narzeka:
»On z narodem, — a ja sam!«

I znów cichną dziejów burze,
I za duchem znika duch...
Tylko pluszczą wodne róże
I łabędzi błyska puch.

Jak ta woda mnie zachwyca!
Żywym mi się wzrokiem zda;
Gopło, to Polski źrenica,
Gopło, to jej łza.

* * *

Sen mój się przerwał... jak i gdzie, nie pomnę,
Ale pamiętam, że orzeł w mym śnie
Na jakieś szczyty błękitne, niezłomne,
Jak rumak chwycił i unosił mnie.

* * *

A gdy pochylałam czoła,
Sądziłam przez mgłę wieczora,
Że w naszyjniku anioła
Perły zerwały nić złotą
I ku ziemi się stoczyły...
Tak u Lechowej mogiły
Rozsypały się jeziora,
Milczące niebios tęsknotą...

Nagle w niebieskiem weselu
Wstrząsnął się monarcha dzwonów,
Nazwany świętym Wojciechem.
— Jeśli Zygmunt na Wawelu
Jest odgłosem Jagiellonów,
Dzwon gnieźnieński — Piastów echem.

Spiż zamilknął jak przegrywka,
I oto śpiew z nieba bieży:
Płynny jak potoki miodów,
Prosty jako w szopce śpiewka,
Błyszczący jak szczęk puklerzy,
Ogromny jak chór narodów.

Słuchają fale i drzewa,
Świat klęczący się zachwyca,
Skądże pieśń ta? ach! to śpiewa
Boga-Rodzica Dziewica!

* * *

Byłże tylko ułudą cudny widok ten?
Widmo senne, choć w myśli najsilniej przebłysło,
W sercu uczuć nie wzbudza; — a wszak ja za Wisłą
Sercem tęskniłam? sercem!... więc to nie był sen.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

PRZECHADZKA NAD GOPŁEM.

O, jakie cudne dzisiaj to rano!
Noc już pierzchnęła, a tam rozsiano
Wraz rubinowe perły na wschodzie,
Byś większe hołdy oddał Przyrodzie.
Ona dziś mroźną dłonią rodziela
Śnieżne całuny na wonne ziela,
Och, i wiośnianą radość ci skłóci,
A jutro znowu ze snu ocuci
Zamglone niebo, zamarłą ziemię
I znowu zdejmie z piersi twej brzemię,
Które ci wylew pieśni tłumiło!
Twórcza Przyrodo! z jakąż to siłą
Pragnąłbym wdzięki twoje opieśnić,
I tak mą wiosnę, me życie prześnić!...

O, jakie cudne dzisiaj to rano!
Patrzcie, z rubinów siatkę utkaną
Przecina słońca promień złocisty
I blask przelewa w ten eter czysty!

Blaskiem już rozwiał sine mgieł duchy,
Blaskiem roztopił szronu okruchy —
Aniołów wiosny nic dziś nie spłoszy,
Toż więc zażyjmy razem rozkoszy,
Razem wychylmy czaszę nektaru,
Jaką nam poda wśród tego czaru
Postać urokiem pieśni owiana,
Pani goplańskiej fali — Goplana.

I wnet w tę stronę brać nasza bieży
I wnet się zjawia skroń »Myszej Wieży«
Na przeźroczystej niebios przestrzeni,
A przy jej łonie w olbrzymiej cieni —
Spoczęły dawne ojców cmentarze —
Niby w bojaźni, bo dłonie wraże
I namogilną ziemię naruszą
I proch ten święty w twarz nam rozprószą!
Niechże kalają tak nasze groby,
A my, odziani kirem żałoby,
Będziemy czaszką bawić się trupią
I wciąż patrzając, jak ci nas łupią,
Będziemy ssać z niej posilne płyny,
By myśli nasze zamienić w czyny.
Niechże kalają!... a w polskiej pieśni
Znajdą dziś tyle jadu rówieśni,
Że gdy uchwycą gęśl dłonią rączą,
Wnet z niej trucizny wrogom nasączą!...

I szliśmy brzegiem blizko a blizko,
A tuż przed nami sterczy grodzisko:
Kurhan niezwykły, kopiec wyniosły,
Zewsząd cmentarną trawą porosły,
A w krąg objęty ramieniem wody!
Nas on nie wabi wdziękiem urody,

Bo dziś mu zwiędły polnych ziół wieńce
I dzikich róż mu zgasły rumieńce,
A nowa szata jeszcze nie zsnuta,
Bo wiosna, ledwie z więzów wyzuta,
Nie zaczerpnęła tyle och! siły,
Aby odmłodzić stare mogiły!...
Więc nas urodą swoją nie nęci,
A jednak było w naszej pamięci,
Wypocząć sobie na jego łonie:
Myśl przebiegała przeszłości błonie,
I wnet spostrzegło duchowe oko,
Gdzieś poza mglistą, mroczną powłoką,
Żywe obrazy. Jakoweś tłumy
Przy Bojanowej odgłosie dumy
Niosą wśród grodziszcz ofiarne znicze
I stroją w kwiecie bóstwa oblicze.
Zewsząd brzmi raźno: »Łado, och! Łado!
Ty nas dziś chronisz przed tą zagładą,
Przed tymi więzy, w jakie lustrzany
Zimą ujęty pałac Goplany,
Dłonie twe świeże wianki rozpięły,
Gdzie prochy ojców w urnach spoczęły!...«

Więc to grodziszcze! więc przodki stare
Czynili tutaj bogom ofiarę
I prochy przodków w urnach grzebali!
My z namaszczeniem będziem patrzali
Na te omszałe naczyń ostatki,
I będziem łzami wilżyć te kwiatki,
Które więdnieją śród dawnych zgliszczy!
Czy nam kto wtenczas skarby te zniszczy?
Czy nam kto wtenczas rzec się ośmieli,
Że już w bezdennej giniem topieli,

I że nam wszystko poświęcić trzeba,
Aby uzyskać chociaż kęs chleba?...
My nie poświęcim uczuć dla zysku,
Lecz przy miłości świętem ognisku
Rozgrzejem dusze i serca nasze,
I do biodr swoich każdy przypasze
Miecz taki silny a taki płytki,
Że obronimy nasze zabytki!

I tak chcieliśmy na grobu szczycie
Wziąć za wyrocznię ubiegłe życie
I spytać urn się, czy nam klucz boży
Żelaznych kajdan zamki otworzy...
Tymczasem niebios modre namioty
Wnet się zmieniły w baldachim złoty,
Osłaniający słońca łożnicę,
A na powierzchnię wód topielice
Z liliowego wstały posłania,
Kryjąc się w srebrne fałdy ubrania,
Wabiącej pieśni zanucą zwrotki,
Aż oczarują umysł nasz wiotki.

Wzięliśmy czółno, by wszyscy razem
Za tym uroczym płynąć obrazem:
Nie trzeba było pracować wiosły,
Bo lekką łódkę Goplanki niosły,
A tak sunęły ją po krysztale,
Że ledwie zlekka trącone fale
Och! koralowej nie tknęły tkanki:
Niebiosa miały lice kochanki,
Co za wybranym tęskniąc młodzieńcem,
Płonie czystego żaru rumieńcem,
A chcąc zachwycić swymi go wdzięki,
Zrywa ku temu na łące miękiej

Wonne fiołki, białe lilie
I już weselne zwoje z nich wije.
Wiośnianych uczuć wraz ją iskierka
Do zdrojowego wiedzie lusterka,
A te wstydliwych licu korale
Nawet nie gasną w zimnym krysztale,
A ten ognisty zapał źrenicy
Nawet nie stygnie w mroźnej krynicy!
W Gopła zwierciedle gładkiem, szerokiem,
Niebo gwiaździstym patrzało wzrokiem,
A spiąwszy namiot nad grobem słońca,
Roniło krople pereł bez końca,
I ognia, którym chciało nas złudzić,
Nie mogło zimno wody ostudzić!

Staryśmy kopiec już pożegnali
I popłynęli dalej a dalej,
Przyroda wonną wabi nas ciszą
I łódź Goplanki zlekka kołyszą,
A gdzieś na świeżo zerwanej błoni
Dumka pasterki za wiosną goni!
Błogo nam — lubo! śród tego tchnienia
Zapomnieć można wszystkie cierpienia!
Lecz kiedy duch nasz tonie w uroku,
Tośmy ujrzeli w szarym obłoku
Znów dawien kurhan i nasze serce
Znów się tarzało w strasznej rozterce...
Och! kiedy nic nas więcej nie pieści,
Może zanucim wskutek boleści:
»Boże coś ......!« — jednym oddechem.
I nam wtórzyły brzegi swem echem,
I wnet się w eter pieśń rozpłynęła,
Ale czyż władcę świata przejęła?!...

Jan Kasprowicz.

GOPŁO.

I.

Pomiędzy gaje, między wzgórza grodziszczowe
Oparło się przecudne zwierciadło natury,
Gdzie z objęć wiosny patrzą niebieskie lazury,
W powabny zdobiąc uśmiech lica kryształowe.

Tu blasków drga tysiącem słońce południowe,
Gdy złotem chce odnowić stare zwalisk mury,
I księżyc, znużon drogą napowietrznej góry,
Uchyla tu senliwie rozmarzoną głowę.

Wszak dziwnym tu urokiem tchną dzieła przyrody,
I czar ten dziwnie ducha twego ci owieje —
Och! mocniej, gdy się z nimi twoje splotły dzieje!

Wtenczas, gdy pieśni twej strumień popłynie,
To źródłem jego bóstwo, ty szermierz swobody,
A wieniec na grób wieszcza potomność uwinie.

II.

Pociemniał wiosennego koloryt pejzażu,
Na jego tle rozliczne gromadzą się plamy,
Jedynie błyszczą w fali złotem jego ramy:
To zorza tak ognistą promienieje twarzą!...

Nad brzegiem gaje szumią, że zda się coś gwarzą,
Wiatr lekko draperuje kraj srebrzystej lamy,
Po której chyżo suną rybackie się pramy,
Tam zaś świetność minioną szczątki zamku marzą.

Gopło moje! u twego łożyska krawędzi
Niech każdy zrzuca z siebie powszednie odzienie,
A niechaj z myślą czystą, jak pierze łabędzi,
Ze czcią wstępuje w lasów i grodziszcz twych cienie.

Tyś bowiem jest świątnicą dla synów tej piędzi,
Powstałą przez boskiego mistrza twórcze tchnienie.

Jan Kasprowicz.

WIECZÓR NAD GOPŁEM.

Już spadła lampa światów w oceanu piany,
Baldachim nad jej grobem zdobią zórz rubiny,
Już w gronie gwiazd-kochanek, księżyc srebrnosiny
Przegląda się w kryształach pałacu Goplany.

Ty depcesz nad kaszmirskie pięknicjsze dywany,
Lub zmysły poisz wonią majowej rośliny,
Kochanek nuci piosnkę, słowik wśród krzewiny,
Wietrzyk czasem po fali włosów muśnie łany.

Cudny wieczór! Śród takich uroków marzenia
Zdaje ci się, że jesteś na błoniach Edenu,
Że piłeś słodki nektar z zdroju zapomnienia.

Rozkoszne te uczucia boleść ci uśpiły,
Lecz większe ci się rodzą boleści w ocknieniu,
Przebudzisz się — przed tobą szarzeją mogiły!...

Jan Kasprowicz.

ŚWITEŹ.

(FRAGMENT).

Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina:

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi;
Lecz, żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą,
Drżę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły.
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą
Cóż kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Adam Mickiewicz.

ŚWITEŹ.

I.

W dal toczy Świteź — w jasną dal
Zwierciadło swe olbrzymie.
U świętych fal jej — świętych fal
Uklęknij, o pielgrzymie!

Srebrzyste, czyste, płynne szkło
Roztacza się okręgiem,
I z cichym szumem fale mkną
A mkną pod widnokręgiem.

Zielony bór — odwieczny bór,
Szumiących drzew szeregi,
Świątyni Boga żywy mur
Jeziora wieńczy brzegi.

A fala myje brzegu stok
I drzewom pieśni śpiewa,
I nęci — nęci w głąb, a w mrok,
Aż w głąb się chylą drzewa.

Lustrzana — gładka płynie toń,
Lecz marszczą jej równiny,
W zielony włos jej zdobiąc skroń,
Wysokie — giętkie trzciny.

I toczy Świteź w jasną dal
Zwierciadło swe olkrzymie.
U świętych fal jej, świętych fal
Uklęknij, o pielgrzymie!

Bądź pozdrowiona świętych wód,
Srebrzystych wód równino!
Skąd boskich pieśni rozgrzmiał cud,
Co w nieśmiertelność płyną.

Z fal, kołysanych w śpiewny ruch,
Pieśń idzie tajemnicza:
W powietrzu święty płynie duch,
Duch święty Mickiewicza.

III.

Ostatnie już różowe na niebiosach pręgi
Za sine schodzą bory. Szarzeją błękity,

Pociemniały Świtezi zwierciadlane płyty,
Rwąc się w dal, w niedojrzane czarne widnokręgi.

Zlewają się niebieskie i wodne potęgi
W jeden ogrom pół-senny. Bujne trzcin wykwity
Zasypiają. Zasypia brzeg falami bity,
Chylą się ku głębinom drzew nadbrzeżnych kręgi.

Cisza. Czasami kulik ozwie się od trzciny.
Czasem w boru zahuczy krakanie jastrzębia
Lub rybka falą pluśnie. I znów śród równiny

Cisza. W srebrne opary otulona głębia,
Zasypia — nieskończona — nieskalanie czysta,
A wokół cisza wielka — święta — uroczysta.

IV.

Szara noc na niebiosach. Gwiazd korowód złoty
W złotych skrach się odbija pośród głębi szklanej,
I tańczy jakieś dziwne, fantastyczne tany,
Jakby głąb szalonemi wiła się zawroty.

Czarna noc. Wieńce trzciny tworzą wielkie sploty,
Gęste, jakby tajemnic nieprzebyte ściany,
Że strach kierować łódką w ten świat niezbadany,
Gdzie zda się zieje otchłań grobowej tęsknoty.

Pierzcha czarnych obłoków ponura zasłona;
Błękitnieją szafiry — blask się ich stokroci —
Rozkołysane ciszą tańczą fal wrzeciona.

Błękitna noc nadchodzi — gwiazdy świecą złociej,
A rozwidnione światłem — traw zaklętych wieńce,
Zdają się jako duchy w ludowej piosence.

V.

Hej, wiosła w dłonie!
Na srebrne tonie
Skierujmy łódź!
W ciszy wieczora
Łódź płynie skora...
Na głąb jeziora
Ster łódki zwróć.

Płyń, łódko chyża!
Bieg twój nas zbliża
Ku ciszy — w dal —
Ku głębi onej,
Ku nieskończonej,
Gdzie dzwonią dzwony,
Tajniki fal.

Noc bez miesiąca,
Gwiazdami lśniąca —
W Świtezi drży.
Na wód krysztale,
Marszczą się fale...
Niebios opale
Wiją się w mgły!

VI.

Na samym środku fal, gdzie niezgłębiona toń
Stanęła nasza łódź i wielkiej słucha ciszy
I wstał towarzysz mój i, w mokrą patrząc błoń,
Okrzyknął w cały głos, czy też go kto usłyszy:
Hej, hej!

Popłynął jego głos — po nocy w ciemny bór —
I odbił się od drzew, od sosen, iw i buków —
I wrócił ku nam znów, w stokrotny wrócił wtór —
Stokrotnym gromem ech i gwarów i rozhuków.
Hej, hej!

Z płużyńskich ciemnych puszcz, z Świtezi srebrnych fal
Zabrzmiała niegdyś pieśń, skrą bożą rozpalona —
I grzmiąc, płynęła w świat — na sioł i borów dal —
Stokrotnym gwarem ech, brzmiąc w piersiach miliona.
Hej, hej!

Z Świtezi srebrnych fal, z płużyńskich ciemnych puszcz
Stokrotnem echem gra i żywi pierś miliona —
Potężnej pieśni grom, płomienny Boga kuszcz,
Nieugaszony Znicz na przyszłych dni plemiona.
Hej, hej!

VII.

Patrzę w głębię niezmierzoną,
W niezmierzoną głębię wód;
Dziwną żądzą wzbiera łono:
Jeden tylko — jeden rzut!

Jeden rzut w ten bezimienny
Wir! Potężny jeden skok!
Oczarował mię bezdenny,
Magnetyczny głębi wzrok.

Ach — tam grób — tam zapomnienie —
Wiekuisty pokój tam —
Nieśmiertelne tam promienie
Od niebieskich świecą bram.

Ale czemuż tylko roję,
Czemu dłonią trzymam łódź?...
Życie śpiewa pieśni swoje —
Kochaj — pragnij — marz i nuć.

Ach! są w życiu złote blaski,
Są nadzieje cudnych snów:
Może wejdzie zorza łaski,
Może szczęście błyśnie znów.

Po tej fali — ciemnej fali —
Niech przelecę niby ptak.
Płyńmy dalej — płyńmy dalej
W niewiadomy życia szlak.

VIII.

Ogniem — zda się — czerwonym gore cała puszcza,
Szczyt boru purpurowym płaszczem się otula,
Niebo płonie jak pożar. Aż ognista kula
Weszła na bór. Rakietę złotych strzał wypuszcza.

I Świteź purpurową falą się rozpluszcza,
Rzekłbyś — ogień po wodzie, jak po stepie hula,
Srebrne mgły — jak płonąca zdają się koszula —
I drży serce każdego, nadbrzeżnego kuszcza.

W wyżyny płynie zorza. Łuna krwi zagasa,
Płomienno-złotym kręgiem zajaśniało słońce
I wszystkie rzeczy złoci jego złota krasa.

A oto wielką tarczą w głębinach się pali
Drugie słońce — i w każdym kędziorze wód fali —
Rozpryskuje się w drobnych — złotych słońc tysiące.

IX.

Jak bramin w święte fale Gangesu,
Rzucam się w fale Świtezi:
Duch mój wybiega z własnego kresu,
Niech go ta głąb użelezi.

Całem swem ciałem pruję wód tonie,
Wsiąkam ich treść w swoje żyły;
Siły nadziemskie czuję w swem łonie,
Nieznane czuję w niem siły.

Jak ryba w morzu toczę się kołem,
Toń mię w objęcia pochwyca,
Zlewam się w jedno z płynnym żywiołem,
Znika mi własna granica.

Fala całuje — fala mię pieści —
Pierś mi swem tchnieniem odświeża:
Fala mi śpiewa — fala szeleści —
W bezmiary ducha rozszerza.

Płynę na głębie przez fale srebrne —
Jakby w nieziemskiej kąpieli:
Świteź ma czary jakieś leczebne,
Ciało i ducha weseli.

Świteź ma czary wody letejskiej:
Z jej głębi dzwonią ci dzwony —
Trosk zapomnienia hymn czarodziejski,
Aż drga twój duch odrodzony.

X.

A powiedzcież, rybaku mój młody,
Co tak znacie jeziora głębiny —

Czy też jeszcze są w falach tej wody —
Świtezianki — rusałki — ondyny?

— Nie panoczku! Już dziś świtezianki
Nie ukażą się ludziom na oczy,
Jeno widać zaklętych ziół wianki,
Jeno skrzydła tej ważki przezroczej.

— Ale dawniej bywały rusałki?
— Oj, bywały, jak starzy nam prawią:
Czy zarośla gdzie, wody czy skałki,
Niby wszędy boginki się jawią.

— Teraz niema? — A niema, uciekły.
— Gdzież się skryły? — A kto ich tam znaje?
Musi ludzkie je grzechy urzekły,
Więc się w lepsze wyniosły gdzieś kraje?

— A dlaczegóż uciekły za morze?
— Że to ludzie niedobrzy się stali,
Więc im smutno tu było w jeziorze
I na innej tańcują dziś fali.

Bo rusałka się tylko pokaże
Takim ludziom, co w sercu są czyści;
Mają oczy spokojne i twarze,
Co są dobrzy i bez nienawiści...

Prawdę mówił ów rybak prostaczy:
Od złych oczu uchodzi ondyna,
Ach, a bóstwo ten tylko obaczy,
Co ma duszę jak leśna ptaszyna.

Antoni Lange.

RZEKI.

NASZE RZEKI.

(FRAGMENT Z »FLISA«).

Dwa bracia z siostrą w drogę się wybrali
Z Litwy Niemen, Bug z Wołynia zuchwały,
I Narew bystra, jako siostra starsza,
Przyszła z Podlasza.

Wziąwszy przymierze, bez gniewu i trwogi,
Zażyła sobie przyjacielskiej drogi
W małym orszaku, co więc nie nowina,
Zgodna rodzina.

Potem lepszego bytu chcieli użyć,
Zachciało się im u Królowej służyć,
Do której płyną ze wszech stron poprzeki,
Sarmackie rzeki.

Przystali tedy do nowego dworu
Narew i z bracią puściwszy się toru,
I tak służyli Wandzie Krakusowej,
Jako królowej!

Czując do siebie Narew śliczną gładkość,
Czując też w braci siłę i też wartkość,
Chciała być równa w rodzaju, w urodzie,
Wandalskiej wodzie.

Pani ślicznością i domem chwalebna,
Nie chcąc być tańszą, niż panna służebna,
Wyzwała Narew, chcąc ją wywieść z błądu
Pozwem do sądu,

Na którym zasiadł strumień nieujęty,
Do tego wolnie z obu stron przyjęty,
Ów, co u Gniewa swemi wroty wpada,
Wisłę rozbada.

Sędzia roztropny puścił przed się strony,
I zagaił sąd tuż u samej brony;
Szła para panien, każda z nich z osobna,
Gwiaździe podobna.

I długo myślił, niż wszystkie przymioty
Wybaczył w obu i wrodzone cnoty;
Chwilę tak okiem poglądał na obie
Czujnem o sobie.

Upatrzył sędzia, iż nad księżnę owa,
Osobliwego coś miała królowa,
Jako nad leśne Nimfy ma Dyana
W złoto ubrana.

A także zatem wnet uczynił wyrok,
Jako sumienie świadczyło i też wzrok;
Skazał, iż gładsza królowa, rzecz ista
Niźli służbista.

Narew i z bracią wnet się rozgniewała,
A inszą drogą płynąć się wezbrała.
Więc miejsce sądu na brzegu, na lewem,
Nazwano Gniewem.

A gdzie się Narew na prawo hynęła,
A od Królowej na różno płynęła,
Pod sławny Olbiąg — Nogatem to zową
Flisowską mową.

Sebastyan Klonowicz.

WISŁA.

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
W twarde ściąwszy lody,
Cieszyła się sroga zima,
Że je w swoich więzach trzyma.
»Patrzcie — wołała — patrzcie, dumne wały,
»Coście w tej śmiesznej wolności bujały,
»W jakich jesteście okowach!
»Oto was każdy przychodzień,
»Depce, rąbie codzień,
»I byle ...... jeździ wam po głowach;
»A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
»Takie to was jarzmo gniecie,
»Tak to zima włada!«
»Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta —
»Tak jej z pod Tatrów na swej urnie wsparta,
»Stara Wisła odpowiada —
»Nie wszędzie przecież cięży twa potęga:
»Zawsze tam, zawsze pod tym twardym łodem
»Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem;
»Tam twoja władza nie sięga.

»Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
»Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie:
»Te śniegi nawet, któreś tu, zuchwała,
»W przepaści gór tych nawiała,
»Same mi kiedyś pomogą
»Zrzucić twoją przemoc srogą.
»Dmij więc, dmij groźnie z twymi Akwilony,
»Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony:
»Śpieszącej wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
»Pójdziesz, skąd przyszłaś, Wisła, Wisłą będzie!«

Franciszek Morawski.

DUMANIE NAD WISŁĄ.

Ojczysta rzeko, polska wód przestrzeni!
Nad twym brzegiem nadzieja nasza się zieleni,
Jak te lasy i łąki. Twoich wód kryształy
Obraz ich życia oddały.

Tak w sercach obraz krwią zlanej ojczyzny
Krwią zlany żyje... Śmierci! ty zgój blizny:
Bo długie życie, jak ta rzeka słona
Płynie i płynie i kona.

Tu góry dzieli, tam niknie za laskiem,
Zdala uroczym miga srebra blaskiem:
Tak wyobraźnia grę światełek sieje
Na przyszłości naszej dzieje.

Maniące światła. O ten blask wątpliwy,
Gdy nurt w głębinie mętny i burzliwy;
Twarz promienista, gdy ból serce tłoczy;
Rozpacz, gdy się iskrzą oczy.

Jak Wisły krople, chwile życia płyną;
Noc przyszła zgasi już iskrę rodzimą;
Morze — wód grobem, i tę życia chwilę
Wieczność pogrąży w mogile!

Antoni Malczewski.

DO WISŁY.

Na powierzchni twej przezroczéj
Jaskółeczka skrzydła moczy,
A w noc białą topielice,
Przeglądają ziębłe lice,
Przecierają ciemne oczy,
Przez które się piasek toczy,
Wisło! moja Wisło!

Na twym brzegu dziewczę młode,
Mąci nóżką czystą wodę,
Czapla stara patrzy zdradnie,
Jak prędko jej rybka wpadnie,
Wisło! moja Wisło!

Kiedy znikną lody, śniegi,
Niesiesz pełne w świat komiegi,
Gdzieś zamorskie żywić Niemce,
Żywić Niemce cudzoziemce,
Wisło! moja Wisło!

Na dnie twojem co nie leży?
Krom czerwonej czerskiej wieży;
W całych zbrojach leżą Szwedy,
Potopione, Bóg wie, kiedy,
Ach, i polskich broń żołnierzy,

Na dnie twojem co nie leży,
Wisło! moja Wisło!

Wykołysz mi, proszę, żywo,
Taką rybę, morskie dziwo,
Coby z głębi twoich fali,
Wychodziła . . . . .
Z jaszczurową szablą krzywą,
Wykołysz mi takie dziwo,
Wisło! moja Wisło!

A ja za to w szczęsnej dobie,
Na fujarze zagram tobie.
Aż poleci na wsze strony,
Przez bór ciemny, gaj zielony,
Wisło! moja Wisło!

Teofil Lenartowicz.

WISŁA.

Patrz! w lackiej stóp stolicy,
Jaka złota smuga trysła —
Brylantowo tak słoneczna,
W fal ognistych błyskawicy!
O! kochana! o serdeczna!
Wisła nasza! droga Wisła!
Ile kropel w nią upadło
Krwi i łez wśród mąk wiekowych,
Tyle gwiazd dyamentowych
Rozpromienia jej zwierciadło.
Z głębi toni pieśń dobywa,
Psalmy szumi! hymny szumi!
Dusza polska je rozumi.

Lecz, gdzie pierś, co je wyśpiewa?
Chryste Panie! Chryste Panie!

Karol Baliński.

DO WISŁY.

Śpiewał Klonowicz niegdyś twoje wdzięki,
Kiedy na twoich falach się kołysał,
I mówił, kreśląc o »Flisie« piosenki:
»By to być mogło, radbym złotem pisał
Twoje pożytki, porty a i wstręty«.
A ile razy patrzę na twe wody,
I na te stare po twych brzegach grody,
A po przylądkach widzę krzyż zatknięty,
Stają przed duszą starzy gospodarze,
Wielcy dziedzice twojego porzecza,
I z Klonowiczem o tym »Flisie« marzę,
I o oraczach od krzyża i miecza.

Miło spoglądać, Wisło, na twe nurty,
Na te ładowne złotym darem burty...
Lecz jam cię poznał, gdzieś u źródła trysła,
Gdzie cię »Wisełką« góral zwie w miłości;
Toś też mi miłą niby dziecię Wisła,
Bom ja ukochał, co kochają prości,
I tak rozumiem, gdy na ciebie patrzę,
Że to i dobrze i znamy się dawno...
I lica twoje dużo dla mnie gładsze,
Bo znam cię dzieckiem i niewiastą sławną.

Gdym u kolebki tego dziecka marzył,
Orzeł tatrzański nad głową się ważył,
I rzekł mi góral: »W naszej tutaj stronie

Zwą ją »Wiselką«, bo wesoła, młoda,
I jest »Wiselką«, nim minie Ustronie;
Tak ją nazwano tu w górach i rano,
A co tam dalej jej na wiano dano,
To pono lepiej wy panoczku wiecie,
Co tam szeroko chodzicie po świecie!«

Wincenty Pol.

NAD WISŁĄ.

(IMPROWIZACYA).

Patrzaj, to Wisła!... Spokojna, marząca,
Między Mazowsza piaski się przewija;
Srebrzystą struną złote brzegi trąca,
I kryształową pieśnią się rozbija.

Fala jej mętna, jak oko złzawione —
W niej niebios blaski i brzegi zielone,
I stare zamki, pomieszane razem,
Drżą jednym żywym, uroczym obrazem...

Lecz czyś ją widział, gdy brzemię zimowe
Zrzuca, ze snu się zbudzić niecierpliwa?
Gdy, burzą grzmiącą piersi wznosząc płowe,
Wściekła gniotące okowy rozrywa?

Huk jej natenczas, jako grom podziemny,
Walący miasta w pośród nocy ciemnej;
A jako pożar, nurt jej zapieniony
Szeroko sięga zgubnemi ramiony...

* * *

Taki jest lud nasz. On, tak cichy, rzewny,
Jak miesiąc w pełni — jak skowronek śpiewny...
W obłocznej swojej wyobraźni świecie
Roi spokojny, jak spowite dziecię.

Roman Zmorski.

DO WISŁY.

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy,
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
A nad nią owdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.

A nasza Wisła, tak spokojna, cicha,
Że jej nie słychać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały,
O swej starości, o spróchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze;
Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
I do niej jeszcze, krzywe, karłowate,
Stroją swe czoła w zieloności szatę.

Rzadko już buki i piękne dąbrowy,
Pławią w jej nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,

A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie konary rozwiała;
To nie Włoch smukły, co liść swój podkasa,
Ale brat szlachcic do korda, do pasa;
Pień swój szeroki podnosi zuchwale,
Macha rękami, z kiściastego wąsa,
I z swojej czapki powiewnej wytrząsa
Garście zieleni na Wiślane fale.

Ty płyniesz, Wisło! a jak kapłan stary
Zamek krakowski chrzci się swym obrazem;
Kapłan to siwy, ale młodej wiary.
Pełen zniszczenia i wielkości razem!
On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
Świętym chryzmatem pamiątek namaści,
Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona,
Płyniesz spokojna, płyniesz niespłoszona,
I coraz szersza, coraz więcej pańska,
Spieszysz do niegdyś lennego ci Gdańska.

A pod Krakowem, na długim galarze,
Gwarzą i kurzą fajczyska węglarze;
Po bokach węgiel w ośmiu kupkach leży,
We środku budka, u rudla flis czuwa,
Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
On ją z fantazyą na bakier nasuwa,
Zwija koszuli rękawy bufiaste,
I szarawary poprawia pasiaste;
Ma kaftan długi z czerwonem podbiciem,
A twarz z wąsiskiem, rumieńcem i życiem,
W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie swarzy,
Na niej, jak w własnej chacie gospodarzy,
I wiezie śmiało dzielny flis krakowski,
Węgiel brzęczkowski, albo laryszowski.

Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze,
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
I cynk srebrzysty i sól i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały.
Niesiesz, gdy zechcesz; a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka żaglami swawoli,
Lub galar wiosłem twoje fale liźnie —
Ty nie chcesz — muszą stanąć na mieliźnie.
Ty zechcesz — płyną, a widnokrąg cały,
Zda się ucieka, i chowa, i znika,
I tylko czasem plusną twoje wały
Pletwą szczupaka, wód twych rozbójnika,
Lub wir je zmąci; a na dnach łożyska,
Igrają chmury i słońce rozbłyska.
Ptaszki świegocą w nadbrzeżnej wiklinie,
U góry bocian wyciągnięty płynie,
A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
A gdy się Wisło! ścisną zimne lody,
Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
Na której słońce maluje swe lica,
Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem
Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale,
I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem.

A kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
Zalewasz pola, i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
Powalasz domy i na twojej fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali;
A potem znowu wracasz w twe ukrycie,
I cicha płyniesz w odwiecznem korycie.

W starem korycie, o rodzinna rzeko,
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką,
Niech na twych błoniach tak pełnych tęsknoty,
Bóg litościwy da urodzaj złoty;
Wtedy twe fale pokrają na pręgi,
Niosące zboże, ładowne komięgi,
A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
Kupi ci suknię za gdańskie talary.

Antoni Czajkowski.

DO WISŁY.

Wisło! kwieciem i perły ozdobna dziewico,
Siostro myśli i uczuć, matko! piastunnico!
Lubię szumy twej fali — gdy rankiem majowym
Ciepłem tchnieniem owiana, słodkim szmerem brzmiąca,
Srebrną piersią swawolisz z twoim brzegiem płowym.
To twa fala tak smętna, tak cicho ciekąca,
Poi duszę — dla ciebie, niby w szczodrej dani,
Cudne kwiaty Mazowsza, złotobrzeżne zioła
Skłaniają promieniste, woniejące czoła.
Wisło! — kochanko morza! wielowładna pani!
Lubię ciebie, twe wody, choć czasem szalona,
Złamawszy martwych lodów jasne, szkliste pęta,
Zakipisz mętną falą, z rozprzęgłego łona
Wylewasz wód strumienie, niby pierś ściśnięta
Łzy tak długo tajone wylawszy z ukrycia,
W nowej życia kolebce szuka sobie życia.
Niedobra! — czyż nie lepiej krzepić różę zbladłą,
Na którą skrawe słońce tysiąc ogni ciska,
Czyż nie lepiej w głębinie własnego łożyska
Młodym licom Mazurek służyć za zwierciadło,

I w ruchomym krysztale giętką łamać postać,
I nutą tęsknej fali westchnienie wydostać.

Lubię cię, kiedy głuchem, przeciągłem szemraniem,
Twe łono do cichego kołyszesz noclegu,
Kiedy słońce cię wita, gdy jasnem zaraniem
Wartkie szybują łodzie, i mieszkaniec brzegu
Nuci dumkę żałosną: bo ta pierś wieśniacza,
Jak twe wody niewinna, dzika i prostacza,
Oddycha jasnem niebem, i z żywej przyrody
Czerpie życia twardego dziewicze zarody.

Lubięć w ciszy wieczora, gdy blaskiem purpury
Zapadłe igra słońce, mżą dokoła cienie,
Po niebieskiej przestrzeni szare gonią chmury,
I tęskliwe, ponure zalega milczenie;
I niby oderwane z niebieskiego szczytu,
Zeszły gwiazdy — spadł księżyc — i w ruchomej fali
Srebrnem trzęsie obliczem, operla, kryształi
Farbą niebios odbity ocean błękitu.

I cicho — pusto — niemo — ja nad twoim brzegiem
Marzę uczuć tysiącem i długim szeregiem
Dziwacze plączę myśli — fale słabo dyszą,
Ciało znika, myśl krąży, marzenia kołyszą,
Mżą gwiazdy, księżyc świeci, w okół głucho — ciemno,
I dwa nieba — dwa światy, pode mną — nade mną.

Seweryn Filleborn.

RZEKI WPADAJĄCE DO WISŁY.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie
Wisława w srebrny uderzyła dzwonek,

Ażeby zwołać pod szklany przysionek
Swoje lennicze bogi i boginie.
Wielki szum powstał w górach i dolinie;
Dążą lennicze bogi i boginie.
Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik w swej białej czamarce,
Z tysiącem pstrągów dzwoniących u pasa,
Prądnik, jak rzeźki Krakowiaczek, hasa.
Młodziuchna Nida, podobna kwiaciarce,
Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.
Biegną Dunajce, dwaj bracia górale,
Z okiem myśliwskiem i zwinnością gończą;
Jeden z nich w Białe obraca się fale,
Drugi się Czarną owinął opończą,
Za nimi lekko idzie modrooka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca Wisłoka.
A teraz patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgoce lasy i przebija skały,
Po jego falach echa Karpat idą.
Tanew, ukryta pod cień borów kruczy,
W głębi puszcz szumnych, jak wyrocznia huczy.
Dalej w dolinie wijąca się kręto,
Od tataraków swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni żali się Kamionna:
Zda się, że słyszysz królewnę zaklętą.
Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem
Tancerka ledwie tykająca ziemi,
Bystrzyca pląsa stopami bystremi.
Za nią poważna, szafirowo-lica
Idzie, jak cicha kapłanka, Pilica.
A teraz z drogi! oto z wielkim szumem

Nadchodzi Narew, cała upowita —
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.
Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?
A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec,
Bug kłosonośny; codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi;
Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!
Tam Bzura dźwiga szaty obciążone
Kiściami pereł; nosi krucze włosy,
Perłami spięte i z pereł koronę.
Tam wre i szumi wartko-lotna Drwęca,
Która w winnice i róże i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.
Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,
Pod siecią gajów cicho się pierścieni.
Ossa pod słońcem zapala błyskliwie
Fale, podobne do białych płomieni.
Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną Motławę
I radującą się wiecznie Radunię,
Co, jak odźwierne, w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.
I one dzisiaj tu idą i niosą
Klucze, błyszczącą wysadzane rosą...
Te wodne bóstwa jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze,
I jeszcze inne; lecz któż je wyliczy?
Księgęby spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

NAD UTRATĄ.

Pamięci Szopena.

Czemu szumisz, Utrato? Czemu wody zmącone
Ciskasz na brzeg z rozpaczą?
Czy utraciłaś, matko, dziecię twoje rodzone,
Że tak głębie twe płaczą?

Utraciłam ja syna, rodzone moje dziecię
Utraciłam na wieki!
On śpiewał ból mych głębin, on niósł po wielkim świecie
Jęk macierzystej rzeki!

Nie płacz, matko Utrato, ucisz zmącone fale,
Syn twój żyje u ludzi,
On zamieszkał w ich sercach, on tam wtórzy twe żale
I twego ducha budzi!

Cichnie matka Utrata, mija wiosek szeregi
I ulata z westchnieniem;
Tylko kiedyniekiedy, uderzając o brzegi,
Szumi syna imieniem.

Andrzej Niemojewski.

DO NIEMNA.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;

Tu obraz jej malowny w srebrnej fali łonie
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody!

Niemnie, domowa rzeko! gdzież są tamte zdroje,
A z nimi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło... a czemuż nie przejdą łzy moje?

Adam Mickiewicz.

DO NIEMNA.

Niemnie! rodzinna wodo, rzek litewskich książę!
Jakże piękne z twej urny wylały się zdroje!
Lecz gdzież są tak sławione wajdeloty twoje?
Kto godną ciebie piosnkę na lutni nawiąże?
Gdzież są i także snadnie oni cię zabyli!
Gdzie ów śpiewak słowiczy z kurhanku Maryli,
Sławiący twoje wody, doliny i kwiecie?
I on dzisiaj gdzieś goni po szerokim świecie!
Niemnie! gdzie są rodzone twych brzegów Rusałki?
Jak narcyz urodziwe, skromne jak fijałki.
Ile gwiazd nie doliczyć przy księżyca blasku,
Ile pereł na morskim rozbielonych piasku,
Tyle dziewic na brzegach niemeńskich świeciło.
Gdzieście piękne Rusałki, cóż was stąd spłoszyło?
I za kim dziś spłakaną pogonię powieką?
Was tu niema — a moja dobrze stąd daleko!

Niemnie! ojczysta rzeko! gdzie są tamte wody,
Gdzie Litwin z chwałą bieżał w rycerskie zawody?

Gdzie twoje możne zamki, co błyszcząc dokoła,
Grożące szturmującym nadstawiały czoła?
Zamki w gruzach leżące kurhany pokryli,
A z nimi krymskie łuki, krzyżackie grabieże;
Zamki, miasta i wszyscy ciebie opuścili,
Jeden dąb wierny tylko twoich brzegów strzeże;
O stokroć dąb szczęśliwszy na dolinach Niemna!
Bo czy mu ranek świta, czy noc mgli się ciemna,
Wdzięczny ziemi, gdzie starzał i gdzie rósł za młodu,
Zielonym cieniem zdobi miejsce swego rodu.
A choć go czasem piorun ogniem zapłomieni,
Zima z liści obnaży — znów się rozzieleni,
Zimą gasnący starzec, z wiosną znów młodzieńczy,
Majową zielonością nagie czoło wieńczy.
Nie wszystkim ręka czasu tej ugina szali!
Raz nam geniusz życia zapala pochodnię:
Mur, zamek już nie wstanie, gdy się raz powali,
Żelazo rdza potrawi — człowiek nie odmłodnie.

Niemnie! zwierciadło Litwy, stoku kryształowy,
W ciebie litewskie ziemie, litewskie dąbrowy,
Jak dziewice na świetną idące biesiadę,
By w lustra wygładzone wpatrują się rade!
Niemnie! widziałem ciebie, gdy tłum ciężkich łodzi
Uroczyście po twojej pławił się powodzi;
Widziałem cię, gdyś ginął w nieprzejrzanym lesie,
Gdzie ci rącza Molczadka wodny haracz niesie;
Gdzie Wiliją miłośnym uściskasz kryształem,
Lecz nigdy jam cię z takim nie witał zapałem!

Niemnie! jakżeś mi cichy — zda się, że twe wody
Zdrzemały się dziennymi zdrożone uchody.
Jakże lubo na ciebie spozierać wieczorem!
Te we mglistej powłoce ciemniejące fale,

Te brzegi wód cienistym oczernione borem;
Słowik melancholijne śpiewający żale,
I te głosy natury w cichem wód szemraniu,
Jakże zgodnie wtórują mojemu dumaniu!
Wdzięcznym ci — lecz tę wdzięczność słuszna zawiść [dzieli:
Tyś mi wziął najlepszego z moich przyjacieli!
Bo już barka ochotna za pomocą wiosła,
Niechętnego na drugie brzegi mię uniosła.
A na tamtych zostały najlepsze dni moje,
Na tamtych łez najsłodsze wypłakałem zdroje;
Tam piłem rajski nektar miłości, przyjaźni;
Wszystko przeszło, jak przeszły sny mej wyobraźni...
Tylko zdala twe fale błyskają w noc ciemną,
Tak przeszłość błyszczy za mną, a przyszłość przede [mną.
Tymczasem witaj dla mnie, witaj, kraju nowy!
Żegnaj luba przeszłości, — Niemnie, bywaj zdrowy!

Julian Korsak.

DO NIEMNA.

Powiedz mi, Niemnie, puszcz obywatelu,
Które ci strony twych porzeczy miłe? —
Któreś ukochał z tych zabrzeży wielu?
Czy leśne łąki i puszcze zawiłe?
Czy piękne skały, kędy płyniesz kręto,
Gdzie twe zabrzeża strojne, jak na święto,
Wdzięcznie się sklepią gajmi lipowemi
I miło szumią wodami leśnemi?

Czyliś ukochał może te powiaty,
Gdzie, jak kniaź Litwy, władny i bogaty,

I nie ujęty w obcej woli karby,
Na morze niesiesz starej Litwy skarby?
— Pytasz? Czy sądzisz, że ja nie mam serca,
Kiedy się z sercem po mych brzegach rodzą?
Miłać woń wprawdzie leśnego kobierca,
Lubię szum puszczy, gdy nią wiatry wodzą.

Lubię zakręty skalistych ustroni
I woń miodową, którą lipa roni;
Ale najcudniej świat mi się układa,
Gdzie droga Wilija w me ramiona pada,
I najwdzięczniejsza Kowieńska dolina
W całem dziedzictwie kniazia Giedymina...
Bo jak kobierzec ślubny się rozściela
I wiecznie świadkiem naszego wesela...

Wincenty Pol.

WILJA.

(PIEŚŃ Z »KONRADA WALLENRODA«).

Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłej Kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcysów płynie;
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca;
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Serce i potok ostrzegać daremnie,
Dziewica kocha i Wilija bieży;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży.

Adam Mickiewicz.

WILJA.

Witaj dolino Wieszcza! — Wiljo — rodzico!
W tem miejscu niech me usta twej wody zachwycą.
Bo święta treść tej wody i zdrowa dla łona,
Nieśmiertelnem natchnieniem pobłogosławiona!
Gdzie jesteś, wielki Duchu kowieńskiej doliny,
Coś nam serca rozpalał, piejąc stare czyny?
Ja czuję twą obecność na tej pięknej błoni,
I w tym głosie słowika, i w tej kwiatów woni,
I w kołysaniu wiatru, i w fali odmęcie,
Z jakim Wilja bieży w Niemnowe objęcie.
Ponad temi wodami z nadziemskiego świata
Duch Wieszcza na anielskich skrzydełkach ulata
I pyta się u Niemna, Wilji, Niewiaży,
Jak się Litwie powodzi? jaki ład kojarzy?

Co gawędzi w zaściankach i siołach gromada?
Jakie mówi modlitwy? Jakie pieśni składa?
Na kolana pielgrzymie! słuch ciebie nie mami,
Czujesz rozhowor ducha z rzecznemi falami.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

NAREW.

(MOJA RZEKA).

Nad błękitną moją Narwią
Najpiękniej się łąki barwią,
Najmiłośniej szumią drzewa
I najmilej słowik śpiewa.

Nad tą rzeką, nad tą moją,
Poświęcane chaty stoją,
A w nich zbożność i prostota
I pogoda mieszka złota.

Dużom roił i doznawał,
Przemęczyłem życia kawał,
A te brzegi, choć tak skromne,
Zawsze myślom mym przytomne.

Twoją postać nieuczoną
I twą mowę niepieszczoną
Zapamiętam do mogiły,
Nadnarwiański kmieciu miły!

Wielka czapa z kokardami
I sukmana z pętlicami
Bardziej oczy cieszą moje,
Niż zamorskie dziwne stroje.



Wiem, jak w polu kosą śmigasz,
Jak od święta wąs przystrzygasz,
Jak za dziewką w tańcu biegasz,
A w kościele krzyżem legasz.

Znam twe pieśni i twe baśnie,
Znam przyjaźnie i znam waśnie,
I zawsze mię silnie wzrusza
Twoja prosta, szczera dusza.

Nad brzegami mojej rzeki
Są na smutek dzielne leki,
Co ratują od rozbicia
I wracają chęć do życia.

Dziwne kryją w sobie moce
Tamte ranki, tamte noce,
Łąk nadrzecznych wonne kwiaty
I ziół leśnych aromaty.

Gdybym wrócił w swoje strony,
Może byłbym ocalony:
Dawna wiara, dawna siła
Znówby może pierś wzmocniła.
. . . .

Do mej rzeki, jak do czary,
Przysiadł bokiem zamek stary:
Pije blask jej i pogodę
I wspomina lata młode.

Ogród, mroczny murów cieniem,
Opasuje go pierścieniem,
A zaś tkane kwieciem wzgórze
Ma ten zamek za podnóże.

Fala drżąca, łaskotliwa
Do stóp samych mu podpływa,
I w północną, głuchą ciszę
Do snu pieśnią go kołysze.

On jej wzajem rozpowiada
Swoje dzieje od pradziada:
Kto go zrodził, kto wychował,
Kogo kochał, z kim wojował.

Jako niegdyś w ognia fali
Jadźwingowie go skąpali,
Obłożywszy mury wkoło
Stosem głowni zlanych smołą;

Jako później Szwedów nawał
Dwakroć szturmem go dostawał —
(Dotąd jeszcze siedzą w murze
Szwedzkich armat kule duże);

Jako później w północ samą
W wielkiej sali ponad bramą,
Zaciągnąwszy zbrojną wartę,
Jadł wieczerzę Bonaparte.

(Sztab, w skupieniu należytem,
Śniadał potem z apetytem,
A po zupie i pieczeni
Schował srebra do kieszeni).

A gdy zerwie wspomnień wątek,
Gdy zabraknie mu pamiątek,
Może starzec wspomni sobie
O ostatniej cichej dobie.

O dziedzińcu pełnym trawy,
Sadzie pełnym ptasiej wrzawy,
O jesiennych bladych kwiatach,
Pustych sieniach i komnatach.

Może wśród tych komnat ciszy
Krzyki dziatwy znów usłyszy,
Co z drzemiącem zamku echem
Drażniła się pustym śmiechem...
. . . .

Wiktor Gomulicki.

Z PODRÓŻY DUNAJCEM.

Już jasny księżyc na wodospadzie
Haftuje srebrem strumienia bieg,
I fala, co się do snu nie kładzie,
Lekko potrąca o skalny brzeg!

Już ciemne lasy drzemią w oddali,
Szemrząc modlitwy wieczornej chór;
Dalekie echa głuchną na fali
I we mgłach toną podnóża gór.

Łódkę do drogi strumień kołysze
I pianą rosi nadbrzeżne mchy:
Płyńmy więc w ciemność i nocną ciszę,
W krainę cudów, marzeń i mgły!

Głowę swą oprzej na mem ramieniu
I do księżyca obróć swą twarz.
I oświecona w bladym promieniu
O widmie szczęścia dumaj i marz!

Ja będę śledził na twojej twarzy
Przelotnych marzeń ruchomą nić,
I będę myślał: »Jak pięknie marzy...«
I zwolna zacznę o tobie śnić.

A tak cię sen mój sercem odmieni,
Że mi wykwitniesz jak biały kwiat, —
Pełen miesięcznych, drżących promieni,
Rzucony ze mną w fantazyi świat.

I będę mniemał wtenczas wpół-senny,
Że na twych marzeń tęczowem tle
Widzę uczucia odblask promienny,
Płynący ku mnie na srebrnej mgle...

A kiedy jeszcze fala zdradziecka
O kamień naszą potrąci łódź,
To ty z przestrachu trwożnego dziecka
Na mnie wzruszone spojrzenie rzuć!

I do mnie bliżej pochyl się cała
I ujmij silniej braterską dłoń,
Ja będę myślał, żeś ty zadrżała,
W mojego serca spojrzawszy toń...

A kiedy dalej wypłyniem zwolna
Na wód leniwych spokojny szlak,
Może pomyślę, żeś kochać zdolna
I że mi łezkę rzucasz na znak!

Więc płynąc znowu w girlandach piany,
Co się roztrąca o progi skał,
Wyszepnę przez sen, »żem zakochany
I żem ci serce na wieki dał«.

Tak rozmarzeni oboje ciszą,
Pijąc tęsknotę i nocny chłód,
Wymienim słowa, które usłyszą
Fale i duchy leniwych wód;

I w księżycowych blasku promieni,
Rwąc kwiaty marzeń na srebrnej mgle,
Uwierzym, żeśmy sercem złączeni,
W pierwszej miłości rozkosznym śnie.

Lecz, gdy przybijem wreszcie do brzegu,
Rzucając miejsce czarownych scen,
Wtenczas, o dobrym myśląc noclegu,
Poznamy wkrótce, że to był sen.

Adam Asnyk.

NA DUNAJCU.

Lecimy!... on mnie w swoje pochwycił ramiona
I runęliśmy w przepaść z skalistego proga...
A fala, żarem piersi mojej przenikniona,
Modrym słupem bryznęła aż w niebo, do Boga,
Skrytego za sklepieniem swojem tajemniczem...
Za nią poleciał krzyk mój, pytaniem nabrzmiały,
I potrącił błękity, i powrócił z niczem...

I runęliśmy w przepaść... Najskrytsze szczeliny
Rozdniały od strzał srebrnych, które puścił z sykiem
Dunajec przez granitów zwalonych odłamy
I wszystkie przemówiły dziwacznym językiem
Jakiejś pełnej burz, wstrząśnień, przeddziejowej dramy,
I zaczęły się skarżyć cicho jako starce,

Którym czci nie wyrządza wnucze pokolenie,
I o których niewdzięczne zapomniały syny!...

Precz, łódko! Precz, ty wiosło! Niech w szalone harce
Pochwycą mię tej fali stalowe pierścienie!
Jak delfin, w modrych toniach spławię grzbiet mój ślizgi,
Czołem rozbiję pianę skroploną na bryzgi
I w powietrzu ustami zdmuchnę te opale!
Ha, co tak wre? — Krew moja, czy Dunajca fale?...

Przylegam do wód piersią, jak strzała do łuku,
Ich pośpiechem zdyszany, ich tętnem kipiący,
Mieszam bezwiedny okrzyk do gromkiego huku,
Od którego brzeg skalny drży, jako reduta,
Ogniem podminowana i dymem zasuta...
Tajne prądy nurtują do dna potok rwący,
Jak pierś moją namiętne, tłumione porywy...
I wyciągam ramiona, jak jeździec tej fali,
I naglę ją do biegu, i chwytam się grzywy
Srebrnej mego rumaka, i pędzimy dalej...
O, dalej!... Chciałbym uciec od brzegów tych ciasnych,
I lecieć tam, gdzie księżyc wschodzi zadumany,
I o rąbki tych chmurek, od gwiazd łuny jasnych,
Oprzeć skrzydła — i spocząć, jak orzeł ścigany!

Marya Konopnicka.

PRZEJAŻDŻKA DNIESTREM.

Lekko łódka nasza mknie,
Nad głębinę... nad przezrocze,
Ciche... jasne i urocze...
Księżyc tonie w modrej mgle.
Nurty gonią się z pustotą,

I pląsają skrzelą złotą
Drobne rybki na ich dnie.

Woniejące wiosny tchem,
Szumią w koło gajów drzewa.
Smętna brzoza włos rozwiewa,
Nad lazurów wodnych tłem.
W blaskach tonie ziemia cała...
Dusza się ukołysała
Czarodziejskim piękna snem.

Porzucone w mroczną dal,
Jasne światów skrzą źrenice;
Nieujęte tajemnice
Nęcą, płonąc w lustrze fal.
Och! wiedź łódko przez błękity,
Przez marzenia i zachwyty,
Zanim ze snu zbudzi — żal!

Tam... z zielonej kępy drzew,
Budząc błogie sfer milczenie,
Płynie rzewny jak westchnienie,
Śpiew słowika — smutny śpiew!
Pocóż ptaszę dzisiaj tobie,
Taka pieśń, co mieści w sobie
Wszystkie serca łzy i krew?

Czy utraty płaczesz złud?
Cicho, cicho mój malutki!
Sen marzenia chociaż krótki,
Mieści w sobie wieczny cud!
Kto nim swoją pierś wzbogaci
Skarb posiada! — co mu spłaci
Cały życia ból i trud!

Ciszej... ciszej... płyńmy w dal,
Za tą łódką, w uśmiechnięty,
W promienisty świat zaklęty,
Kryształową drogą fal!
Och! wiedź łódko przez błękity,
Przez marzenia i zachwyty,
Zanim ze snu zbudzi — żal!

Marya Bartusówna.

DO DNIEPRA.

Dnieprze! co płyniesz Ukrainą żyzną,
Starą rycerzy i mogił ojczyzną,
Powiedz, kto tobie tyle wody dawa?
I czemu w świecie ogłuchła twa sława?
Czemu tak z góry poszło tobie, Dnieprze
Że świat o tobie zabył, co w najlepsze...
Czy złota Ławra już nie błogosławi,
Że cię mogiła tylko jeszcze sławi?

— Od ujścia mego aż do wierzchowiny
Siedmset i cztery rzek z kolei padło,
I niż, porohów kozackie dziedziny,
I siedemdziesiąt ostrowów usiadło —
Siekierka znaczy i siekierka ścina,
I rozproszyła się moja drużyna,
Choć miała wiarę — nie miała miłości
I pozostały po niej tylko kości...

Wincenty Pol.

Z NAD DNIEPRU.

Spływa wieczór, ciche chwile ukojenia niesie —
Jeszcze róże na błękitach, jeszcze złoto w lesie,
Jeszcze walczy dzień ze zmierzchem, ale zmierzch [zwycięża,
Róże bledną, złoto gaśnie, słońce oko zwęża,
Zaszumiały drzewa sennie, płyną szepty drżące:
Zaszło słońce, zaszło słońce, nasze dobre słońce!
Teraz mary się wysuną, wyjdą z uroczyska,
Do wrót domów, do ścian domów przytulą się zblizka
Zastukają w szyby okien, cicho drzwi podważą,
Przed oczyma ludzi staną niewidzialną twarzą,
Do serc wsączą, do dusz wsączą ciche przerażenie,
Owe mary, owe widma, owe blade cienie.
»Co tam plączesz w palcach swoich?« — «Sieć rybaczą plączę —
Będzie długa, będzie mocna, niech ją tylko skończę —
Rzucę w głębie fal dnieprowych — zaciąży jak ołów,
Noc pogodna, toń spokojna, opłaci się połów!...
Nim raz wtóry sieć zapuszczę w cichą głąb dnieprową:
Kupię matce czepiec nowy, żonie suknię nową!«
— »Idź, rybaku, rzucaj siecie! Duszki-latawice
Zmienią fale, ciche fale w drżące błyskawice —
Gromadami ryb napędzą, że łódź twoja wiotka
Srebrnołuskie, złotołuskie a skrzeliste spotka —
Ciesz się, żono, w sukni nowej i matko w kornecie —
Śpiesz rybaku! lecim z tobą!... śpiesz zarzucać siecie«.
— »Co tam robisz chłopcze młody?« — »Fujarkę z wierz- [biny —
Dudka dla mnie, piosnka będzie dla mojej dziewczyny.
Wszystkie mary, sny, pragnienia, wszystkie niepokoje,
Całą swoją miłość włożę do tej pieśni swojej.

Gdzie kalina koralami schyla się ku ziemi,
Przyjdzie dziewczę przywołane, z oczyma czarnemi —
Nocy późnej się nie zlęknie, ciszy się nie zlęknie:
»Musisz bardzo kochać — powie — gdy tak śpiewasz
[pięknie!«
— »Śpiewaj, chłopcze, swej dziewczynie — dopomożem
[tobie,
Do jej ucha szeptać będziem w owej nocnej dobie:
»Jak gra pięknie! jak gra pięknie!...« Dziewczę się roz-
[czuli:
Twojej piosnki słuchać będzie, innego utuli«.
Szumi, pieni Dniepr głęboki, z porohami gada,
Z jękiem fala z głębin wstaje, z jękiem w głąb zapada —
Noc pogodna, toń spokojna gwiazd tysiącem świeci,
Niema jeno piosnki chłopca, ni rybaczej sieci.
Wschodzi księżyc ponad stepy, tajemniczo wschodzi;
Tu na rzece się kołysał mały listek łodzi...
Wyszedł wyżej, promyk rzucił do leśnej gęstwiny:
Tędy płynął dźwięk fujarki biednego chłopczyny!
Gdzieżeś, piosnko? Gdzieś rybaku?... Wszędzie pustka
[głucha —
Ryb trzepocą korowody, piosnki nikt nie słucha —
Jeno duszki-latawice biją w śmiechy gwarne,
Jeno rozparł krzyż ramiona duże, straszne, czarne!

Kazimierz Gliński.

NAD SINYM BOHEM...

(Z POEMATU »GWIDO«).

Nad sinym Bohem leży wieś w dolinie,
Na wzgórzu domek — szlachecki dom stary,
Z gankiem, z ogródkiem i bramą, gościnnie
Otwartą zawsze. Nad nim dąb konary

Zwiesił szeroko, — dalej na jedlinie
Bocianie gniazdo, — a dalej czahary,
Gdzie nieraz trąbki rozmawiają z echem,
Grają ogary, piorunują strzały;
Gdzie wiatr północny szumi dzikim śmiechem,
I nieraz uszy wieśniaków słyszały,
Jak biedne dusze, okowane grzechem,
Jęczały w łozach, aż kury zapiały.

A tam Boh świeci — Boh nasz rusałczany,
Co ranną falą zaklina w uroki,
Z wieczornej fali, jak ze śnieżnej piany,
Śnieżne boginie migają przez mroki;
Po rosie kwiatów wędrują przez łany,
A rankiem nikną, by mgliste obłoki.

Dokoła pola — to podolskie pola,
Szemrzące kłosem, pełne miodu woni.
Wzdłuż, jako zajrzy źrenica sokola:
Tu wiater do snu łan pszenicy kłoni,
Tam czarnem morzem płynie czarna rola, —
A wszędzie tęskna, rzewna nuta dzwoni
Dum ukraińskich —

Zda się, że przykuta
Do pól, co wszystkie rajskie wdzięki mają.
Tęskna za rajem biednych ludzi nuta!
Albo pomyślisz, że pola śpiewają,
Że z fal Bohowych srebrna pieśń wysnuta, —
Albo niebiosa do snu stepom grają.

Henryk Jabłoński.

STAWY.

NAD STAWEM.

Szafirowy cichy staw
Szumi pieśnią trzcin i traw
I odbija skry słoneczne
I błękity napowietrzne
I co falom rzuci traf.

A nad stawem głogi w krąg
Purpurowy niosą pąk.
A nad stawem kwitną ciernie,
Białym kwiatem kryjąc czernie
Swych kolczastych nóg i rąk.

A pod wodą żabi chór,
A pod wodą rybek sznur,
A na wodzie tataraki,
A nad wodą suną ptaki
Śród wysokich, srebrnych chmur.

Siedzę tu nad brzegiem fal
Zapatrzony w senną dal,

Coś mi tęskno po dniach onych,
Po minionych — po straconych,
Po minionych dniach mi żal!

Więc o wierzby wsparty pień,
Słucham fali cichych drżeń...
Naraz, niby duch z za świata,
Jakiś cień przez toń przelata:
Ach, to ptaka czarny cień!

Czarnym cieniem mignął tak
I w nieznany pomknął szlak...
Ledwiem oczy wzniósł do góry,
Już widziałem tylko chmury —
Za chmurami zniknął ptak!

Jako ptak — uchodzą sny,
Cieniem padną w życia łzy,
Jako strzała tak migają,
I jak ptaki przepadają,
W tajemnicze płynąc mgły.

Ileż myśli, — uczuć, zórz
Zgasił we mnie wicher burz!
Błyskawicą we mnie błysły
I w nicestwo się rozprysły —
I nie wrócą nigdy już!

Antoni Lange.

STAW.

Wieś... Pachną lipy... Śnieżne puchy lecą
Na otęcz stawu purpurowo-złotą...

Rozkwitłe trześnie srebrne wianki plotą
I kryształami kwiecia w słońcu świecą...

(Jakąś tajemną, olbrzymią tęsknotą
Wionęły dale, w błękitach bezbrzeżne —)
I taka cisza, że puchy lip śnieżne
Słychać, jak z dźwiękiem padają w toń złotą...

A staw rozgarnia szkarłatne fal kręgi
I w róż się wodnych otula zasłony...
Płyną szmaragdy — i kwiaty — i wstęgi,

Wijąc się w tęcze... a chyżo — a skoro
W dziwacznych blasków pogoni szalonej
Staw w czarodziejskie zmieniają jezioro...

Jan Pietrzycki.

GRODY I RUINY

GNIEZNO.

Gniezno! gniazdo Lechitów! kiedy twoje wieże
Dalekiego pielgrzyma źrenica dostrzeże,
Serce bije gwałtownie, głowa mu się mroczy
I łza niespodziewana nabiega na oczy.
Gniezno, skąd rój w Piastowskim wychowany ulu,
Osiadł na nowej barci, przy matce, przy królu,
A potem się rozleciał szeroko, daleko,
Siadł nie nad jedną górą, nie nad jedną rzeką,
Ale gdziekolwiek zlepił plastr miodu i wosku,
Z Gniezna błogosławieństwa prosił po synowsku!
A chociaż rój swawolny czasem się rozhula,
Potem się opamięta i wybierze króla,
Póty za matkę barci, za pana go nie zna,
Póki jej nie przeżegna wielki bartnik z Gniezna.
Nasi Chrobrzy i Wielcy, nasi władcy starzy,
Brali swoją potęgę z gnieźnieńskich ołtarzy,
Wierząc, że gdy namaszczą gnieźnieńscy pasterze,
Korona więcej blasku, miecz hartu nabierze.
Wy maściciele królów, wy praw święci stróże!
Pozdrawiam wasze twarze wykute w marmurze,
Ze czcią czytam nagrobków staroświeckie głoski,
A kolano się zgina, kiedy wzrok synowski

Zdoła wyczytać imię otoczone chwałą,
Co się tęczowem pismem w dziejach wypisało.
I znów dalej i dalej błędne oczy wiodę,
Patrzę na drugą postać, na poważną brodę,
Chciałbym kamiennych źrenic znurtować głębinie,
Lecz czy to marmur spotniał? Czy łza z głazu płynie?
Czy łaskę przepowiada, czyli tchnie pokutą?
Jaką myśl na tej twarzy chciało zakuć dłóto?
Czy ten uśmiech niebieski, co w oczy uderza,
Może dla nas Pan przysłał przez usta pasterza?
I czem jest ta prawica wykuta z kamienia?
Znakiem błogosławieństwa albo odrzucenia?
Trudno zgadnąć — a nie masz spytać u nikogo,
A na sercu i rzewno, i straszno, i błogo...

Po filarach sklepistych, wśród kaplic ołtarzy,
Oko spocząć nie może a myśl dziwnie marzy;
To czarna, to promienna, to smutna, to słodka,
Jak z milszem, lub smutniejszem wspomniem się spotka,
Gdy przypomni jutrzniane albo chmurne dzieje,
Gdy się posąg rozjaśni albo spochmurnieje.

Co nam włożył na czoła święty chryzmat wiary,
Najpierwszy pasterz Gniezna i nasz patron stary,
Wojciech, który nam przyniósł miłościwe lato,
Ma ołtarz wśród kościoła i trumnę bogatą,
To nasz pokrewny rodem, ojciec wedle ducha,
Pomódlcie się, Słowianie! On prośby wysłucha,
On ją Bogarodzicy i Bogu przepowie
W przedwiekowej, słowiańskiej, staroświeckiej mowie.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

PIEŚŃ O KRUSZWICY.

Gdy dumne piaski suchą nawałnicą
Pędzą na Gopło, ty czułemi wały
Bronisz jeziora od rzeszy zuchwałej,
  Strażniczko Gopła, Kruszwico!
Gopło cię ściga, jakby oblubieniec,
I w dłoni strojnej srebrną rękawicą
Z wysp szmaragdowych podaje pierścieniec,
  Małżonko Gopła, Kruszwico!
Nieraz żeglarze szum Gopła podchwycą,
I w modlitewne ułożą piosenki;
Twe echo w niebo posyła te dźwięki,
  Kapłanko Gopła, Kruszwico!
Gopło twe stopy otacza skarbnicą,
Złotem swych rybek i swych muszli tęczą,
Schylone fale, drżąc, przed tobą klęczą,
  Królowo Gopła, Kruszwico!
Gopło, to ołtarz ulany w kryształy,
Na jego brzegach kwiaty kadzielnicą!
Nad nim się wznosisz, jakby posąg biały
  Bogini Gopła — Kruszwico!

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

MYSIA WIEŻA.

GENIUSZ-PRZEWODNIK I POETA.

GENIUSZ.

Tam!... widzisz tę kolumnę na krańcu obłoku?
Zczerniały władca!... Patrzaj przez kryształ błękitu:
Srebrzysty dywan u stóp, szafiry u szczytu,
A niebo przędzie z zorzy płaszcz dla jego boku.

Natura tron mu zdobi u jeziora stoku,
Nań olbrzym drzemie w ciszy sennego zachwytu:
Uklęknij, z czcią ucałuj te stopy błękitu,
Modlitwy upleć wianek w uroczystość zmroku!...

POETA.

Ach, gdym spojrzał na czarną ruinę zamczyska,
Wnet smutna myśl z potoku duchowego trysła,
Co ciężkim zwątpień kołem me serce przyciska!...

GENIUSZ.

Lecz patrzaj, u niebieskich strop gwiazda zabłysła,
Na skronie Myszej Wieży tysiąc pereł sieje —

POETA.

Och! lekko mi! jam teraz odzyskał nadzieję!...

Jan Kasprowicz.

WARSZAWA.

Prędzej, prędzej do celu! Na sinym lazurze
Przegląda się gród wielki na wysokiej górze, —
Nie jako ciche Wilno, niby wiejska dziewa,
Co swe wdzięki osłoną gęstą przyodziewa,
Ukryło się w wąwozy, ukryło się w lasy,
Ledwie dojrzeć gdzieniegdzie czarodziejskiej krasy.
W a r s z a w a jako piękność w pełni rozwinięta,
Co zna swoją potęgę i o niej pamięta,
Pewna swego zwycięstwa, pewna królowania,
Tryumfujące wdzięki swobodnie odsłania;
Miłego ci uśmiechu nie posyła w darze,
Ale dumnem spojrzeniem uwielbiać się każe.
Patrzaj, z jakim wyrazem chlubnego wesela
Wieżycami swych świątyń pod niebo wystrzela,



Bernardo Belloto (zw. Canaletto) — Warszawa (od strony Pragi)

Zamkiem królów i możnych gmachami bogata,
Rozwija je na pokaz zdumionego świata!
Z jaką pewnością siebie, z jakim blaskiem oka
W zwierciadło swojej Wisły pogląda z wysoka!

Tu przypomniawszy swoją stolicę ubogą,
Pielgrzym z puszczy litewskiej przybliża się z trwogą;
Bratniej okazałości dziwując się zcicha,
Do swej leśnej ustroni mimowolnie wzdycha!
A tęskliwe uczucie boleśniej się wzmaga,
Bo oto się rozwija okazała Praga,
Trzykrotny świadek bojów, krwią trzykroć omyta,
Gościa dreszczem przejmuje i ponuro wita.
Szaniec szwedzki i szereg mogił u wybrzeża,
Bolesne świadki czasów Jana Kazimierza,
Dni niedoli, gdy stary porządek się ruszy,
Wywołują rój wspomnień bolesnych dla duszy.
Lecz, obok Radziejowskich ohydnych postaci,
Czarniecki ku odsieczy wiedzie hufiec braci,
Gdy zacne jego widmo stanie przed oczyma,
Już weselej i raźniej na duszy pielgrzyma.

Ale szerokim mostem, ponad Wisłą płową,
Wypiękniona Warszawę witamy na nowo;
I zamęt nas ogarnia po wioskowej ciszy:
Pielgrzym patrząc, nie widzi, słuchając, nie słyszy.
Wśród tego blasku ulic, wśród wrzasku gromady,
Nie wie, oko czy ucho wypuścić na zwiady.
I wzdłuż i wszerz przebiega nieskończone bruki,
Podziwia wzniosłe gmachy, arcydzieła sztuki,
Gospody okazalsze od naszych pałacy,
Widzi cuda przemysłu albo ludzkiej pracy.
Zewsząd muzyka skoczna do niego dochodzi,
Podziwia piękność niewiast i wesołość młodzi,

Podziwia ruch umysłów nakształt Wisły fali,
Podziwia dzieła mędrców, co tu napisali!
I stolicę, co taka bogata, szczęśliwa,
Ze swojem skromnem miastem znowu porównywa.
Więc pyta sam siebie, nachmurzywszy czoło:
Czemu u nas tak tęskno? u nich tak wesoło?
Czemu oni weselem zająć nas nie mogą?
Czemu w naszej tęsknocie dla serca tak błogo?

Baw się, wesołe miasto, bez końca, bez miary!
Ja nie po to przyszedłem, by dzielić twe gwary.
Kocham twój lud, co pilno krząta się i śpieszy,
Zazdroszczę dziennej sławie twej piśmiennej rzeszy,
Chciałbym widzieć na całym litewskim przestworze
Gmachy takie wspaniałe, dziewice tak hoże.
Ale ja tu przyszedłem z celami inszemi:
Idę szukać dziejowych pamiątek mej ziemi,
A w twych murach cóż spotkam z dawniejszych stuleci?
Stanisław Poniatowski! albo Zygmunt Trzeci!!
Jako dwa straszne widma, jako zmory we śnie,
Zbolałą pierś pielgrzyma zaległy boleśnie.
Jeden z krzyżem i mieczem z wysokiej kolumny
Swemi dzieły bezładu uśmiecha się dumny,
I zdaje się powiadać: Narodzie, narodzie!
Ja ten miecz wyostrzyłem, który cię przebodzie;
A ten krzyż wyciosany ręką Jezuity...
Na nim za moje grzechy zostaniesz przybity.

Drugi... — zamilczmy o nim — to ślad jego ręki
Ten przepych w murach zamku, te strojne Łazienki,
Te cudne malowania — i ta ustaw karta,
Naprzód sponiewierana a potem rozdarta,
Wiara wyrwana z serca, znieważone prawa, —
Oto wszystkie pomniki króla Stanisława.

Ale z takich pomników miastu niemasz chwały,
Jeżeli w niem pamiątki świętsze nie zostały.
Poszukajmy ich dalej — oto wzrok spotyka
Wykowaną ze śpiżu postać Kopernika:
Ze sferą niebios w ręku, z podniesioną głową,
Obrotowi niebiosów daje postać nową,
Sprawdza prorocze słowa ścisłemi rachuby, —
O! nie wydrą nam obcy, nie wydrą tej chluby!

Pomnik wielkiego męża swą ziemię zaszczyca.
Tam w bielańskiej pustelni święty grób Staszyca;
Tam w katedralnych sklepach śród starego grodu,
Stanisław Małachowski — przyjaciel narodu;
Tam w rozkosznych łazienkach z kamienia wykuci
Sobieski Turków gromi — Karpiński pieśń nuci, —
Wszyscy rodzinną ziemię oblekają chwałą...
O! takichby pomników mieć więcej przystało.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

STARE MIASTO.

Stare Miasto! Warszawy relikwiarzu święty,
Pleśnią wieków porosły, mgłą ich przysłonięty,
Zadumany, jak starzec wyniosły i krzepki,
Co z miłością pogląda na wnucząt kolebki,
Co, opiekun pokoleń, wschodzących na grobie,
Napoły się uśmiecha, napoły w żałobie
Zarannej gwiazdy szuka na pochmurnem niebie, —
Stare Miasto! i witam i pozdrawiam ciebie!

Stare Miasto! znam treść twą, znam twych ulic wnętrza,
Gdzie tłum świątyń i domóstw bezładnie się spiętrza,

Gdzie, jak patrycyusz dumny, choć w odzieniu zmiętem,
Stoją domy »Pod słońcem«, »Pod lwem«, »Pod okrętem«,
Gdzie wieki, rozkochane w gotyckiej strukturze,
Ślad wspaniały na każdym zostawiły murze,
Gdzie oczy nęcą blanki, skarpy i wykusze —
Czas tynów nie rozwalił, — tylko wziął im duszę!..

Stare Miasto! U wchodu czuwa, jak na straży,
Kościół farny, i dzwonów srebrną mową gwarzy,
W toń obłoków wystrzela smukłych wieżyc szczytem,
Jakby sojusz braterski zawarł z nieb błękitem,
Jakby do tronu Boga słał modlitwy ludu,
Wezbrane krwią i łzami, jakby czekał cudu,
Lub proroczych objawień wiary i zapału,
Co w smętny chorał dzwonów wplotą pieśń hejnału!

Bliżej ku srebrnej Wiśle, za murami Fary,
Majestatycznie Rynek rozpostarł się stary;
Z czterech stron go obsiadły, pnąc się w błękit siny,
Starożytne, omszone, trzypiętrowe tyny.
Jaskrawo lśnią na słońcu wązkich domóstw dachy
Z miedzi, z czerwonej cegły, z malowanej blachy,
Ścian barwa pstra lub szara, okna wzięte w ołów,
A u szczytu figury smoków i aniołów.

Myśl i ducha przenoszą w dawno zmierzchłe czasy
Dziwaczne balustrady, krużganki, tarasy,
Wchodów pilnują furty misternej roboty,
(Miast dzwonków na łańcuchach, wiszą przy nich młoty:)
Nad sklepami się chwieją, (sklep jest w każdym domie),
Szyldy, o fachu kupca świadczące widomie,
Lub wyrzeźbiony w murze lśni znak: herb mieszczański:
Lewiatan, sfinks skrzydlaty albo święty Pański...

Spojrzyj, jak się do siebie stare tulą mury!
Choć grom bucha po gromie z piorunowej chmury,
Choć pleśń cegłę za cegłą i głaz żre za głazem,
One stoją potężne wiarą: Myśmy razem!
Spojrzyj! pną się do słońca, gdzieś za chmurzysk bramy,
Zda się słyszę ich głosy: gwarzą: My przetrwamy!
Zda się słyszę: Kły na nas złamie czas morderca!
Gdybyż wiarę tych murów miały ludzkie serca!

Rynek król! wkrąg ulice, jakby świta pańska:
Krzywe koło, Rycerska, Piwna, Świętojańska,
Zapiecek, dwa Dunaje, Szeroki i Wązki;
Rynek pień, to konary, gałęzie, gałązki;
Rynek żmij: to ogony: wiją się w przeguby,
W skręty, jeden chwost cienki, drugi tłusty, gruby,
Splotą się, to rozplotą, to znów złączą ściśle,
Niżej wciąż, niżej pełzną, w dół, ku srebrnej Wiśle.

Czy znacie te uliczki, te zaułki brudne,
Gwarem życia tętniące, zgiełkliwe i ludne,
Czasem rubaszne, ale dobre, kochające,
A takie ciepłe, jak to nasze polskie słońce!
Poczciwe, chociaż razem nieopatrzne, butne,
Po staremu junackie, a czasem tak smutne,
Jak sierota, płacząca po macierzy stracie, —
Czy znacie te uliczki, te zaułki znacie?!

Patrz! tu Najświętsza Panna wychyla się z wnęki,
U stóp jej kwietny wianek: dar pobożnej ręki,
Tam Jan święty, apostoł, obok malowidło:
Pan Jezus, nad nim anioł rozpiął białe skrzydło;
Tutaj na murach szczerby, kul moskiewskich rysy,
Tam zatarte tablice, tam stare napisy,

Wkrąg pamiątki; puścizna zmierzchłych wieków [święta —
Zginież lud, co tak przeszłość kocha, zna, pamięta?

Stare Miasto! cześć tobie, ty najdziksze hordy,
Najkrwawsze łzy pamiętasz i najkrwawsze mordy!
Trzykroć bił wściekły orkan o twych domostw ściany,
Każdy mur twój, głaz każdy ofiar krwią zbryzgany!
Stare miasto! Ja młody śpiewak twój, zrodzony,
Gdy schła krew po ostatniej walce twej szalonej,
Sierocy śpiewak, dziecko trzykroć pogrobowe,
Do stóp twoich gnę smętną, pełną dumań głowę!

Gdy się stare kościoły o zmroku rozdzwonią,
Sfer ciszę uroczystą zmącając harmonią,
Gdy grają swe pacierze Panu świata panów
Dumne wieże Pijarów, Fary, Augustyanów!
Gdy ponad Starem Miastem w rozmyślań godzinie
Ciężarny łzą skazańców chorał dzwonów płynie,
Gdy całe Stare Miasto skargi śle tułacze —
Modlitwa u stóp Boga płacze — i Bóg płacze!...

Zbryzgane i przesiąkłe deszczem rosy krwawej,
Warszawskie Stare Miasto, to serce Warszawy!
O, warto się wam wsłuchać w tego serca bicie!
Patrzcie, jak z niego tryska jędrne, zdrowe życie!
Patrzcie, jak pełne wiary, jak krzepkie na duchu!
Nie gnie łba, nie skowyta, jak pies na łańcuchu!
Wnijdź tu, a całą piersią dech swobody pijesz.

Or-Ot (Artur Oppman).

WARSZAWA.

Patrzyłem na nią o zachodniej porze,
Gdy słońce mdlało w szkarłatów koronie,
Wisłę wieczorne pozłociły zorze

I każda fala, zdawało się, płonie;
Ciepły, zachodni wiatr zcicha coś śpiewał
I oddalonych pól przynosił wonie,

Trawy, pożółkłe od słońca, rozwiewał,
Czasami wichrzył nadrzeczne szuwary,
Czasem, jak gdyby zmęczony, omdlewał

I milkł... Nad wodą płynęły opary. —
Coraz to bardziej mdlało złote słońce,
Coraz ciemniejszym stawał się gród stary...

Patrzyłem, smutny... Myśli, oczów gońce,
Biegły, skupione, za błędnem spojrzeniem
I przystrajały rzęsy w łzy palące

I omraczały czoło smutku tchnieniem...
Ach! bo wzrok dojrzał śmiech, szał i wesele...
Myśl się spotkała z nędzą i cierpieniem.

Włodzimierz Perzyński.

JEST U NAS KOLUMNA...

(Z POEMATU »USPOKOJENIE«).

Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka;
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną we mgły tęczowe ubrana
Stoi trójca świecących wież świętego Jana;
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare;
A dalej jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,

Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora z pod darni.

Juliusz Słowacki.

WARSZAWA.

Warszawa...
Srebrna Wisły wstęga,
Mazurskich piasków zagon płowy...
A tam, by jakaś stara księga,
By jakiś herbarz narodowy,
W którym spisane: ból i sława,
Oprawne w kamień — to Warszawa!

Na pierwszej karcie księgi starej
Starego-Miasta raptularze:
Królewski posąg, wieża Fary,
Latosich murów zrąb przy Farze,
Dalej mieszczańskich domków szereg,
Z dachami, nakształt furażerek,

Jak żołnierz z bronią u ramienia,
Stoją ku rzece obrócone...
Nad nizkim progiem wnęk z kamienia,
Na wnęku daty wyżłobione:
Anno domini...
Czytaj duszą,
Nim czas i ludzie je pokruszą!

Jesienny ranek w mgieł robronie
Płynie, jak gdyby w dymach prochów —
A tam na drugiej rzeki stronie,
Za wody wstęgą: Praga, Grochów!
Wspomnienia... Leci obłok mgławy
Do starej księgi! do Warszawy!

Nad Starem-Miastem w świt zamglony,
Jakieś latosie echa gwarzą...
Ku Farze naród rozmodlony
Idzie z natchnioną dziwnie twarzą,
Chorągwie wieją! lud się tłoczy...
Niejedne łzą zachodzą oczy!

Wspomnienia... echa... mgły jesieni...
Minionych wiosen złudo blada!
Księgo! Na karty twe z kamieni
Z powiewem wichru liść opada
Zwiędły, piekącą dolą zżarty...
Weź go, o księgo! na swe karty!

Kazimierz Laskowski.

STARE MIASTO.
(FRAGMENT Z POEMATU »SCHADZKA«).

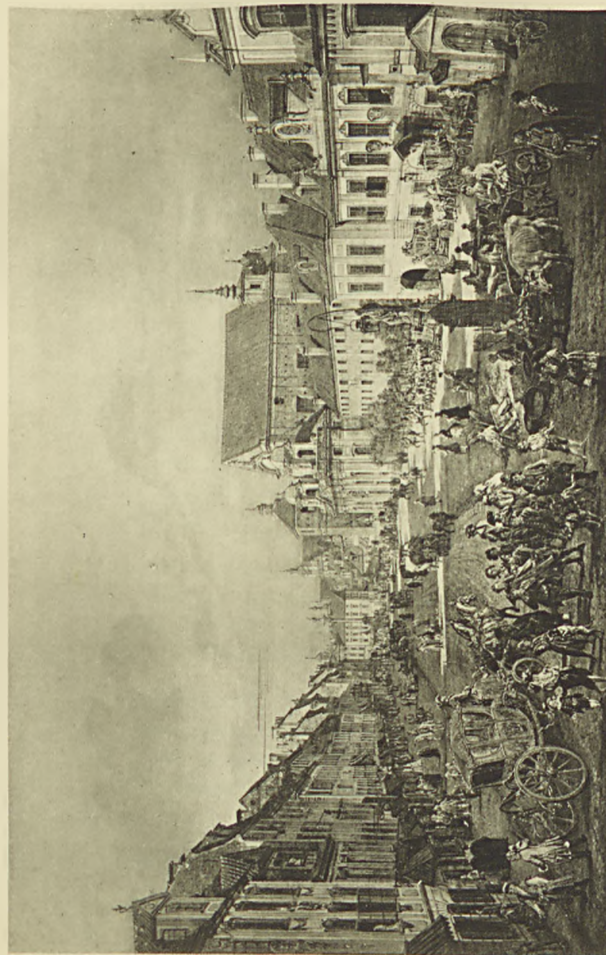
Czy to przejście wśród murów natłoku,
Ledwie widne śledzącemu oku,
Gdzie po wnękach rozmyślają sowy,
Wygryzł w murach zygzak piorunowy?
Dom tu żaden nie stoi spokojnie,
Wszystkie w ciągłej żyć się zdają wojnie.
Te, jak byki, krwią zagrzane młodą,
Zwarły czoła, gankami się bodą;
Tamte z boku przysiadły jak straże;
Owym trwoga w kąty kryć się każe...
Dziwne domy! tak pełne przystawek,
Że podobne prawie do zabawek;
Opasane gankami długiemi,
Słupków pełne od szczytów do ziemi,
Fantastyczne, roztrzęsione, marne
I tak brudne, że aż prawie czarne...

Wśród nich oko zbłąkane, zdziwione,
Szuka takich postaci, jak one:
Szuka ludzi z twarzą bez koloru,
Owiniętych w suknie z racymoru,
Podrzucanych ciągłym niepokojem,
Wypalonych chciwością i znojem,
Jak wąż w norze, niknących wśród sieni...

Próżno szuka — już stąd wyświeceni.
Po mięczaku tylko pozostała
Muszla, odcisk dziwacznego ciała.

Nowych ludzi, co weszli w te domy,
Choć odważni, gnębi strach kryjomy.
Świętościami zawiesili ściany,
W Chrystusowe wpatrują się rany,
Drzwi każdego krzyż pisany strzeże;
Strzegą pilniej od krzyża pacierze...
Jednak nocą sen im płoszy trwoga:
Tu był kirkut... była synagoga...
Gdy w jesienne wicher wyje noce,
Gdy skrzydłami nocny ptak łopoce,
Twarz im blednie, wyciąga się szyja:
To niechrzcona dusza się dobija...

Odkąd wzniósł tu pan Baryczka dwory,
Już mieszczanin mniej do strachu skory,
Już o przeszłość nie tak lud się troska,
Już ulica zwie się — Baryczkowska...
Lecz czyż nazwa rzecz do gruntu zmieni?
Jeszcze w grobach budzą się uśpieni,
Jeszcze czasem, w promieniach księżyca
Lśnią widmowo bursztynowe lica,
Brody magów, Szajlokowe oczy,
Albo profil dziewczęcy, uroczy.



Bernardo Belloto (zw. Canaletto) — Krakowskie Przedmieście
(od strony M. B. Passawskiej)

Jeszcze tchnienie gorące pustyni
Przez te kąty przejście sobie czyni...

Wiktor Gomulicki.

STARY DOM.

Od trzech wieków stoi krzepko
Trzypiętrowa kamienica;
Na jej froncie, ponad furtą,
Wmurowana lśni tablica.

Na tablicy napis stary,
Nieczytelny i zatarty,
A powyżej płaskorzeźba —
Gmerk odwieczny: lew rozżarty.

Tęga furta wnijścia broni,
Bram dzisiejszych pra-pramatka;
U tej furty nęcą oczy
Przedni zamek i kołatka.

Artystowską zdziałan ręką,
Patrzy z wierzchu Święty Pański,
By gród wszystek wiedział zasie,
Że to dom jest nie pogański.

Architektor, mistrz w swej sztuce,
Nie poskąpił ozdób mnóstwa;
Tedy wykusz na przyrożu
Przylepiono do domóstwa.

W oknie krata przemisterna
Tak się wije, by wstążeczka,
Niegdyś stamtąd poglądała
Złotowłosa mieszczaneczka.

Żółte ściany kamienicy,
Z krasnych cegieł dach jej zdziałan —
Wzniósł ją zasie mąż przezacny,
Miejski rajca: Wojciech Bałan.

Próżno kartan lub haubica
Szłyby w zapas z ową ścianą —
W tysiąc pięćset pięćdziesiątym
Takie domy budowano!

Niech swe tajnie wam pokaże
Trzystoletnia kamienica!
Tedy naprzód sień sklepiona
I ponura, jak piwnica.

Poza sienią, kędy rzadko
Błyśnie promień złotoszczery,
Masz podwórzec kwadratowy,
Między ściany wsadzon cztery.

Gdzieś wysoko skrawek nieba,
Gdzieś daleko miasto dudni —
Na podworcu onym cichym,
Zda się, jesteś jakby w studni.

Na piętrowej wysokości
Starożytny jest krużganek,
Tam obaczysz zbór niewieści
W każdy wieczór i poranek.

Kędy niegdyś z księgą rytmów
Siadywała piękna dziewka,
Dziś przewietrza się bielizna,
Albo kłótnia huczy krewka.

Okna wązkie a wysokie,
W gockim stylu utrzymane,
Na podwórko patrząc pilnie,
Ozdabiają każdą ścianę.

Malowane na zielono
Pod oknami wiszą skrzynki —
Panna kwiaty tam podlewa.
Filuterne czyniąc minki.

Z pomienionej sieni ciemniej,
Pną się w górę schody kręte —
Po tych schodach, mości panie,
Krok za krokiem... *lente... lente...*

A gdy zwolna stąpasz po nich,
Niech się bacznie wzrok twój kładzie
Na ślusarskim majstersztyku:
Ażurowej balustradzie.

Od róż tylu pstrzy się ona
I od wdzięcznych liści tylu —
Cechmistrzowskie arcydzieło
W Odrodzenia czystym stylu.

Piętro pierwsze... drugie... trzecie,
Każde piętro ma kurytarz,
»Słodkie Serce...«*) i »G. M. B.«
Na drzwiach brudnych tam wyczytasz.

Izby małe a wysokie,
Alkierzyki i alkowy;

*) »Słodkie Serce Jezusa mieszkaj z nami«.

Z pawimentu,*) ścian powały
Dech zawiewa trzywiekowy.

Tu i ówdzie z komnat stropu
Fryz kunsztowny się wyłania,
Tu i ówdzie wzrok zachwycą
Cudne resztki futrowania**).

Zatem ujrzysz i malunek
W misternego formie kwiatu —
Starodawne to zabytki
Mieszczańskiego patrycyatu.

Coraz węziej biegną schody,
Coraz bliżej do błękitu —
Ma trzy piętra dom odwieczny
I poddasza ma u szczytu.

Jakie kształty arcy-dziwne,
Ulubione dawnym latom,
Jaki taras i wieżyczki
Architektor dał facyatom.

Nie żal piąć się po drabinie,
Której schodów brak połowy —
Cudny widok się odsłania
Z wysokości poddaszowej.

Na świat żywy patrzy oko,
W przestrzeń gwarną i świetlaną...
W tysiąc pięćset pięćdziesiątym
Takie domy budowano!

Wiktor Gomulicki.

*) Pawiment — podłoga.
**) Futrowanie — obłożenie drzewem pokojów.

ŁAZIENKI.

Poszedłem do Łazienek. Park królewski stary
Drzemał w słońcu i ciszy. Na zwierciedle wody
Wsparłszy białe, w marmurze wykowane schody,
Pałac lśnił przez zielone gęstych drzew konary.

A z drzew na białe barki nimf, na strojne panie,
Na przechodniów tłum barwny, gwarny, uśmiechnięty
Leciał gęsty liść żółty, przedwcześnie zwiędnięty,
Tu — gdzie niegdyś królowie mieli swe mieszkanie...

I tak mi się zdawało, że w tym parku słyszę,
Przez gwar rozmów idące i przez nieba ciszę,
Łkanie jakieś nieśmiałe, głuche, przytłumione

— Z drzew, czy z nieba, czy ziemi... Tłumy rozbawione:
Snadź to drzewa, gdy wiatr je niewidzialny ruszy,
Płaczą tak... a bez echa w niewolników duszy?

Jerzy Żuławski.

ŚNIEŻNY RANEK.

(OBRAZEK MIEJSKI).

Sygnaturka w Starem Mieście dzwoni,
Głos jej leci na lazurów szlak
I w pogodnej kołysze się toni,
Jak poranek zwiastujący ptak.
Wstają ludzie po domach odwiecznych,
Prostak z krzyżem budzi się, jak legł —
Jak dyamenty w promieniach słonecznych
Czarodziejsko skrzy się pierwszy śnieg.

Stare domy srebrną zdobne zbroją,
Odmłodniały w nowym stroju swym,

I w kołpakach migotliwych stoją,
A pióropusz tworzy siny dym,
Suta odzież, jak tęcza się mieni
W jasnym blasku powstających zórz —
Sygnaturka modli się w przestrzeni
I przemawia do pobożnych dusz.

Idą starce okutani w szuby,
I staruszki w jupkach drepcą w ślad,
Młode dziewczę, śliczne, jak cheruby,
Miga buzią, jak różany kwiat.
Tam barani pośpiesza kożuszek
I w lisiurze przemyka się dziad,
A na wszystkich, jak srebrzysty puszek
Śnieg gwiazdkami misternemi padł.

Jak do ślubu stroi się Warszawa,
Białość szat jej aż oślepia wzrok,
Jędrny powiew ludzką pierś napawa,
Skąd ustąpił dni jesiennych mrok.
Mroźne tchnienie dziwne budzi życie,
Krew gorętsza raźniej w żyłach gra, —
Sygnaturka rozbrzmiewa w błękicie
I modlitwą — i otuchą drga.

Lśni pogoda z uśmiechniętych twarzy,
Lśni pogoda z pięciowiecznych ścian,
Mimo mrozu duch się ogniem żarzy,
Serce bije mimo łez i ran;
Myśl do słońca promiennego goni
I do Boga wzbija się, jak ptak...
Sygnaturka w Starem Mieście dzwoni,
Głos jej leci na lazurów szlak...

Or-Ot (Artur Oppman).

KRAKÓW.

Kraków! To on sam, jak polski lud, stary!
Kołyska polskiej chwały, gniazdo polskiej wiary,
Smentarz polskiego narodu.
Witam cię, miasto błogosławione,
Miasto wieków ulubione!
I od wieków wykarmione.
Ty nie umrzesz z chwały głodu.
Tu czas, co ziemię, jak bocian, czyści,
Gniazdo sobie wybudował
I w twojem sercu pochował
Dalekich wypraw korzyści,
Aby wykarmił życiem i potęgą
Pisklęta, które wkrótce się wylęgą
Szczęśliwy ten dom, błogosławiony,
Który on gniazda koroną opnie,
I ten ród pewien niebieskiej obrony,
Co gniazdo jego ocala roztropnie;
Chwała ci, grodzie, że w tobie cześć taka
Dla świętego czasu ptaka.
A więc nad tobą i opieka boża,
Ciała dusz wielkich leżą bezpiecznie,
Ani się psują w twoich świątnicach —
Wieniec dziejów kwitnie wiecznie,
Duch dawnej chwały wieje po ulicach
I błogosławionych zorze
Opromienia twoje wieże.
Słowo podania twoich swobód strzeże
Od dwóch stron świata dwoma mogiłami.
Widzę je — wstało widomie
W mglistych olbrzymów ogromie
I »witaj — mówi — witaj między nami!

Brakło nam straży z tamtej jeszcze strony,
Tam się też skradał wróg przyczajony«.
Jękły pogrzebowe dzwony;
Dźwięk ich żałobny, czysty i głuchy,
Jakby go niosły płaczące duchy,
A, jak eter przenikliwy,
Płynie daleko, jak jasności fale,
Zagrał sępowi na Karpatów skale,
A sęp żarłoczny sparł się na dziób krzywy
I skrzydła zwiesił do smutnej dumy;
Przeszedł nad morza — a morskie tłumy
Pomyślały — że mórz łono
Jęczy przed blizką burzą szaloną:
Kupią się i bez ruchu ołowiem w głąb toną.
Przeniknął deszczem w lasów tajniki —
Rwą się zjeżone dzikie zwierzęta,
Mniemają słyszeć jęk dziki,
Jakim się proszą leśne szczenięta,
Kiedy nieczuła ręka myśliwska
Obręczem śmierci gardła ich ściska.
A jęk szedł dalej, wokoło,
Jak śmierć, przenikał ziemskie głębiny,
Jak szum, przebiegał wzdłuż Wisły i Dźwiny.
Zlał blaskiem wschodu najwyższych gór czoło
I idzie dalej, coraz głębiej, wyżej,
W górę promieńmi dziennemi,
Dreszczem wulkanu w głąb ziemi,
Dokoła świata skrzydłem chmury chyżej
I coraz dalej, aż całą ziemię,
Aż całe ludzkie obudził plemię.
Gdzie wzrok rzucisz popod słońce,
Zewsząd chorągwie wiejące,
Przepasane krepą czarną,
Zewsząd żałoby męże się garną

Ze wstęgami trójbarwnemi
I z garścią rodzinnej ziemi.
Kogóż to, kogo żegnać ludzkość będzie
W tym niesłychanym obrzędzie?
O święta mojej ziemi stolico!
Jakże pysznie powstajesz przed moją źrenicą
I nad cały świat ciekawy
Wznosisz górę Bronisławy
I prawicą tajemniczą
Otwarłszy jej pierś dziewiczą,
Składasz w niej umarłe zwłoki
I wysyłasz pod obłoki
W wieńcu gwiaździstej światłości
Okrzyk: Oto mąż wolności!
Jak woda w paszczę otwartego wiru,
Tak wkoło grobu zlewa się lud miru.
Ze szczyptą ziemi każdego ręka,
We stu językach jedna piosenka.

Seweryn Goszczyński.

KRAKÓW.

Kraków — stolica pyszna, co się zowie!
Ile jest grodów wspaniałych na ziemi,
Kraków najpierwszy pomiędzy wszystkiemi;
I mało ludzi — co byli w Krakowie!
Boć to daleko leży niesłychanie,
Najżwawszy kozak nie za dzień tam stanie.

I nie odrazu Kraków zbudowany!
Swoi i cudzy prawią o nim wiele:
Dworzec przy dworcu, kościół przy kościele,
I kamienice kamienne, — a ściany,

Nawet i dachy z pozłocistej miedzi:
I król dlatego rad sobie w nim siedzi.
Bohdan Zaleski.

KRAKÓW.
(FRAGMENT Z POEMATU »PODRÓŻ PRZERWANA«).

Nasz Kraków, to jak namiot wodza śród obozu,
To jak ołtarz ofiarny w ojczyzny świątyni,
Skąd płyną do nas hasła, rozkazy i siły,
Gdzie każdy swoje śluby narodowe czyni.
Gościńce, co doń idą, ciągłe wznoszą pyły,
Napełnione pielgrzymów jednorodną rzeszą,
A zda się, że ruch mają, że wraz z ludźmi śpieszą;
Pobożną uroczystość ludzie niosą w oku,
A konie z własnej woli podwajają kroku.
Są chwile, w których pierś się człowiecza rozrasta
I odtąd więcej wciąga uczuć i powietrza,
A dusza w niej zamknięta lotniejsza i wietsza,
A taką chwilę daje — widok tego miasta.
Och! wyleciałem naprzód miłością skrzydlaty
I na krakowskiem niebie wieszczych szukam znaków,
Czyli gdzie nie wybłyska łuna z aureoli
Tych zmarłych, co swą chwałą zadziwili światy...
A wtem ostatnia góra schyla się powoli,
Dwa kroki — i stoma wieżami wstał Kraków!

O nasza Jeruzalem! forteco duchowa!
Trzydniowa święta trumno żywiącego słowa!
Piękności twoje ziemskie w pył się rozsypały,
Zamilkły po krużgankach cytry i cymbały,
Na ołtarzach jaszczurki tanecznice skaczą,
Otwartych bram niewiasty pilnują i płaczą,
Wyschły twoje strumienie miodowe i mleczne...
A jednak wstań! tyś wielka! w tobie trwa, co wieczne,

To, co nad miody słodsze i nad mleko bielsze.
Powstań! raduj się! odsłoń oblicze weselsze!
Niech sztandar twej radości po wszech wieżach wieje,
Bo masz skarb, do którego nie trafią złodzieje,
Bastjony twoje ludzkiej urągają mocy,
A straże odprawują na każdym — prorocy.
Kornel Ujejski.

KATEDRA NA WAWELU.
PIEŚŃ I.

1.

Cisza w Wawelskiej katedrze —
Zmrok osiadł sklepień załomy,
Nikt się nie modli — nie żebrze —
Organ śpi, jak w chmurze gromy:
Wiatr tylko czasem zajęczy,
Lub ptak po szybach zabrzęczy.

2.

Rzędem kolumny ponure
Jedne za drugiemi dążą.
Jak dęby wzrastają w górę,
Konary w arkady wiążą;
I jak dziewica z młodzieńcem,
Łączą się sklepienia wieńcem.

3.

Tutaj śpią króle — mocarze —
Poigrał czas z ich potęgą,
W proch chrobre rozsypał twarze
I pleśni opasał wstęgą,
A w ich zbutwiałej prawicy
Rdzewieje klinga szablicy.

4.

Po strunach lutni uderzę,
Z spróchniałej zbudzę ich trumny,

W załomki sklepień, kolumny,
Pieśń pełną, brzmiącą, rozszerzę,
Za każdym podźwiękiem pieśni
Zbudzą się i wstaną z pleśni.

5.

Któż to w kamiennej zbroicy
Strzeże przysionków kościoła?
Dotknę się twardego czoła.
Niech życie błyśnie w źrenicy:
Niech marmur opadnie z ciała,
W twarzy rumieniec zapała.

6.

Ożył — i któż to? — to Kmita,
Szerokiej Polski strażnica, —
Z pod hełmu laur mu wykwita,
Przy boku szczęka szablica.
Idzie — krok jego tak dumny,
Że drżą ciosowe kolumny!

7.

Oj! dalej chodź ze mną, Kmito,
Chodź ze mną, ja tobie wskażę
Wszystkie męczeństwa ołtarze,
Które krwią naszą obmyto.
Pewnie brzęk naszych łańcuchów
Odbił się w krainie duchów!

8.

Chodź ze mną — za każdym krokiem
Potrącisz ziomków szkielety,
Za każdym krokiem, niestety!!
Krew i łzy płyną potokiem,
Twarze twych potomków zbladły,
Grody w zwaliska zapadły.

9.

Słyszysz, jak Wisła się skarży,
Jak smutnie po skałach szumi?
Ja widzę boleść w twej twarzy,
Daremnie ją duma tłumi.
O! nie oszczędzaj łzy jednej
Dla naszej ojczyzny biednej!

10

Czy słyszysz, Kmito, akordy
Odgrane na wieków rogach?
Po grodach szczękają kordy, —
Sztandary na Dniepru progach,
Sztandary za Karpatami
Szumią tryumfu pieśniami.

11.

To wielki polonez duchów.
Patrz! — idą w szatach godowych —
Z ich spojrzeń i męskich ruchów
Poznasz twych braci grobowych.
Odbijanego! — zagrali
Od Czarnych Wód aż do Sali!

12.

To święty taniec pamiątek,
Pomiędzy dwóch mórz granicą!
Muzyką — wieków dziesiątek,
Miłość ojczyzny — dziewicą;
A szabla z Rodzicą Boga,
Takt daje na barkach wroga! —

13.

To syny wieków dziesięciu,
To nasi wielcy przodkowie!
Znani wśród boju po cięciu,
W obradach ludu po głowie!

Patrzaj, jak w pary się wiążą
I koło swych grobów krążą.

II.

Na chwilę przybrali ciało,
Patrzą oczyma łzawemi: —
Ziemię zalali swą chwałą,
Ich dzieciom zabrakło ziemi!
Zabrzmieli pieśnią żałoby,
W stare pokładli się groby!

Edmund Wasilewski.

Z POD WAWELU.

Blada dziewczyno, w której oczach tleją
Iskry marzenia, ty, co w starym grodzie
Poezyą chcesz się poić i nadzieją —
Na Wawel iść ci o słońca zachodzie.

Bo stare mury, w wieczornej pogodzie,
Odziane zmierzchem dziwnie olbrzymieją,
I w rozmarzonym nie ujrzysz pochodzie,
Że je czerw wieków żre, że w gruz niszczeją——

A gdy karabin zaszczęka w tej chwili
I wrzask żołdactwa ucho twe ubodzie,
I gdy się spłonisz i z gniewu i z żalu,

Powiedzą, że to słońce, co się chyli,
Na twarz ci rzuca te smugi koralu —
Na Wawel iść ci o słońca zachodzie.

Ludwik Szczepański.

KRAKOWIAKI.

II.

Na skalistym brzegu stary zamek siedzi,
Siwą głowę schylił, z myślami się biedzi,
A wież jego siedem, jak siedem boleści
Za dziećmi, co w świecie przepadły bez wieści!
A mur, co mu biodra w koło opasywał,
Jak suknie z rozpaczy, z bólu porozrywał,
I żałośnie jęczy ze smoczej gardzieli:
»Dzieci moje, dzieci! gdzieście polecieli?
Gdzieście polecieli, czy szukać ojczyma?«
I bez końca jęczy, — a ich niema — niema!...

III.

Na Wawel, na Wawel, krakowiaku żwawy!
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy.
Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj.
Powitaj uściskiem, w oczy spojrzyj śmiało,
Bo tobie w dół patrzeć nigdy nie przystało.
Oni światu przegrażali i dziś — chociaż w trumnie,
Chociaż okiem marmurowem poglądają dumnie;
A na widok krzywych szabli, co zdobią grobowiec,
Wnuk ich wzdycha, drży występny, uklęka wędrowiec.

IV.

Patrz! maryacka wieża stoi,
Dla miasta strażnica;
Na jej widok myśl się korzy,
A dusza zachwyca!
Na wysmukłej jej kibici
Sześć wieków drzemało,

Przecież piękna, jak dziewica,
Przecież stoi cało!
A poważny w swym ogromie
Niby rodzic miasta,
Kościół pod nią z łona rynku
Jak olbrzym wyrasta.
W jego sklepie oko zginie
Za myślą poleci,
Aż tam, gdzie na skroniach Maryi
Gwiazd dwanaście świeci!...

Edmund Wasilewski.

WILNO.

Stara stolica Giedyminowa,
Wilno, pieszczota pięknej natury,
Pomiędzy gaje, pomiędzy góry
To kwiat, co w dzikiem zielsku się chowa...
Gdy się na strome wdzierasz urwisko,
Albo brniesz piaskiem, drogą pochyłą,
Nigdybyś nie zgadł, że Wilno blizko,
Gdyby twe serce silniej nie biło.
Gdy przed twojemi mignie oczyma
Szczyt pierwszej wieży, pierwszego krzyża,
Czujesz dreszcz święty, ów dreszcz pielgrzyma,
Co się ku miejscu świętemu zbliża.
Korne kolano samo się zgina,
Serce uderza tętnem żałoby:
Bo tu Litwina Mekka, Medyna,
Tu jej proroków kolebki, groby!
Tu przed wiekami Litwini starzy
Palili Bogom ofiarne Znicze;
Tu Przenajświętszej Panny oblicze
U bramy miejskiej stoi na straży;

Tu Jagiellończyk, lilia dziewic,
Syn uświęcony litewskiej matki,
Patron — przyczyńca, książę, królewic,
Złożył w świątyni ziemskie ostatki;
Tu się męczeństwa pamiątka budzi,
Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą,
Bo gdzież jest naród, gdzie miasto ludzi,
Coby proroków swych nie zabiło?
Niejednokrotnie nad miastem starem
Panróżdżkę pomsty wyciągnąć raczy:
Trapi je godłem, morem, pożarem,
Trapi przez krwawy najazd krzyżaczy.
To znów miłościw ku dzieciom swoim
Daje po klęskach wytchnąć szczęśliwie;
Ludzi nawiedza zdrowiem, spokojem,
A urodzaje pleni na niwie,
Baszty ukrzepia, mury rozszerza,
Duchem mądrości nawiedza starsze,
Wlewa odwagę w piersi rycerza
I zbawcze myśli w serce monarsze.

Tak wśród rozlicznych losów przemiany
Wilno przetrwało długie stulecie.
Giedymin pierwsze zasnował ściany,
Olgierd gród ojca kochał, jak dziecię,
Pod Jagiellonem w potęgę wzrasta,
Bo czuwa nad niem łaska książęca,
Pogańskie czoło starego miasta
Już Chrystusowym krzyżem uświęca.
I z wież kościelnych zagrały dzwony,
Kiedy pogaństwa pierzchła pomroka,
A Pan Zastępów żegna z wysoka
Litwę, i Wilno, i Jagiellony.

A choć krzyżackie czasem znamiona
Zawiały tutaj w bojowym szyku, —
Polski i Litwy dłoń zespolona
Odparła Niemca aż do Bałtyku.
Zaprzestał ufać w zdrad swoich dzieło,
Że nas wypleni, że kraj nam wydrze,
Gdy pod Grunwaldem Witold z Jagiełłą,
Rogatą głowę strzaskali hydrze.
Tymczasem wzrastał, wzrastał gród stary
W sławę u ludzi, w łaskę u Boga;
Z Niemiec, od Rusi drużyna mnoga
Szła tu osiadać, kupczyć towary,
Sprawiać rzemiosła dłońmi biegłemi,
Odmierzać łokciem, ważyć na szali,
I żyć pod prawem litewskiej ziemi,
Co jej kniaziowie dobrzy nadali.

Co ojciec począł, to syn dokona,
Uzacni Wilno nad insze grody:
Książę Kazimierz, syn Jagiellona,
Dał przywileje, nowe swobody.
A kiedy ludzie zewsząd się garną,
Kiedy ład w mieście rodzi się nowy,
Książę napisał ustawę karną,
Aby bezpieczne były ich głowy.
Dzieło ojcowskie umocnił jeszcze
Kniaź Aleksander prawy nowemi.
Tylko postrachy jakieś złowieszcze
Krążyć poczęły w litewskiej ziemi:
Że się odgraża kniaź Michał Gliński,
Na Illiniczów coś w sercu knowa,
Że ma ich bronić pan Zabrzeziński
I buchnie w kraju wojna domowa.
A z drugiej strony, tam od Podola,

Tam z Tatarszczyzny strach wieje wszędzie,
Rycerz w zbroicy dostoi pola,
Ale z bezbronnem miastem co będzie?
Póki mieszkańców było w niem mało,
Za mur starczyły piersi waleczne.
Dziś już ceglane mury konieczne,
Baszty i bramy mieć już przystało.
By nieprzyjaciel nie wszedł tak łatwo,
Opasać murem konieczność zmusza:
Świątynie Pańskie, ściany ratusza,
Kapłanów, starców, niewiasty z dziatwą,
To, co najświętsze dla duszy człeka,
Gdzie z jego piersi modlitwa płynie,
Gdzie go otacza prawa opieka,
Gdzie ma wytchnienie przy swej rodzinie, —
Może wróg przypaść niespodziewany,
Spali, zbezcześci i pozarzyna;
Więc rada w radę, pany, mieszczany:
Opasać murem gród Giedymina,
I z pięciu krańców, z pięciu stron świata,
Gdzie pięć dróg wielkich w mieście się schodzi,
Niech z baszty sterczy groźna armata,
By wstrzymać wylew wrogów powodzi.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

WILNO.

Po twych ulicach błądzę zadumany,
W starych zaułkach na kamieniach siadam,
Głosem znajomym mówią do mnie ściany
I z duszą murów o umarłych gadam.
Z oddali dzwonów pacierz gra wieczorny
Modlitwą żalu stęskniona i pilną, —

I sercu gościa, czci pełnemu kornej,
Ze wspomnień swoich zwierzasz się, o Wilno!

Gwiazd cichych oczy na niebie migocą,
Na miasto głuche zapada milczenie,
Kędy się zwrócę tą majową nocą,
Drogie i święte idą ze mną cienie.
Wstają obrazy, widziane od dziecka,
W »nocnych a długich rodaków rozmowach«,
Grób się rozpęka — i pieśń filarecka
Po zardzewiałych uderza okowach!...

U Ostrej Bramy złote lampki gorą
I ludzkie serce pała z niemi razem:
W pustej uliczce, samotniczą porą,
Późny przechodzień klęknął pod Obrazem.
Twarz Jej przejasna takie blaski miecie,
Taką nadzieją Boskie oczy płoną,
Jakby już wszystkich zatułanych w świecie
Miała »powrócić na Ojczyzny łono!...«

Nocą majową, pełną gwiazd i kwiatów,
Wśród murów swoich kamiennej ballady,
Wierne pamięci ległych w grobie światów,
Ty mi, o Wilno! odprawujesz Dziady!
W marzeń na jawie chwili wniebowstępnej,
Pod dumnym chrzęstem litewskiego znaku,
Jasiński, »młodzian piękny i posępny«,
Na rozhukanym cwałuje rumaku!...

Księżyc, jak strażnik, wyjrzał z chmur załomu
I gród prastary osrebrzył po krańce,
Tak błogo w ciszy zwiedzać dom po domu,
Kiedy je dawni zaludnią mieszkańce:

Groźbą rozpaczy do niebiosów grzmota
Płomieniejąca Konradowa cela,
A nad ofiarą Zana i Czeczota
Bucha czerwone słowo Lelewela!...

Z pustego okna kamiennej arkady,
Skroś lat przepadłych zawarte wierzeje,
Smutnego Julka cień pogląda blady
W usiane liśćmi Jaszuńskie aleje.
Jesienny wicher stare drzewa targa,
Jesienne liście złotym deszczem płyną,
Wiecznemi łzami płacze wieczna skarga:
»Ludko! pamiętasz, pod tą jarzębiną!...«

Nad świętym Janem lecą echa szumne,
Jakby orlemi poniesione pióry,
Dawną powagą dostojne i dumne,
Akademickie ocknęły się mury:
Zagrzmiał potężnie hejnał staroświecki,
Mierzący hardo na zamiary siłę,
I wódz młodzieży uniwersyteckiej
»Dusi centaury« i »pcha świata bryłę!«

Gdzieś tam, daleko, »na paryskim bruku«,
Płyną godziny, jak więzienne lata,
A myśl w dni klęski, gdyby strzała z łuku,
Do wileńskiego wylatuje świata.
I staje postać u pamiątek urny,
Która zamyka jego sen litewski:
Po swej młodości »pochmurnej i górnej«
Z królewskiej trumny tęskni duch królewski.

Gdzie Świętojurska kończy się ulica
I plac Łukiski znagła w oczach stanie,

Z kozła mój stary zeskoczył woźnica
I, zdjąwszy czapkę, szepnął: »Tutaj, panie...«
Biczyskiem w ziemię uderzył — i w ciszę
Obaj-śmy czujne wytężyli duchy, —
A mnie się zdało, że huk strzałów słyszę
I jęk na wzgórzach zduszony i głuchy...

Nim się do końca noc Dziadów odświęci,
Nim do apelu wezwie dzień surowy,
Jeszcze mi trzeba cisnąć kwiat pamięci
Na twą mogiłę, lirniku wioskowy!
Strunami lutni, złożonej pod głazem,
Twojej się Litwy rozbarwiła krasa, —
A gdy kwiat rzucam — to go rzucam razem
Ku niewiadomej mogiłce Ułasa!...

Na wschodzie nieba zorza się czerwieni
I pora kończyć mą wędrówkę nocną,
O, stare Wilno! otośmy sprzężeni
Miłością wierną i jak śmierć tak mocną!
Za chwilę w słońcu staną twoje domy
I groby twoje, i serca twych ludzi,
Ciemność jest bowiem, jako sen znikomy,
Z której się dusza jak ze snu obudzi!

Złoto z purpurą zalały niebiosa,
Zmartwychwstający gore blask zaranny,
Płoną szkarłatem Wilija i Rosa,
Góra zamkowa i krzyż Świętej Anny.
Zbratany w życia nieugiętym czynie
Z tobą i z twoją relikwią mogilną, —
Pozdrawiam ciebie, w porannej godzinie,
I do twych wspomnień modlę się, o Wilno!...

Or-Ot (Artur Oppman).

Z WILNA.

I. NA ANTOKOLU.

W gasnących blaskach liliowej czerwieni
Szumią borami antokolskie wzgórza,
Tam biały dworek z gajów się wynurza,
Tu żywym ogniem pas Wilii się mieni.

U stóp mych, w dole coraz więcej cieni
Położył wieczór... klasztoru przedmurza
Gasnące słońce złoci i wydłuża
Grą fantastyczną ostatnich promieni.

I zaczarował mnie sen... a ten krwawy
Zachód pożarem stanął nad borami,
Nadbrzeżne dworki przekształcił w pałace

Przez wązkie okna do kościelnej nawy
Wszedł i na szczycie zamarł pod słowami:
— Regina pacis, funda nos in pace! —

II. NA GÓRZE ZAMKOWEJ.

Miasto pode mną... Tu oko uderza
Na tle dachówek jakaś biała ściana,
Starej kaplicy kopuła blaszana,
A ówdzie prosta Świętojańska wieża.

Tam popękany mur cegły wyszczerza,
Przy murze ciemny sad i murowana
Brama — a nad tem droga wyzłacana
Słońcem, wiodąca w błękitów bezbrzeża.

A tam pod miasto przyszedł bór, dziewicze
Głębie swej puszczy, jak serce, otworzył —
I oto w gajach świętych płoną znicze,

Dym się na ziemi, jak obłok, położył
I wstał, i urósł, jak kościelna wieża,
I poszedł w jasnych błękitów bezbrzeża...

Edward Słoński.

PŁOCK.

I znowu jestem w grodzie prastarym Konrada...
Późna nocna godzina... Zasłuchany w ciszę,
Która szumi, jak fala wiślana, i gada,
W fotelu na biegunach sennie się kołyszę...

Z okien widać katedry poważne zarysy
I wieży zegarowej... A spacer za tumem
Pusty — wabi kasztanów szelestem i szumem...
W dole — Wisły gościniec... Na tratwach śpią flisy...

Za Wisłą się roztacza lasów czarna wstęga,
Otulonych w mgły nocne... Kościelne Radziwie
W rozłożystych topoli szumiącej śni grzywie...
A wzrok, łzami zamglony, w nieznaną dal sięga...

Na moście wyludnionym spóźniony wóz dudni
I naftowe latarnie w odstępach migocą...
Słodko marząc, samotnie napawam się nocą,
A powstrzymać łzy rzewne już coraz mi trudniej...

Wszystko księżyc wysrebrza, drzew czarność ocienia...
W ciemnej fali drży lekko świetlana kolumna...

Miedzią dachów omszałych katedra lśni dumna,
A od Wisły dochodzą wiatrzane westchnienia...

Wacław Wolski.

LUBLIN.

(FRAGMENT Z POEMATU »STEFAN CZARNIECKI«).

Gniazdo moje! o ziemio! słusznie uwielbiona,
Czemuż ukryły dzieje te skromne imiona
Ziemian, rycerzy, którzy pierwszy srom uczuli
I pognębiony lemiesz na oręż przekuli?
Możebym na ich grobach i cichych mogiłach
Szczypt prochu ze krwi znalazł, co stygnie w mych [żyłach!
Zebrałbym go na piersi, szukał w nim żywiołu,
A wieszczy żar zostałby z walecznych popiołu;
Cześć ci, pomniku ducha prawego, Lublinie!
Dwojaką sławą Polski stary gród twój słynie!
W twych murach Jagiellonów potomek ostatni
Między dwoma narody spoił węzeł bratni;
Z twych murów, za twych dzieci i wzorem i duchem,
Złączył się naród wspólnym ratunku łańcuchem.
Napróżno wziął twój jeleń na swój kark koronę,
Gdy lud twój pędem jego biegł na jej obronę.

Kajetan Koźmian.

POZDROWIENIE GDAŃSKA.

O dniach potęgi zadumany,
Co z murów twoich jeszcze tchnie,
Bądź pozdrowiony z snów mi znany,
Mocarnej Hanzy stary lwie!

W gołębi morskich pióropuszu,
W szacie, co zblakłem złotem lśni,
Koronnych grodów patrycyuszu,
Królewski Gdańsku, witaj mi!

Gdym w starym lochu w Artushofie
Prze twoje zdrowie wino pił,
Z serca mi strofa szła po strofie
I orzeł wspomnień skrzydłem bił,
I śniłem obraz złotokrwawy,
Batorowego miecza cud
I żeglujące morzem nawy
Pod płomienistej zorzy wschód.

Zagrał z kościoła Panny Maryi,
Jak srebrna trąba, gromki dzwon,
A mnie się zdało, że hussaryi
Surmacze pędzą z moich stron.
Krzyżacki rabuś chyłkiem bieżał,
Grunwaldem drugim piorun grzmiał,
I berłem w bramę Lud uderzał
I w posiadanie Bałtyk brał!

Nocą, gdym błądził po ulicach,
Baśniowych domów chłonąc dziw,
O zmierzchłych losów tajemnicach
Zaklęty w kamień gadał gryf:
Z blachy srebrnemi pękły trumny,
W purpurze wstawał zmarły świat, —
I takim byłeś, Gdańsku, dumny,
Jak za Zygmuntów złotych lat.

Nad falą morza niespokojną
To samo niebo pełne lśnień,

Ale bandera z Ręką Zbrojną
Już nie szybuje w Jutra dzień,
Przyległy orły bystrolotne,
Z serc ludzkich patrzą, z swoich gniazd:
Na morzu — fale mkną powrotne!
Na niebie — wieczny powrót gwiazd!

Tak płynie Wisła, jak płynęła,
I szumi Bałtyk, jako wprzód,
O, stary Gdańsku! ludzkie dzieła
Królewski ducha przetrwa cud!
Przez zagojone krwawe blizny
Może się ziszczą wielkie dni, —
Latarnio morska Słowiańszczyzny,
W śnie o przyszłości, witaj mi!

Or-Ot (Artur Oppman).

PIEŚŃ O GDAŃSKU.

(FRAGMENT).

A Gdańsk tak piękny! — i tak cichy!
Gdy słuch wytężę zmrokiem, słyszę,
Jak dzwonią pieśni i kielichy
I pocałunki... Za tę ciszę,
W której się żywiej i goręcej
Czuje, ja kocham Gdańsk najwięcej.

Cicho tu prawie, jak w Wenecyi,
Gdzie ucho nie zna kół łoskotu...
I tylko czasem ze skał Szwecyi
Nadlata orkan z hukiem grzmotu,
Lecz rychło wraca w swoje skryty,
Jako do budy pies obity.

Dobrze duchowi z tem milczeniem,
Bo w niem, jak polip, się rozrasta,
I drżącem dźwiga się ramieniem
Ponad najwyższe wieże miasta,
I aż do nieba otwartego
Sięga, gdzie gwiazdy wejścia strzegą.
. . . .

Gdyś na Zielonym stanął moście,
Gdzie Acernowej był kres jazdy,
Puść wzrok przed siebie, a jasnoście
Wnet cię obejmą, jakby gwiazdy
Rozbłysły nagle w ducha mroku
I słońce wyszło z za obłoku.

Zębate dachy, stare śpichrze
Powtarza szklana toń Motławy,
A cuda lagun od nich lichsze
I lichszy Dożów pałac krwawy
I ołowiane w nim poddasze.
. . . .

Fara. Gotyckie dziwo. Z wierzchu
W wyskoczny zbrojna mur, jak twierdza,
Wewnątrz barwnego pełna zmierzchu.
Wpuszczony w ścianę kamień stwierdza,
Że jej rodzicem wiek czternasty,
Stąd to na cegłach mchy i chwasty.

Gdyś wązką kruchtę przebył, zaraz
Przekraczasz setnych lat granicę.
Dopieroś wieku był syn, naraz
Sędziwość pada ci na lice
I bratem stajesz się tych mężów,
Co śpią wśród krzyżów i orężów.

Dzielni! W ich piersiach była żądza,
Ale był także Bóg. Jest wielu,
Co kocha pieniądz dla pieniądza,
W nich do wyższego wiódł on celu
Śpią za to, zdobni w zasług wieńce,
Jak po skończonych zbiorach żeńce.

W ludziach, co taki tum dźwignęli,
Duch musiał mieszkać wielki, boży,
Który na cząstki sił nie dzieli...
. . . .

Ratusz. Przewodnik polski pisze:
»Mówić z odźwiernym«. Ach, nie! raczej
Prosić, by milczał. Pocóż ciszę
Ma tu zamącać głos prostaczy?
Te odrzwia, herby, to podniebie,
Gmach cały mówi sam za siebie.

U szczytu jasny punkt migota;
To Zygmunt. »Święty« mówią prości.
Gruba pokrywa go pozłota,
Lecz Niemcy, z wielkiej uprzejmości,
Wynieśli króla tak wysoko,
Że doń nie sięga ludzkie oko.

Do izb prastarych, dokąd wiodą
Drzwi ciężkie dębem i żelazem,
Dziwnie wstępować z myślą młodą,
Z niestartym doby swej obrazem...
Tu wszystko wielkim głosem woła:
Podnieście serca! zniżcie czoła!

Wiktor Gomulicki.

SONETY KIJOWSKIE.

I.

Niby wstęgą, splątaną w turkusowe sznury,
Błękitnym Dnieprem Kijów opasał się stary —
Śniegiem domów popłynął w rozdoły i jary,
Kopułami swych świątyń opanował góry.

Z zadnieprzańskich gdzieś równin wznosił się w lazury
Czerwony księżyc, wzdęty przez nizin opary...
Wyzłacał się — wysrebrzał — rozpędzał mrok szary,
Aż cichem, białem światłem oblał miasta mury.

Płynie milczenie — głucha cisza się rozszerza...
Tylko się rozkołysał Dniepr, gra u wybrzeża
I dzwoni pieśń prastara, dziwną nutą dzwoni...

Słyszysz grom, jakby huczał młot w olbrzyma dłoni,
Żelazne wbijającej słupy w łono rzeki...
— To nie ty śpiewasz, Dnieprze!... to śpiewają — wieki!

II.

Minęła noc... Wiew świeży poranku polata,
Szatą, tkaną w klejnoty, wschód okrył się cały —
Przez niebo przebiegają promieniste strzały,
Topi się złoto słońca gdzieś w głębiach wszechświata.

Zadzwonił Dniepr srebrzyściej — turkusowa szata
Fal jego, otrząsając oparów płaszcz biały,
Zadrgała dreszczem złotym — i fale zagrzmiały...
A w bramach wschodu słońce stanęło — król świata!...

Soboru Świętej Zofii dzwon zagrał — i dzwony
Świątyń innych w choralne ozwały się tony,
W pieśń powitań!... a słońca promieniste oko,

Ziejące żarem ognia, rozwarte szeroko,
Dojrzawszy Złotą Bramę — stanęło na niebie...
— Nie, słońce!... to myśl moja zatrzymała ciebie!

Kazimierz Gliński.

W KAŹMIERZU NAD WISŁĄ.

Zieleń! zieleń! Wszystkie strony
Wziął w objęcia las zielony —
Od podnóża
Płyną wzgórza.
Czasem jasność słońca skradną
I skalistem błysną czołem...
Nagle przerwą się, rozpadną,
Pójdą w ciemną dal rozdołem,
A w rozdole twemu oku
Błyśnie srebrna nić potoku.

Płynie wartkim, szybkim biegiem,
Muska kwiaty ponad brzegiem —
Traw szpalerem,
Płynie z szmerem,
Więzi stopy wzgórz pierścieniem,
I okryta lasem — ginie.
Płynie wzrok twój za strumieniem,
Myśl na falach marzeń płynie,
Budzi życie przeminięte,
Wśród tej ciszy wzgórz zaklęte.

Poza miastem dąb wiekowy
Współrówieśnik kaźmierzowy,
Olbrzym stary
Wzniósł konary

Opalone od burz gromu —
Rdzeń mu wyssał czas szkaradny — —
W pień tam wejdziesz, jak do domu,
I postawisz stół biesiadny,
Z cieniów liści w drzewo wcięty,
Patrzy obraz Panny Świętej.

W szczerem polu cię powita
Granitowa grobu płyta.
Tam przechodzień
Rzuci codzień
Kwiatów wiązkę na grobowiec
I odczyta napis skryty,
Wzleci duszą za błękity
I zapyta Boga: »Powiedz —
Czemu mogił wciąż tak wiele,
Tak samotnych życie ściele?«

Słyszysz?... zabrzmiał dzwon kościoła —
Komu dzwoni? kogo woła?
O lat trąca
Pół tysiąca
Długim jękiem kona w ciszy —
I myśl twoja w niebo wzięta
Śpiew chóralny mnichów słyszy —
Przypomina i pamięta,
Jaki gwar tu przed wiekami
Szedł polami i lasami.

Białą ścianą ruin błyska
Kaźmierzowy gmach zamczyska —
Nad ruiną
Ptaki płyną —

Kto wie, co śpiewają ptaki?
Może z każdą nową wiosną,
Powietrznymi lecą szlaki,
Nucą dawną pieśń miłosną
O Kaźmierzu, o Esterce...
Wszędzie, zawsze — miłość, serce!

Kazimierz Gliński.

KOWNO.

A oto mgliste Kowno — u rzecznych wybrzeży
Starożytnych kościołów basztami się jeży.
Na starem jego czole, długich wieków zmianą,
Rozmaite i długie dzieje popisano,
Nad tą basztą kamienną, co w ruderach sterczy,
Duch Kiejstuta z krzyżakiem toczy bój morderczy;
W kipiących nurtach Niemna — dziś jeszcze szeleści
Piosenka wajdeloty albo jęk niewieści;
Nad świątynią Perkuna, w obłokach, w oddali,
Niewidzialna kapłanka święty ogień pali;
A u stromych wybrzeży, śród lipowych gai
Syczą węże święcone... Krucygier się czai...
Brzęcząc robocza pszczółka piosenkę swobody,
Zgartywa pyłek z kwiatów na ofiarne miody.

Po rozhulanym Niemnie, litewską wiciną,
Chleby żytnie i pszenne poza morze płyną;
Przeminęły szczęśliwie kamienne przeszkody,
Długiem wołaniem flisa rozległy się wody;
Odbijają od brzegów mielistych krawędzi
I wesoła wicina do Bałtyku pędzi.
Dumna — bo dla zgłodniałych wiezie dary zboża;
Ufna, bo na jej maszcie jest Opatrzność Boża.

Ho, ho! tak hardo głowy wznosić się nie godzi:
Wszak ty płyniesz do Niemców, palemońska łodzi!
Nieraz ich nakarmiłaś w wygłodniałej chwili
I nieraz ci kamieniem za chleb zapłacili.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

NIEŚWIEŻ.

ZAMEK.

Za szerokiem jeziorem, na krańcu krainy,
Sterczy kamienny starzec — i niekiedy z wieży
Długo, zwolna wydzwania ubiegłe godziny —
Nim ostatnią dni swoich godzinę uderzy.

W piersiach jego, jak w piersiach stuletnich żołnierzy,
Tylko pamięć na dawne zdarzenia i czyny.
Teraźniejszość z przeszłością pogardliwie mierzy:
Znał ojców — jakże śmieszne w jego oczach syny!

Czy odżyje? Czy wskrzesi swoje dawne losy
Huczno — po radziwiłłowsku? Jeszcze ma nadzieję,
Jeszcze dziad śmiało strzela wieżami w niebiosy,

Jeszcze herby, obrazy i szpargałów stosy
Strzeże jak świętość... Boże! ta świętość spróchnieje,
Jak słowo bez znaczenia, roślina bez rosy.

MIASTO.

Małe i liche miasto stoi w rozwalinie —
Tu i owdzie, wśród gruzów, nowy mur się błyszczy,
Tu i owdzie wieżyce, klasztory, świątynie —
Póki czas ich nie pozrze, burza nie poniszczy.

Małe i liche miasto, co stoi w ruinie,
Czyż komu łzę wywoła, ciekawość obudzi?
Wędrowiec je w przejeździe obojętnie minie —
Jak mijamy podeszłych, pospolitych ludzi.

Lecz ten starzec — to żołnierz, to bywalec może,
W ranach swych męstwa, w zmarszczkach ma dłu-
[gich lat dzieje,
Opowie ci swe losy, bitwy lub podróże...

Miasto ma swoją przeszłość, swoje przywileje...
Przestarzały pergamin?! — O, pożal się Boże!
Człek go już nie wyczyta i mól nawet nie je.

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

NA CZORSZTYNIE.

Oj! zatęsknił Czorsztyn biały
Na samotnej skale,
Oj! wypuścił wzrok, jak strzały,
Przez Dunajca fale!
Tam na brzegu, jak dziewica
W przezroczystej bieli,
Pluszcze stopy swe Niedzica
W kryształnej kąpieli.
Oj, zmąciła modra woda
Jasne swoje łoże!
Zakipiała dusza młoda,
Jako sine morze...
— Lećcie, orły, lećcie w swaty
Przez błękitne tonie!
Niech w jutrzennych zórz szkarłaty
Luba ma zapłonie...

Zwiń się, lesie, nad jej czołem
W zielony wianeczek,
Ty, Dunajcu, zwiń się kołem
W złoty pierścioneczek...
Mgły niech rańtuch jej uprzędą
Powiewny, bieluchny,
Sine wierchy niech jej będą
Za drużby i druchny...
W organ burza niech zahuczy,
Wiater niech zaśpiewa,
Niech rozplecie włos jej kruczy
Błyskawic ulewa...
Niech nam drogę umiatają
Poświstami wiatry,
Niech nam chleb i sól podają
Pieniny i Tatry!
Lećcie orły, proście gości
Na weselne gody:
Mchy siwiutkie od starości,
Żywych źródeł wody,
Drobne, nikłe macierzanki,
Z pod krupiańskich stoków,
Mgły z Lechnicy, zwitej w ktanki[1]),
I słonko z obłoków!
Górską ścieżkę — tanecznicę,
Górską dziatwę — jodły,
Jasnookie błyskawice,
Coby orszak wiodły...
Gęślarz — echo się odzywa,
Szumi las dokoła...
Sokolico! matko siwa,
Przeżegnaj nam czoła!

Marya Konopnicka.

[1]) Ubiór głowy Rusinek.

CZORSZTYN.

Na czerwonej skale, piorunami zrytej,
Stary Czorsztyn stoi. W głębi fala pluszcze
I lubieżnie pieści wybrzeżne granity.
Wkoło na gór stokach głucho szumią puszcze.

Pochwyciwszy ręką za pnące się kuszcze,
Wdzieram się na mury. Stąd mi widne szczyty
Tatr w mglistej oponie... Wiatr mi czoło muszcze...
Rzucam krzyk — powraca w sto głosów rozbity!

O, ten ech dytyramb! Kąpią się w topieli,
W lazur się wzbijają, w gór grzmocą przyczoła —
Aż się zmarli budzą z śmiertelnej pościeli!

I powstaje przeszłość promienna dokoła.
Orszak lśni orężny na ścian śnieżnej bieli
I, mieczami dzwoniąc: »Witaj, wnuku!« woła.

Miriam (Zenon Przesmycki).

RABSZTYN.

Słuchaj mnie, bracie! Nie ta jest ruina,
Co gzemsy swoje usuwa zemdlone
Na białych kolumn głowice pieszczone,
Po których pająk sieć szarą rozpina...
Nie ta, co skrzypi pod twemi stopami,
Dech tłumi pyłem, rdzą surową plami,
Z rąk się wilgotna ślizga, jak gadzina...
Nie ta, gdzie straszy loch czarnemi usty,
Gdzie strop przyćmiony grobowemi chusty
Pieśni, zaledwie barwy swe wspomina...

Nie ta, gdzie wiązań osłabłe ramiona
Podźwignąć nie chcą baszty, która kona
Boleścią matki nad mogiłą syna...
Nie ta, gdzie duchy pokutne się włóczą,
Nie ta, co dziatwę wychowuje kruczą,
Nim wielka orłów wybije godzina...
Gdzie kamień zdradza, i z pod nóg ucieka,
Gdzie się zniszczenie w ciało przyobleka,
— Wierz mi, mój bracie, nie ta jest ruina!
Czy widzisz tłum ten, co śmiechem znieważa
Echa drgające w zakątach zamczyska?
Co przybiegł tutaj szukać widowiska,
I z za szkieł groby obliczać cmentarza?
Ten tłum, co nędze swoje i śmieszności
Aż tu, pod słupem dziejowym przeszłości
Rozkłada, nakształt miejskiego kramarza?...
Z myślą motylej i treści, i wagi,
Palcem dotyka, gdzie szkielet drży nagi,
I dźwięki bruków w świątyni powtarza...
Ten tłum, którego piersi nie goreją
Żadnem wspomnieniem i żadną nadzieją
Jako wygasłe ognisko nędzarza...
Niezdolen chęci rozdmuchnąć w grom czynu,
Nad gmin wzniesiony a niższy od gminu,
Wobec tradycyi i wobec ołtarza...
Ten tłum ze wzruszeń odarty, wyzuty,
Pusty, przeżyty, wyczerpany, struty,
Co szalę dziejów do zguby przeważa,
W którym skrę ducha grom chyba rozpali, —
Ten jest ruiną!
— Bracie, pójdźmy dalej! —

Marya Konopnicka.

NA ZWALISKACH ZAMKU W CZERSKU.

Po nagiem polu mgła się kłębami przewala —
Po nagich ścianach gór dziko gra wiatr jesienny —
Drży dźwiękami srebrnymi białej Wisły fala —
Z po za czarnych szmat chmur wyjrzał miesiąc pro-
[mienny.

I z grubej wieczornej pomroki, zarazem
Wybiegły trzy bliźnie, odwieczne wieżyce;
Jak klątwy potężnej tajemnym wyrazem
Zwołane trzy stare siostry-czarownice.
Olbrzymie postacią — silne krzepkiem ciałem,
Choć wieki w niem zmarszczki głębokie wygniotły —
Na czole, od żarów słońca ogorzałem,
Z dzikich chwastów sobie korony zaplotły.
I czarnemi się na mnie oczyma patrzały,
I ponurem się ze mną milczeniem witały.

A na to powitanie, żałosne, milczące,
Krew się młoda w mych żyłach płomieniem zażegła,
I rozhukana serce całe zabiegła,
I łzy do oczu pocisnęły się lśniące.
W uszach zadźwiękły miecze i srebrne puhary,
I pieśni rycerskie, i biesiadne gwary.
Zabłysły pancerze i hełmy stalowe,
I mężów postaci, wyniosłe, marsowe.
I trąby zagrały — rumaki zarżały —

Chwila — i wszystko przeszło! wszystko pierzchło
]zdradnie!
I znowu cisza głucha. Tylko w dole, na dnie
Cienistego wąwozu, białych wód głębinie,
Jak niegdyś, w dniach chwały, nucą pieśń ruinie.

Tylko młodego dębu krzew sierocy,
Na starej baszty wierzchołku samotnym,
Widny, niby chorągiew, na bladem tle nocy,
Szeleści, wiatrem miotany wilgotnym.

I nagle dziwaczna, szalona, zuchwała
Myśl-żądza mi w głowie i sercu zawrzała:
Na baszty olbrzymiej wybiegły szczyt wnijść,
I w pamiątce z niego zerwać dębu liść.
I wnet dłońmi chciwemi, po szczerbatym murze,
Po czarnych szczelinach, darłem się ku górze.

Zobaczył to wicher — co gdzieś tam bałwany
Mgły gonił po polu — i przybiegł zdyszany,
I zawył mi w ucho:

»Gdzież pniesz się to? gdzież?
Od wieku nie dotknął nikt skroni tych wież!
Mnie tylko całować wolno ich rumieńce,
I objąć ich szyje, i pieścić ich wieńce.
Wam, karły, zostało czołgać się po ziemi,
U stóp mych kochanek, i korzyć przed niemi.
Hej! dalej mi stąd! Na ziemię mi wnet!
Lub ci o kamienie pogruchoczę grzbiet«.

Lecz ja, nie słuchając, po szczerbatym murze,
Po czarnych szczelinach, darłem się ku górze.

Wiatr wtedy zaryczał i z gniewu się wściekł:
Ostrymi kleszczami za dłonie mnie rwał,
I twarz moją zimnem, niby mieczem, siekł,
I w oczy wilgotną zawieją mi plwał.

I w potężne ramiona swoje
Olbrzymią basztę chwycił w pół.

Chciał, jak nić, zerwać ją we dwoje
I wraz ze mną runąć nią w dół.

Lecz gdy on się tak próżno silił, ja stanąłem
Na szczycie już — z gwiazd koroną nad głową —
I ułamałem gałązkę dębową,
I nią, jak berłem, skinąłem.

A jako na skinienie czarodziejskiej laski,
Wicher zajęczał — i skonał w niemocy —
I po czarnym całunie nocy
Nadsłoneczne polały się blaski.

I olśniony ich zorzą, uroczą, tajemną,
W całym swoim ogromie, od końca do końca,
Obszar ojczystej ziemi, jak przed okiem słońca,
Jednym wielkim obrazem rozwinął się przede mną.

Błyszczą szerokie jezior, rzek zwierciadła —
Zielenią strojne kąpią się w nich brzegi —
Wzbiegają w niebo stromych gór szeregi —
Ciemnieją wieńce lasów, jak mroczne widziadła.

Roman Zmorski.

NA RUINACH CZERSKA.

Trzy baszty — w nich bocianów wędrownych siedliska — —
Posępna cisza ruin zaległa te mury,
Co wieków pięć swe czoła wznosiły w lazury,
Nim się układły w kształty potężne zwaliska.

Przez szczeliny chwast dziki albo gad się wciska,
Zaklekocą bociany na basztach u góry —

Czasem się piorunowe zakołyszą chmury
I głuchy grom do ruin wleci — i zabłyska!...

Chmuro! czy nie spotkałaś w swoim locie górnym
Kluczem żórawi duchów lecących widomie?
Czy ty jęku żadnego nie słyszałeś, gromie,

Który konał jak echo w pustyni najcichsze,
Nie odbity od piersi skał głosem powtórnym?
Żaden was krzyk nie doszedł — chmuro! gromie!
[wichrze!? —

Kazimierz Gliński.

OSSOLIN.

NA GÓRZE ZAMKOWEJ.

Przez czerwony berberys, blade polne róże,
Usiłujące schwycić wędrowca za ramię,
Po stromej ścieżce pnę się na skaliste wzgórze
I zadumany siadam na gruzów odłamie.

Jak puszczyk, pośród ruin sprawujący stróżę,
Westchnienie ciężkie topię w żab grających gamie.
Brzmią muzyką ich stawy, strumienie, kałuże,
Tonące w wierzb — proporców wiejskich panoramie.

Hej! nie takie orkiestry grały po tych błoniach,
Nie takie tu szumiały proporce, sztandary,
Nie tacy, jak dziś jeźdźcy hasali na koniach!

I — przygnębiony — głowę chwyciłem rękoma...
A wtem szept dolatuje z poza baszty starej:
»Rozpacz — przedwczesna zawsze... Przyszłość — nie-
[wiadoma...«

Władysław Bukowiński.

ŁOBZÓW.

Widziałem w szponach czasu marzące kolumny,
O złotych wiekach dawnej chwały i potęgi;
Gieniusz zniszczeń pisał im wyrok do księgi,
A anioł wieści śpiewał, echem dziejów dumny.

Tak smutno, wszedłszy między cyprysy i trumny,
Gdy zachmurzą się oba niebieskie półkręgi,
A ty dojrzysz w dumaniu cichem czarnej wstęgi;
Lub doleci cię westchnień i płaczu głos tłumny.

Ze ścian opustoszałych Monarchy siedliska,
Śród których się zbawienia obijały słowa,
Nigdzie dziś srebrne orła skrzydło nie połyska!

Lecz pamięć wiecznie w ustach kmiotków się prze-
[chowa:

Oni stępionym pługiem, gdzie mogiła blizka,
Ze łzami potrącają ruiny Łobzowa!

Józef Łapsiński.

ZAMEK KANIOWSKI.

(FRAGMENT).

Wspaniałe zamku kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury, jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów po jarach, górach rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,

Poważnie kipią dnieprowych wód męty,
A lasy, świeże, jak powab nietknięty,
Po górach dzikich, jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły wokoło.

Seweryn Goszczyński.

ODMIANA.

(SONET PISANY BLIZKO ROZWALIN).

Martwyż to obraz?... Nieme te zwaliska!
Wieczór tchnie wonią i lubą i świeżą —
Cienie drzew, mogił, jak olbrzymy leżą,
Coś o przeszłości szepce struga blizka.

Zdala, jak we łzach nurt Wisły połyska!
I księżyc duma nad zwaloną wieżą,
I z baszt osutych bodziaki się jeżą.
I puszczyk smutno huka z stanowiska...

Mowny obrazie!... struny mi się mącą...
Cyt, kiedyś brzmiały rycerskim zapałem;
Dziś męskie dumy tak nagle skonały,
Jak dźwięk na gęśli, jak echo u skały...
Ach! okiem oko Zoryny spotkałem,
I syn Bojana, gardzę sławą brzmiącą.

Bohdan Zaleski.

RUINY.

Lipcowego południa polne zamyślenie:
Powietrze szafirowe, drgające spiekotą,
Na polach żółciejące bujnych zbóż kiścienie
I łubinów rozkwitłych gorejące złoto.

Od różowych koniczyn wiatry idą słodkie,
W pszczelnych migotach brzęczą białe pasy gryki,
Słania się łanem szumnym kłosie żyta wiotkie
Wśród bezustannej, dzwonnej, świerszczowej muzyki.

Zda się jakieś, słoneczne, płomieniste święto
Twórczem weselem ziemię kwitnącą okala.
Barwne przydroża dyszą tymianem i miętą,
Po łąkach traw nagrzanych przelewa się fala.

A tam wysoko nad kwitnącą ziemią
Białe ruiny cicho w słońcu drzemią,
I niby żagle śnieżne i tęskniące
Świecą, wieczyście zapatrzone w słońce.

Odwieczny klasztor, co się wali w gruz:
Cele na błękit ruiną rozwarte;
Widma, wdrzewione w pnie płaczących brzóz,
Nad mogiłami odprawują wartę...

I cicha wielkość przeminionych dni
Na rudych szczyrach i dziewannach śni,
I głowy świętych stroi kurzów tęczą
W chórze, gdzie echa jak organy jęczą.

Pośród zwalonych, długich korytarzy,
Gdzie się sznur mniszek w cieniu murów snuł
Jak fresk tajemny zaświatowych twarzy,
Dziś buja gęstwa naniesionych ziół.

Śród popękanych, sypiących się głazów,
Syczących pieśnią modlitewnych ech,
Płynie upojny, południowy dech
Piołunów gorzkich, tymianu i ślazów.

A słońce z góry jak monstrancya złota
W zbitych witrażach tęczami migota.
Bronisława Ostrowska.

RUINY.

Jak kamienne tytany,
Po ostatniej przegranej
Leżą kryte mchem ściany
Zwaliska.
Do samotnych tych ciemnic,
Żądne starych tajemnic,
Blade światło księżyca się wciska.
Długie mroków ogniwa
W tej podróży przerywa:
Może gdzie się ukrywa
Ślad krwawy?
I na cegłach i głazach,
W tajemniczych wyrazach,
Kładzie pieczęć: czy hańby, czy sławy?
A gdy północ wybije,
Świat piekielny ożyje,
Wichr, jak szatan, zawyje
Z rozpaczą —
Na cmentarzu ruiny,
Młodych brzózek krzewiny
Drżą ze strachu i grozy — i płaczą...
I zatrata, jak zdrada,
Do ruiny się wkrada,
Nocą upiór tu siada
Zniszczenia.
Ściana stara i głucha —
Szczerbi, niszczy i słucha...
Ale nigdzie ni łzy, ni westchnienia.
Mieczysław Gliński.

RUINY.

W strzępach wspomnień, omszałe,
Obecnością zdumiałe,
Jako rycerz zsiwiały,
Na swym szczycie
Nosicie
Wieńce dziejów i chwały!

Gdzież te dłonie stalowe,
Co dni waszych osnowę
Powiązały z chmurami?
Ducha siły
Wrzeźbiły
Misternymi splotami?...

Gdzież te hełmy, zbroice,
Gdzie rycerzy przyłbice,
Co przez mosty zwiedzione,
Grzmiąc orężnie,
Szli mężnie
Po wawrzynu koronę?...

Znikli — śpią już w kurhanach;
Jako widma w tumanach
Ponad ziemią przemknęli,
I swe czyny
W ruiny
Wraz z duchami zaklęli...

I tak sterczą wysoko,
Patrzą w przeszłość głęboko
Z gór wierzchołków, przy wodach...
Patrzą w mroku
Bez wzroku,
Jak gość martwy na godach...

Na ich głowie zsiwiałej
Burze ziarna posiały,
Drzewo strzela z okienka...
Szczelinami
Nad mgłami
Sieje promień jutrzenka...

Cicho! Co tam tak gwarzy?
Sąż-to pieśni gęślarzy?
Może szmery pacierza?...
Może w gody
Pan — młody
Swej bogdance się zwierza?...

Lecz szmer rośnie w okrzyki...
Tak nie grają lirniki,
Tak się miłość nie zwierza;
Wichr to z wieży
Strach szerzy,
Skrzydłem w zręby uderza!

I tak wichry zawzięte
Budzą duchy zaklęte —
Stróżów skarbów minionych;
Blask miesiąca
Potrąca
W struny ruin zamglonych...

I tak wielkie, omszałe,
— Obecnością zdumiałe,
Jako rycerz zsiwiały
Na swym szczycie
Nosicie
Wieńce dziejów i chwały!

Józef Grajnert.

NA RUINACH.

Martwy uścisk księżyca tęskno odpoczywa
Na pokrwawionym trupie kochanka zamczyska;
W baszcie ostatni strażnik, puhacz się odzywa,
Niby lśniąca zbroica, sowie ślipie błyska.

Wódz wiatr, wyjrzawszy z baszty, ponury, hukliwy,
Groźny wydaje rozkaz zamkowej załodze;
A rycerze — kamienie, chwasty i pokrzywy,
Zaszumiały, zadrżały w pokłonach i trwodze.

Wietrze! czemu ty budzisz śpiącego olbrzyma
I kości spopróchniałych rozrzucasz ostatki,
Które myśl rozogniona w swem objęciu trzyma,
Pieszcząc i pielęgnując, jak w objęciu matki!

W twojej piosnce samotnej słyszałem jęk cichy,
Biednych ofiar jęczących w tej baszcie zczerniałej,
A później jakieś straszne piekielne uśmiechy,
I jakiś płacz dziewiczy, niewinny, zbolały!

Włodzimierz Wolski.

PARKI I OGRODY

ZOFIJÓWKA.

(FRAGMENT).

Pędzę z utrudzonego nie zstępując konia,
Aż gdy mnie Zofijówki otoczyła wonia:
Stworzenie wszędy świeże poznawa źrenica,
To mnie bawi, to cieszy, to zmysły zachwyca:
Chudą pierwej golizną świecące pagorki,
Zdaleka przyniesione pocieniły borki;
Gdzie między krajowemi umieszczone drzewy,
Są z Libanu, z Atlasu, z Antypodów krzewy.
Od nich mnie po kamieniach noga niesie letka,
Ku niższej grocie, króla rzeczonej Łokietka.
Nie wszystkim w tę jaskinię uczęszczać się godzi,
Młodszy świat jej używa, Patagon nie wchodzi.
A stamtąd pochodziste przebiegłszy zielenie,
Starowniej kuta grota większe ma przestrzenie;
Z czoła olbrzymi granit zamiast słupca stoi,
Krynica ją z opoki wytłoczona poi.
Tam słodki wiersz, którego żaden wiek nie zmaże,
W tę grotę wchodzącemu szczęśliwym być każe.
Smutnem nieposłuszeństwem ciężko jest przewinić,
Ten kazał, co szczęśliwych chce i może czynić.
Przy lewej stronie drogi, od swych sióstr osobna,
Wisząca grozi skała Leukacie podobna,

Na której, gdy ich miłość niewzajemna pali,
Lekarstwa długiej męce amanci szukali;
Po wzdychaniach ostatnich, w krótkim ciała rzucie,
Żalu, zgryzot, boleści pozbywając czucie.
. . . .

Nie szukając zawiłych rozstrzygnienia sporów,
Uciekłem do pachnących czerpać rozkosz borów.
Tysiąc jest jej rodzajów, cała na tem sztuka,
Żeby ją wszędy znalazł, kto dokładnie szuka.
Pysznię się, że nasz pochód lepiej znam nad onych
W głównej ateńskiej szkole gadaczów ćwiczonych;
Gdyż kapłan Apollina, mówiąc kiedyś ze mną,
Oznajmił mi człowieka pierwotność tajemną.
Prometeusz kształt bogów ulepiwszy z gliny,
Kradzionym ogniem onej rozruszał sprężyny.
Po tak zdumiewającym i najpierwszym cudzie,
Od tej gliny ogrzanej wszyscy poszli ludzie.
A zaś od brata jego[1]) bieg natury znany,
Stopniem niższe i nieme wywiódł koczkodany.
Gwar ciżby, lin skrzypienie, głośne szczęki młotów,
Zwróciły moje kroki w stronę tych łoskotów,
Gdzie długi głaz z wnętrzności wyrobiony skały,
Mnogie siły złączone z trudnością dźwigały.
Z ciemności wydostany to będzie miał zyskiem,
Chmury swym dzielić końcem, zwać się obeliskiem.
Komu on wystawiony, świadczy napis ryty:
»Wnuk Dijony dla czwartej wystawił Charyty«.
W głębszym gładzonych ciosów leżą stosy lesie,
Z których się znakomita piramida wzniesie,
Nie inne w każdym boku strzegąca rozmiary;
Takiej dla Cesteusza Rzym pozwolił stary.

[1]) Epimeteusz, według starożytnej teologii: ojciec małp.

Ta bolesnem wspomnieniem rażąca mogiła
Czyjeś niepospolite zwłoki będzie kryła.
A choć o wszelką nowość przywykłem się badać,
Czyje? boję się pytać i nie pragnę zgadać.
Niechaj ta za dni naszych nie nadchodzi pora,
By miała zniknąć ziomków w nieszczęściu podpora.
Nie spiesz się, budowniczy, słuchaj ludów głosu,
Nie kładź rychło pierwszego pod mogiłę ciosu,
Aż kiedy dwa od dzisiaj miną pokolenia,
Dopiero... nie kładź jeszcze i wtedy kamienia.
Nagły mię smutek objął, i walczy z rozumem;
Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzeka lecąc szumem,
Gdy słuch zaprząta brzękiem i wejrzenia bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła,
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła;
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Którą, od siebie większą, Kamionka wypada.
Rozścielać się, nurkować, czy piąć się na głazy,
Wzięte posłuszna Nimfa dopełnia rozkazy.
I mimo praw swej równi, służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.
Kto gajów Tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczał Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże,
Jeszcze i w Zofijówce zadziwiać się może.
I przyzna, jeśli szczerość usty jego włada,
Czem tamte w częściach słyną, ta razem posiada.

Stanisław Trembecki.

NOC W ZOFIJÓWCE.

A więc ją znowu ujrzę i ujrzę za chwilę,
Tyle się nabłąkawszy i przeniósłszy tyle!
Po dzikich uniesieniach, żebraczej wędrówce,
Znów się ponurzę w mojej Zofijówce,
Co tak rozkwita urocznie, dziewiczo,
Między surową krain tych dziczą,
Jak niebiański rumieniec, kwiat świętej wieczności,
Na umarłego lica bladości,
Co straż trzyma przy mego dzieciństwa edenie,
Jak cherub, uwieńczony w pamiątek promienie.
O, powiej, maju mojego wietrze!
Przeszłość, co w twoim odetchnie oddechu,
Pierworodnego nie znająca grzechu,
Z długiego nasępienia wzrok pokutny przetrze,
Skalaną szatę duszy odnowi
I pielgrzymiemu wytchnie kosturowi
I pielgrzymowi.
. . . .

Patrz, zadumana brzoza prostowłosa
Uroczystem okiem wróżki
Zagłębiła się w niebiosa;
Smukłe topole, jak młode drużki
Z całą cześcią dla matron i wieku swawolą:
Kiedy niekiedy po cichem szeptaniu,
Sklasnąć w gałęzie sobie pozwolą,
A groźna sosna w ponurem obraniu
Pomruka jednotonnym głosem pustelnicy,
Czy północne modlitwy,
Czy zaklęcia czarownicy;
A tutaj płoche iskier gonitwy:
Te się po wzgórzach rozsypały zgrają,

Tamte się bawią ze śronów kołyską,
Te przebiegają przestrzeń lodu ślizką,
Lub tępymi księżyca promieńmi strzelają.
Duch wody w pętach lodu użala się głucho
I skała ludne echem nastawiła ucho.

Ale tam dziwniej w ustroniu zaspanem,
Za tym przejrzystym tumanem,
Gdzie lampa nieba bledziej połyska,
Tam nieziemskiego kształtu kupią się zjawiska.
To pośród innych groźne widziadło,
Jak olbrzymia mgli się skała:
Suknia je z wody oblała,
A co klejnotów mrozu na skronie nakładło!...
Rozgarnia kosę z brzozowych warkoczy,
Spojrzeniem z tęczy wkoło zatoczy,
Ozwie się szumem znanej wody,
I mary zewsząd stanęły widome,
Wszystkie znajome!
I śpieszą ku mnie w zawody!...

Seweryn Goszczyński.

PUŁAWY.

(FRAGMENT ZE »ŚWIĄTYNI SYBILLI«).

To nadbrzeże, zatoków nadwiślańskich czoło,
Pasmem gór i pagórków uwieńczone wkoło,
Gdzie natura zasiadłszy z wszystkich wdzięków zbio-
Ożenia swe powaby ze sztuki wytworem; [rem,
A Wisła niosąc życie zamorcom zgłodniałym,
Zarzuciwszy wędzidło nurtom niewstrzymałym,
Igra z rozkosznym brzegiem strzępem swym srebrzy-
Malując piękność jego na łonie przejrzystym; [stym,

I całą tę posadę wśród widoków mnóstwa
Zdaje się na mieszkanie przeznaczać dla Bóstwa.
Te zawrotne manowce, ścieżki i uchyłki,
Śmiejące się z niewinnej przechodnia pomyłki,
Te niedostępne skwarom słonecznym chłodniki,
Różnowzorym kobiercem usłane trawniki;
Te klomby w tysiąc piąter uwieńczywszy skronie,
Gasnące na omdlałem swych wawrzynów łonie;
Te ręką przyrodzenia usklepione groty,
Obraz twoich, Kalipso! ponęt i pieszczoty,
Przybrane w sławne łupy morskich dziworodów,
Słodkiem ziejące tchnieniem upragnionych chłodów:
Podle nich u podnóżka panującej skały
Żywy strumień przetapia czyste swe kryształy,
I znowu przymuszony nieznanym gościńcem
Piąć się w górę i igrać na powietrzu młyńcem,
Gniewny za gwałt przyrodnim prawom swym zadany,
Ciska w same obłoki niezbłagane piany.
Te ulice szykownym wieńcem umajone,
Tysiącami widoków nieograniczone:
Te gmachów okazałych rozległe przestwory,
Koryntu i Dorydy dochowane wzory,
W nich starożytne bogactw i gustu pamiątki,
Od pożogi Scytyjskiej oszczędzone szczątki;
Te błyszczące ustronia kunsztem różnych krajów,
To dziwne Azyanom wzory ich zwyczajów;
Wszędzie z gustem, z powagą połączone wdzięki,
Drogie ślady uczonej i zamożnej ręki:
Łatwym wnioskiem dowodzą, czem te kraje były,
Które takich mieszkańców w łonie swym rodziły.
A to wszystko świątyni swej kreśląc przedmurze,
Znajomy tylko samej sztuce i naturze
Labirynt zgromadzonych piękności wskazuje,
I po nim obłąkaniem słodkiem myśl zajmuje.

Kogóż naprzód nie zwabi ten Portyk na wzgórzu,
Który tu rozkosznemu panuje podwórzu!
Sto kolumn go Hetruskich wdzięcznem zdobi kołem,
Tysiąc nieznanych roślin wonnem wita czołem.
Twój tu dwór i mieszkanie, wieczna wiosny coro,
Szerokowładna berłem kwiatorodym Floro!
Tu całe twe królestwo z czterech końców świata
Oddycha wpośród lodów słodkiem tchnieniem lata:
A czy to od Gangesu, czy z piasków Afryka,
Czy z wyspów niedostępnych, czy z brzegów Meksyka,
Osiadłe na tym gruncie zbiegłe twe narody,
Łączą z prawem krajowców ojczyste swobody.
Któż was nieoswojonym językiem wymieni?
Kto ród wasz wyprowadzi i piękność oceni?
Różnych ziem, różnych zorzów krasne wychowanki,
Dziś przerodnem zamęściem kwitnące Słowianki!
Ty czołem i ozdobą jesteś tego grona,
Królowej Albionu imieniem uczczona,
I darów jej gościnnych pamiątko szacowna,
Od starych garamantów Strzelico wędrowna:
Dotąd radośne siostry w zadumieniu stoją,
Zajęte i pięknością i pielgrzymką twoją.
I ciebie kto nie uczci w tem rozkosznem gronie,
Na skalistym przylądka wychowany łonie,
Strojny w białą niewinność i najczystsze złoto,
Kaktusie! Hotentotek nadmorskich pieszczoto;
Twym połogiem Lucyna sama się zajmuje,
Sama twoich narodzin godzinę zgaduje;
Zbiegłe Nimfy widzenia ciebie żądzą zieją,
Zefirki lekkiem skrzydłem powionąć nie śmieją;
Ty się rodzisz — powietrze twym balsamem dysze,
Podziwem i radością całe tchnie zacisze. —
Lecz cóż! w trzechset minutach wiek się twój zawiera,
Wzrasta — kwitnie — panuje — dziwi — i umiera!

Już cię niema! ponura plasła w ręce żałość;
O piękności! i czemuż dziełom twym nietrwałość! —
I ty się od niej twemi nie odkupisz skarby,
Ni rąbkiem złotolitym tkanym w różne farby,
Hidrango! strojna córo tęczy i Tytana,
Ile w świetle promieni, w tyle szat przybrana!
Za szmaragd twej zawojki, za ten rubin lica,
Któraż ci nie odstąpi swych pereł dziewica?
Najuprzejmiej nas witasz jako twoich braci,
Nadobna Azalio z wdzięków i postaci!
Długo po dzikich wyspach i morzach burzliwych
Szukana od żeglarzów twej piękności chciwych,
Nim uczony nasz Sawacz światu się objawił,
I w rzędzie starożytnych Sarmatek postawił. —
Ale gdzież się zapędzam nietkniętymi ślady
Przebiegać tylu krajów rozkwitłe osady,
Was, śniadawe Wejmuty, białe Anemony,
Ogorzałe Panamy i Rododendrony,
Dzikich wysp i przylądków mieszkańcy nieznani,
Zgromadzeni pod słodkie berło jednej Pani?
I was słońca i rosy córy rozpieszczone,
Nektarem nakarmiane, balsamem pojone,
Tyle stopniów pokrewieństw liczące po świecie,
Ile kwiat podobieństwa znajdzie w drugim kwiecie;
Wszystkie tu pokolenia wasze, wszystkie domy,
Rozkoszą i podziwem poją zmysł łakomy,
Aż do ciebie, drobniutki mój niezapominku,
Czułym sercom nad skarby droższy upominku!
Nie wysłowią ni imion waszych, ni urody,
Kwiecistego Harlemu zazdrosne ogrody:
I ty stałbyś, jak wryty, wśród piękności tylu,
Niezrównany ogrodów śpiewaku, Delilu!

Jan Paweł Woronicz.

OGRÓD SASKI.

Odwieczne lipy i kasztany
Wznoszą do nieba stare czoła,
Codzień z uśpienia świt różany
Do nowych wrażeń starców woła.
Tyla lat przeszło nad ich głową,
Złote poranki, ciemne zmierzchy,
A one stoją jednakowo,
Wznosząc na błękit koron wierzchy.

O czem te drzewa stare gwarzą?
O czem dumają w zmrok perłowy?
Pod ich gałęzi krzepkich strażą
W liści wsłuchałem się rozmowy.
Dziwnie żałosny, zadumany,
Odczułem śpiewne ich chorały, —
Prastare lipy i kasztany
Smutną mą duszę kołysały.

Pomiędzy wielkich drzew zielenią
Stoją posągi obtłuczone,
W łunach zachodu się rumienią,
Jakby swą dolą zawstydzone.
Co dziś po greckich bóstwach światu?
On się fantazyi zrzekł z ochotą!
Drwiąc z poetycznych złudzeń kwiatu,
Na oślep biegnie tam, gdzie złoto...

Czasem, gdy siedzę na placyku,
Kędy fontanna szemrze z cicha,
Błyska mi promyk po promyku
I dawna przeszłość się uśmiecha.

Idą wytworni kawalerzy
I dam bukiecik, pełny wdzięku,
Kawaler w ustach duser świeży,
Dama ma każda serce w ręku...

Król-śpioch, król-tłuścioch, król-pantofel
Do psów celuje na balkonie;
Twarz — istny księżyc, nos — kartofel,
A głowa pusta, choć w koronie.
Czoło pogodne i bez troski,
W sercu zamarły wszelkie żądze;
Przy nim Brühl stary i Sułkowski:
»Brühl! masz pieniądze?« — »Są pieniądze!«

Ach! w tych alejach zacienionych
Ileż mi przeszło chwil szczęśliwych!
Ile błysnęło snów złoconych,
Pragnień, do dzisiaj w sercu żywych.
Tu mi jaśniały cudne oczy,
Tu-m drogą postać czuł przy sobie, —
Dziś dłoń pieściwą robak toczy,
A oczy-gwiazdy zgasły w grobie!

Młody studencik, zapalony
Do napoljońskiej epopei,
Biegałem codzień w owe strony,
Pełny tęsknoty i nadziei;
Snując do pieśni przędzę planów,
Od czystych wzruszeń drżący cały,
Jam szukał starych weteranów,
Którym przewodził »kapral mały«.

I nieraz milej, niż z kochanką,
Biegły mi chwile z starym dziadem,

Wspomnienia pełną pijąc szklanką,
Szedłem zwycięskich orłów śladem.
Padały na mnie sławy blaski,
Przeszłości-m wskrzeszał cudną kartę —
I był mi rajem ogród saski,
A w nim aniołem — Bonaparte!...

Or-Ot (Artur Oppman).

MOGIŁY

MOGIŁA WANDY.

Co za wzgórze jaśnieje brylantem księżyca?
Co błyszczy, kędy stoją po dolinach chatki?
To błyszczy Wisła — widno mogiłę Sarmatki,
Której zgonem pamiętna Polski okolica.

Męstwo tej bohaterki potomnych zachwyca,
Wieki szanują pomnik, w nim święte ostatki:
Ale dlaczegoż wiosna grób przystraja w kwiatki?
— Bo w grobie śpi księżniczka, śpi Wanda dziewica!

I pierwej szczyt Krępaku śród chmur się zachwieje,
Nim ta pamięć u Kraka potomków zniszczeje.
— Jej duch czyta, jak w niebie świetne im nadzieje!

Gdy zaś zwiedza te strony w niewinności wianku,
Śpiewaj jej, luby dolin i gajów kochanku,
Dopóki noc nie spłonie w złotych ogniach ranku.

Józef Łapsiński.

POMNIK KOŚCIUSZKI.

Powstał kolos pamiątek w krainie Sarmatów,
Jak maszt słowiańskiej łodzi rzuconej wśród świata;

Z chmur złoconych jutrzenką ranna jego szata
W południe go osłania baldachim z bławatów.

Natrząsa się z śnieżystych olbrzymów — Karpatów,
Bo sławą zwalczy z niemi tysiąc wieków lata...
A choć już mrok otoczy i siostrę i brata,
On jeszcze pływa czołem w potokach szkarłatów.

Tam, kędy u stóp jego majowe nadbrzeże,
Czy miasto czarodziejskie w Wandalu głębini?
— To się kąpią Wawelu i baszty i wieże!

A ten głos rozstrzelony po niebios pustyni?
— To pustelnik strzegący ubogiej świątyni,
Odmawia za obrońcę wolności pacierze!

Józef Łapsiński.

NA CMENTARZU.

Jaka tu cisza! — wonie jak na łące;
Tam za drzewami ginie blask słoneczny —
Patrz, każde drzewo zdaje się modlące
O spokój wieczny.

Cicho tu, dziewczę! — patrz, tam miasto w dole
Gwarem urąga tej cmentarnej ciszy;
Z śmiechu i biesiad przewala się w bole,
Boga nie słyszy.

Cnota tam — we łzach, prawość — niema chodzi,
W przepychu — zdrada, w uwielbieniu — zbrodnia:
Dziw mi, że jeszcze nad tem miastem wschodzi
To słońce, boża pochodnia.

O, cicho! nie bluźń; słyszysz szmer dokoła?
Rozlał się skargą na mogił kobierce:
Każdy z tych ludzi ma stróża anioła,
Ma, jak my, serce.

Klęknij i módl się za nich, liljo droga!
Dusze te, serca — długo szatan psował;
Ach! gdybym czasem nie czuł śród nich Boga,
Tu-bym się schował.

Mieczysław Romanowski.

CMENTARZ.

Wije się, wije wązka drożyna,
Na długie wiorsty wije —
To w dół się spuszcza, to w górę wspina —
Wije się w krętą żmiję.

Żmiją się kręci w zielonych łanach
I w łąki się zanurza:
Na wiorst kilkoro znika w tumanach,
Wije się wokół wzgórza.

A wzgórze w gaju sosnowym drzemie,
A w gaju — krzyże czarne,
A pod krzyżami umarłych plemię
Milczenie śni cmentarne.

Czy idziesz w górę, czy w dół, w parowy,
Po długiej ścieżce krętej:
Widny ci wszędzie ów gaj sosnowy
I krzyżów gaj ów święty.

Idź po tej wązkiej — krętej drożynie,
Co w dal swą wstęgę przędzie:
Las, pole, łąka z oczu ci ginie,
Lecz cmentarz widać wszędzie.

Antoni Lange.

CMENTARZ.

Twardo posnęli i nie wyjdą w pole,
Choć dzwonią sierpy wśród złotej kurzawy,
A dziewki, idąc wzdłuż zbożowej ławy,
Wian dożynkowy przynoszą na czole.

Posnęli — w krzyżów trójramiennych kole,
Wśród jagód krasy, miętą wonnej trawy,
Gdzie gwiezdnooki kwitnie mlecz złotawy
I pachną kwiaty w cmentarnianym dole.

Krasną opończę i pojas czerwony
Włożono gazdom na ostatnie święto.
Nad nimi trawy pachną rutą, miętą —

I dym się z chałup wlecze na zagony —
I błogosławi im przez carskie wrota
Preczysta maty, byzantyńska, złota.

Kazimiera Zawistowska.

CMENTARZE WIOSKOWE.

(FRAGMENT).

Cmentarze wiejskie! ciszy kojącej ostoje!
Ileż to razy ku wam biegły oczy moje,

Ileż razy — rodzinnej pozbawiony strzechy —
U was w trosce, w strapieniu szukałem pociechy,
I kiedy — w walce z życiem zawodziły siły —
Złamany, krzepić ducha szedłem na mogiły;
Dumać z tem, co odeszło, z tem, co było gadać,
Wyszeptać wszystkie żale, winy wyspowiadać,
Wstać z otuchą, iść dalej i znowu upadać!...

Nieraz wędrowiec-tułacz, w obcej dla się stronie,
Nim woźnica zmęczone popasł owsem konie,
Dostrzegłszy niedaleki cmentarek wioskowy,
Biegłem, jakby bliźniemi przyzywany słowy.
I po chwili raz, pierwszy oglądana strona
Była mi zaraz dziwnie blizka, jak rodzona,
Jakbym tu cząstkę życia, z tem, co dało, strawił,
Coś bolesnego przeżył, coś swego ostawił!
Jakby ci, co tu weszli na cmentarne wrótnie,
Wołali na mnie: synu! a wołali smutnie,
Jakbym ich jeszcze dzieckiem widział u kołyski...
I szedłem w zamyśleniu w cmentarek poblizki
Bez obawy, bez lęku, jak swój między swoje,
Jakby w ojczyste gniazdo, w rodzinne podwoje
Dawno oczekiwany gość — syn marnotrawny...
...Cmentarz był biedny. U wrót Chrystus w krzyż opra-
Dalej kilka pasyjek wystruganych z drewna, [wny
Białe brzózki a każda warkoczami śpiewna,
Ciernisty krzak tarniny piął się przy opłotku.
Groby rzędami, z małą kapliczką pośrodku,
Stawioną za umarłych z polnego kamienia,
Z trupią głową na drzwiach, krzyżem u sklepienia,
Raz na rok otwieraną w zaduszkowej dobie,
Gdy proboszcz święci pamięć tych, co legli w grobie.
A żywi idą płakać do swoich mogiłek
Za stracone nadzieje, za próżny wysiłek,

Pisząc rzewnemi łzami na cmentarnej księdze:
Ten samotne wdowieństwo, ów sierocą nędzę,
A inny, co i w grobie nie posiadł nikogo,
Siebie samego płakać idzie zmarłych drogą,
Śpieszy tam, kędy wieczna cisza gospodarzy,
I o swojej nicości z mogiłami gwarzy.
Temu najcięższej odejść...

Kazimierz Laskowski.

CMENTARZ NAD WODĄ.

Lipy, brzóz kilka, poczerniałe krzyże,
Jakieś nieznane, zapadłe mogiły —
To cmentarz wiejski! Stopy jego liże
Fala, lecz wyżej wspiąć się nie ma siły.

Komu na pomnik marmury lub spiże
Losy w odwiecznej księdze przeznaczyły,
Ten, pogrążony w mętnym życia wirze,
Nie przyjdzie spocząć tu, pod te mogiły.

Gdzieś, stąd daleko, w miast olbrzymich gwarze,
W siedliskach ludzkiej potęgi i pychy,
Inne na niego czekają cmentarze,

Większe, wspanialsze, niż ten cmentarz cichy.
Ale na wieki — po życia roztercc —
Tu spokój pewny znajdziesz, biedne serce!

Władysław Bukowiński.

CMENTARZ GÓRSKI.

Na pochyłości wzgórza, tuż nad zakrętem drogi,
Ocieniony brzeziną,
Legł odpoczynku eden, górski cmentarz ubogi,
Nad spadzistą drożyną.

* * *

Po tej drożynie ileż łez gorących pociekło
W szemrzący w dole strumień,
Ileż błądzących istnień tu się wreszcie przywlekło
Po klucz wszelkich rozumień.

* * *

I niejeden prostaczek, po bezmyślnych dni trudzie,
Tu mądrością szczęśliwy,
I wie więcej, niżeli najmądrzejsi śnią ludzie,
Dlatego — że nieżywy! —

* * *

I wyrasta z mogiły, on, który żył bez woni,
Kwiatem pełnym barw nieba,
I milionem istności pył pożywienia roni,
On, który żył bez chleba.

* * *

O siedzibo spokojnych, rolo pełna pociechy,
W tobie dowód jedyny,
Że śmierć życia wyrazem i nie przyszła za grzechy,
Bo w niej każdy bez winy.

Józef Kościelski.

SPIS RZECZY.

RZEKI.

STAWY.

SKOROWIDZ AUTORÓW.


Biblioteka Wojewódzka
Radom

SPIS RYCIN.

